

PROWINCJA
KWARTALNIK
SPOŁECZNO - KULTURALNY
DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW

Nr 3 (5)

2011

Redakcja:
Leszek Sarnowski - redaktor naczelny
Wacław Bielecki - sekretarz redakcji
Marek Stokowski
Janusz Ryszkowski
Andrzej Kasperek

Okladka: Mariusz Stawarski

Obrazy na okładce:
Katarzyna Smeja-Skulimowska – Akt tworzenia (str. II), Biesiada (str. III), Staruszek świat (str. IV)

Skład i łamanie:
Z8 REKLAMY, www.z8.com.pl

Druk: Drukarnia W&P
ul. Akacyjowa 29, 82-200 Malbork

Wydawca:
Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „TAKA GMINA” w Sztumie
82-400 Sztum, ul. Królowej Jadwigi 10
tel. 693 527 614 prowincja@onet.pl

Redakcja składa serdeczne podziękowania za wsparcie naszej
inicjatywy wydawniczej:

Andrzejowi Krzysztofiakowi Burmistrzowi Kwidzyna
Jerzemu Godzikowi Staroście kwidzyńskiemu
Andrzejowi Rychłowskiemu Burmistrzowi Malborka
Miroslawowi Czapli Staroście malborskiemu
Leszkowi Taborowi Burmistrzowi Sztumu
Wojciechowi Cymerysowi Staroście sztumskiemu

Dziękujemy również za współpracę przy promocji kwartalnika:
Kwidzyńskiemu Centrum Kultury
Sztumskiemu Centrum Kultury
Miejskiemu Domowi Kultury w Malborku
Żuławskiemu Parkowi Historycznemu w Nowym Dworze Gdańskim
Stowarzyszeniu Inicjatywa Aktywny Malbork
Stowarzyszeniu Malborskie Centrum Kwadrat
www.marienburg.pl
www.tvmalbork.pl

Miejsca w których można kupić kwartalnik „Prowincja”:
Kwidzyńskie Centrum Kultury
Sztumskie Centrum Kultury
Miejski Dom Kultury w Malborku
Żuławski Park Historyczny w Nowym Dworze Gdańskim ul. Kopernika 10
Księgarnia „Bestseller” w Sztumie ul. Reja 13
Agencja Reklamowa „Aliem” Sławomira Michalika, Sztum ul. Galla Anonima 8
Sklep papierniczo - biurowy „Kopiał” w Malborku ul. Żeromskiego 5
Księgarnia Idea Jz. w Nowym Dworze Gdańskim Pl. Wolności 11
Redakcja prowadzi również sprzedaż wysyłkową
– zamówienia można składać pocztą elektroniczną na adres wydawcy.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i niewykorzystanych, zastrzega sobie również
prawo do ich ewentualnego skracania oraz zmiany proponowanych tytułów.

Wszystkim, którzy zechcą wesprzeć finansowo nasz kwartalnik podajemy numer konta wydawcy
– Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie:
Bank Spółdzielczy w Sztumie: 42 8309 0000 0002 6741 2000 0010

Publikacja została dofinansowana z budżetu samorządu
Województwa Pomorskiego w ramach zadania
„Rozwój kultury w województwie pomorskim w 2011 roku”



ISBN
ISSN 2082-0291

PROWINCJA

Nr 3 (5) 2011

Spis treści

Piąta „Prowincja”	5
Proza	
Andrzej Kasperek – Idąc po lodzie	6
Janusz Moździerz – Obywatel Bosko	14
Małgorzata - Anna Jędrzejewska – Prawem kaduka	25
Iza Plath – Aktorka	27
Poezja	
Janusz Ryszkowski	37
Kamil Przeperski	39
Sebastian Kubiak	41
Andrzej Lipniewski	43
Esej	
Katarzyna Laskowska – Andrzej Lipniewski – piewca Żuław podeszczowych	46
Feliks Tomaszewski - Żuławy Miłosza	51
Miroslaw Melerski – Traktat o krześle	60
Wędrowki po prowincji	
Kordian Kuczma - Blaski i cienie rodu Kalksteinów	66
Tomasz Agejczyk – Malbork - miasto cmentarzy	72
Maciej Kraiński - O koprze popitym winem rose	84
Radomir z Tiegenhofii – Refleksje Żuławiaka	86
Janusz Ryszkowski – Tajemnice sztumskiej Strzelnicy	90
Jacek Albrecht - Miasto i zamek w Malborku. Wspólnota i sąsiedztwo	94
Inga Murawska, Elżbieta Zwierzyńska – Żydowskim szlakiem. Wakacje na dwóch kółkach	101
Na tropach historii	
Andrzej Lubiński – Życie teatralne i muzyczne na ziemi sztumskiej w latach 1868 – 1892	107
Tomasz Gliniecki – Ostatnie dni wojny na Mierzei Wiślanej	116
Leszek Sarnowski – Represje wobec konspiracji antykomunistycznej na ziemi sztumskiej	123
Marta Chmieleńska – Zdrajcy będą ich znać bandytami. Nieznani bohaterowie na Zajezerzu	132

Sylwetki

Jan Kulas – Ksiądz Władysław Łęga rodem z Powiśla	137
Jerzy Kosacz - Franek	141
Wiesława Rynkiewicz-Domino - Baśniowy świat Katarzyny Smeji-Skulimowskiej	144

Wspomnienia, zapiski, dzienniki

Andrzej Wiłun – Celuloza z pamięci cz. III O betonowaniu i co ma klin do tego	147
Jerzy Kosacz – Spotkanie w Rakowcu	153

Wydarzenia

Leszek Sarnowski – Kongres europejski na bogato	156
Wacław Bielecki – Inauguracyjny koncert Elbląskiej Orkiestry Kameralnej	162

Rozmowy

Wacław Bielecki – Organy zawładnęły mną zupełnie - rozmowa z organistą Jerzym Kuklą	166
Leszek Sarnowski - Praca, pasja, marzenia - rozmowa z muzykami zespołu jazzowego Omnivore z Dzierzgonia	172

Recenzje

Wacław Bielecki - O ziemi z wody wyłonięnej	177
Sebastian Paziak – Okruchy żuławskich wspomnień	179
Justyna Liguz – Knaflę, szneki, topki czyli mały słownik ziemi ryjewskiej	182

Z przymrużeniem oka

Marek Stokowski - Prowincjonalia	184
--	-----

Noty o autorach	190
-----------------------	-----

Piąta „PROWINCJA”

Oddajemy w Państwa ręce kolejny numer naszego kwartalnika „Prowincja”. To już piąty numer, a zatem mały jubileusz. Oczywiście nie świętujemy, mamy nadzieję, że i na to przyjdzie czas, może przy dziesiątym, dwudziestym piątym czy innym numerze, bo na to liczymy - na naszą energię, determinację, a przede wszystkim na przychyłność Państwa. I za to przy każdym kolejnym numerze będziemy dziękować i to nie tylko jubileuszowo.

W tym numerze jak zwykle bogata dawka prozy i poezji w wykonaniu naszych stałych autorów takich jak Janusz Moździerz, Janusz Ryszkowski, Małgorzata Jędrzejewska, Sebastian Kubiak, Andrzej Kasperek (najnowsze opowiadanie), a także debutantów - Izy Plath i Kamila Przeperskiego. W dziale eseju tekst o poecie Andrzeju Lipniewskim, piewcy Żuław, traktat o ... krześle, a także o śladach Miłosa, a właściwie Jego matki, na Żuławach, autorstwa profesora Feliksa Tomaszewskiego z Uniwersytetu Gdańskiego.

W wędrówkach po prowincji Kordian Kuczma poprowadzi Państwa ulicami rodziny Kalksteinów, a Tomasz Agejczyk i Jacek Albrecht opowiedzą o malborskich cmentarzach i odwiecznych problemach między zamkiem a miastem. Tropem kopru i różowego wina trafimy do Waplewa, rowerowymi ścieżkami dotrzemy w najdalsze zakątki Żuław i przedwojennej Strzelnicy w Sztumie. Andrzej Lubiński opowie Państwu o życiu teatralnym i muzycznym sprzed ponad stu lat na Powiślu, Tomasz Gliniecki o ostatnich dniach wojny na mierzei wiślanej, a Leszek Sarnowski o represjach wobec opozycji antykomunistycznej na ziemi sztumskiej. Andrzej Wiłun przypomni czasy budowy kwidzyńskiej Celulozy, a Jerzy Kosacz opowie o kolejnym spotkaniu Klubu Małej Ojczyzny Kwidzyńskiej.

Sylwetkę księdza Władysława Łęgi, niestrudzonego badacza Żuław i Powiśla kreśli Jan Kulas, a Jerzy Kosacz opisuje losy Pana Franka, anonimowego mieszkańca jednego z popegeerowskich osiedli, który doświadczył życia w obozie koncentracyjnym, służby w polskim wojsku na zachodzie, wojny w Wietnamie i nielegalnej służby w Legii Cudzoziemskiej. Wiesława Rynkiewicz-Domino z kolei opowiada o niezwykłych inspiracjach malarki rodem ze Sztumu Katarzyny Smeji-Skulimowskiej.

W muzycznym dziale kwartalnika prezentujemy dwie rozmowy - z Jerzym Kukłą, znanym organistą, który koncertował w tym roku w Sztumie oraz z zespołem jazzowym Omnivore z Dzierzgonia, który na prestiżowym festiwalu muzycznym FAMA w Świnoujściu zdobył w tym roku pierwszą nagrodę. Poza tym polecamy recenzję z inaugurującego nowy sezon artystyczny koncertu Elbląskiej Orkiestry Kameralnej, która cieszy się coraz większą popularnością także wśród mieszkańców Żuław i Powiśla.

Poza tym, recenzje, wspominki, zapiski i kolejne spojrzenie z przymrużeniem oka na naszą odświeżnię - codzienną prowincję, w wykonaniu Marka Stokowskiego.

*Życzymy miłej lektury -
Redakcja*

Andrzej Kasperek

Idąc po lodzie

Słoń maszerował majestatycznie po ulicy mojego miasteczka. W barwnym czapraku i kapie wyszywanej niczym ornat, w kolorowych wstążkach, z ozdobną czapą, a może koroną, na łbie. Stałem jak wryty. Co jest? Skąd tu słoń? Koń, krowa albo nawet wół. To w porządku, ale słoń?!

Wielkie bydlę szło spokojnie, powoli, dostojnie. Jezu, mam już zwidy. Byłem przemęczony. Aby jakoś związać koniec z końcem harowałem na dwóch etatach, łapałem jakieś fuchy. Wiecznie w biegu, ciągle gonitwa, bez obiadu, spałem po parę godzin. Te parę groszy, kilka dodatkowych złotych w niczym nie rekompensowało narastającego zmęczenia i narastającej frustracji. Coraz bardziej przypominałem ducha powrotnika ze słowiańskiej mitologii: chudy, blady, żółte lica, żółte oczy. Wyglądałem jak śmierć na chorągwi. Czułem się za to, jak chomik zapętłony w swym kołowrotku. Pędziłem przed siebie, ale sensu w tym nie widziałem. Męczył mnie sen, w którym piekielnie zmęczony próbowałem dopłynąć do brzegu, a ten się wiecznie oddalał.

Zmęczenie kumulowało się jak trucizna w organizmie. To może wstąpię na jednego - pomyślałem - skoro już mi odbija, skoro pomroczość jasna, skoro mamy omamy. Jak szybko człowiek potrafi sobie wszystko wytłumaczyć, zrelatywizować, wyjaśnić. Szczególnie jeśli chodzi o pójście na wódkę albo zrobienie świństwa bliźniemu.

Fatum, fatum panie. Fata jakoweś pędzą nas w przepaść. Bo obok był bar „Pod Lipkami”. W kategorii spelun i mordowni stał wysoko, o niebo wyżej od „Szlaka” czy „Tużanki”. A już w porównaniu z barem „Pod świnią” zdawał się lokalem kategorii S. Niektóre potrawy nadawały się tam nawet do zjedzenia. Wstąpiłem z ociąganiem, mając wrażenie jakbym dokonywał jakiegoś aktu przekroczenia... Za bufetem stała nieśmiertelna pani Lodzia, zasuszona niczym rodzyńka, która spadła za kredens przed świętami. Tyle, że nikt już nie pamiętał, przed którymi.

Zamówiłem pięćdziesiątkę kontrolną i gapilem się w nią, jakbym chciał ją poruszyć swym wzrokiem, ale moc telekinezy nie była mi dana. Moje medytacje trwały długo i do niczego nie prowadziły. W końcu podniosłem kieliszek i przechyliłem. Fanfary się nie rozległy, ale nie było też alarmowego bucza. Nic się nie stało poza tym, że alkohol wwiercał się w gardło niczym świder przeciskając się przez mięśnie przełyku, prostując jelita i pomalutku ściekając do wątpi. Poczułem gorąco i poluzowałem kołnierzyk. Koszula była stareńka i pochodziła jeszcze z zapasów unrowskich ze stanu wojennego. Zwisła ze mnie smętnie podobnie, jak reszta garderoby.

To był ten pieprzony słoń, czy nie? Mam omamy, czy nie mam? Na szczęście moje rozważania przerwał harmider. Do środka baru wtoczył się szlachcic, rosły facet podobny do aktora Cezarego Julskiego z serialu Czarne chmury. Cały z waszecia, w przepisowym żupanie i kontuszu, w safianowych butach i przepasany (a jakże!) pasem słuckim. Wąs zacny, pański. Ryczał od wejścia na całe gardło: „Bracia – wiara – żołnierze! Rodacy, narodzie polski, bracia umiłowani!”

„Pani da jeszcze setkę” – zakomenderowałem rzeczowo. Podszedłem do stolika, przy którym konsumowało się na stojąco. Było to sprytnie pomyślane, bo barmanka mogła mieć baczenie – jak się ktoś zbyt gibał i tracił postawę wyprostowaną, to mu więcej nie sprzedawała gorzały ani piwa. Wiadomo, że nie tylko od samogonu utrata pionu. Cholera, co się dzieje? Elefant, szlachciura – co jeszcze? Przecież omamy i zwidy ma się od picia a nie od niepicia...

„Julski” grzmiał stentorowym głosem: „Bracia Polacy! Ta wódka was zgubi. Was i ojczyznę naszą. Patrię umiłowaną. Nie dajcie się zwieźć unitom, nie wiercie w ich banialuki o powrocie do Europy, w te duby smalone o wyższości Zachodu nad nami. O jego cywilizacyjnej przewadze prawią. W bałwochwalczym pomięszaniu języków, nazwano cywilizacją modne i wykwintne ubiory, smaczną kuchnię, wygodne karczmy, piękne teatra i szerokie drogi. Ale my tu jesteśmy z dziada pradziada i kiedy nasi ojcowie już tu gospodarzyli, to te różne Niemcy jeszcze po lasach na czworakach chodziły i surowe kartofle jak świniaki jadały. Pamiętajcie, że gorszy z Was lepszy jest niż dobry cudzoziemiec; bo każdy z Was ma ducha poświęcenia się. Nasi królowie i ludzie rycerscy nigdy nie napastowali żadnego narodu wiernego, ale bronili chrześcijaństwo od pogan i barbarzyńców niosących niewolę. Do Europy – tak, ale razem z naszymi umarłymi. Nasi szacowni nieboszczycy nie są gorsi od ich trupów. Po co nam ta Unia Europejska? Bracia, wiara, Polacy! Posłuchajcie mnie – nie wiercie tym różnym Buzkom i Geremkom, tym przechrztom, lutrom załganym i łże masonom. Gęby mają pełne Europy, ale tylko dojczemarki i inne ojro im w głowach. Tylko czekają, żeby nas sprzedać Niemcom i Żydom. Tak ich oślepiło złoto, że Ojczyznę naszą chcą sprzedać. Zaprzańce chrześcijan prawdziwych w jasyr oddać gotowi. Fałszywi prorocy, którzy chcą nas poprowadzić z ziemi żydowskiego komunizmu w niewolę żydowskiego kapitalizmu. A inny jest rozum żydowski, a inny chrześcijański. Niech Pan Bóg i Najjaśniejsza Panienka nas wezmą w obronę!”

Pijacy byli pod wrażeniem. A ja miałem poczucie, że skądś to znam. Tę naszą manię wyższości i przekonanie, że polski brudny kibel pachnie lepiej niż mydełko „Fa” a polska dziurawa droga i tak jest lepsza od niemieckiej autostrady. Naszość dobra – ichniość zła. Nasze cacy, ich be. Rzygać mi się już chciało od tych pseudomesjaszów, od tego bełkotu... Naoglądałem się już tych kieszonkowych proroków w przyciasnych garniturach i koślawych bu-

tach, wieszczów z niesprzedanymi tomikami swych wycieczek w aktówkach ze skaju, fałszywych trybunów ludowych, którym zupełnie było obojętne, gdzie i do kogo mają wygłaszać swe tyrady. A jednak cel został osiągnięty. Prawdziwy, niefarbowany Polak przerwał, a jeden z bywalców podbiegł do niego z kuflem pełnym piwa. Trudno było o większy dowód uznania wśród pijackiego plebsu. Waszmość wypił, odstawił szkło i strzepnął pianę, która osiadła na wąsiskach. Sięgnął za pazuchę i wyciągnął garść kolorowych obrazków. „Bracia, to cegiełki dla rodaków na Wschodzie! Trzeba im pomóc! Wesprzeć niebożęta.”

W tym momencie „Pod Lipki” zajął patrol. Policjanci obrzucili badawczym wzrokiem wnętrza i pilnie rozglądali się po kątach. Sarmata schował twarz za kuflem i jakby skurczył się. Ale to nie jego szukali. Tym razem to nie on był poszukiwany. „Jest! – krzyknął gliniarz po chwili – wyłaż łajzo!” Dopiero teraz zauważyłem, że pod oknem na podłodze przysiadł facet w jasnym, wyszywanym i obszytym cekinami kubraku, w turbanie na głowie. Jezu, to ile ja wypilem? Próbowałem gorączkowo zebrać myśli. Oj, źle ze mną. „To ten ciul od słoncia, uwiązał go do drzewka w parku i sam poszedł na wódkę. Fakir pieprzony! Pójdziecie obywatelu z nami.” To słowo padło siłą bezwładu. Byłemu milicjantowi trudno było przestawić się na mówienie per pan. Opiekun słoncia, jak się okazało miał go poprowadzić przez miasto jako żywą reklamę cyrku, który do nas zawitał, ale bar został wzięty a słon przywiązany. Bełkotał teraz nieskładnie: „Żem uwionął lalczkę. Toć, żem uwionął...” Szlachcic machał znowu cegiełkami, ale jego pięć minut już minęło. Ulżyło mi.

Ten zapluty bar, wyglądający niczym szynk z powieści Dostojewskiego, przypominał mi zdarzenie sprzed lat. Był początek lat osiemdziesiątych. Parszywa epoka stanu wojennego. Alkohol na kartki, suchy zakon, Gdańsk był zupełnie wyschnięty. Leżeliśmy na wyrach w akademiku i niczym żałośni gawędziarze erotyczni snuliśmy wspomnienia alkoholowe. Czasami wyruszaliśmy w poszukiwaniu czegoś mocniejszego. W trakcie jednej z takich pielgrzymek uznaliśmy, że trzeba szukać dalej... Pojechaliśmy do Chwaszczyna, wioski już na Kaszubach. Tam w knajpie na rozdrożu podano nam fioletowy drink łudzaco podobny do jagodzianki na kościach.

Tak dowcipnie nazywano denaturat, skażony spirytus, który miał na etykiecie trupa czaszkę i skrzyżowane piszczele. Poza tym miał odstraszać fioletowym kolorem. Ale wszystko to na nic, bo zawsze znaleźli się tacy, którzy kierując się nieśmiertelną zasadą stosunku jakości do ceny i tak kupowali dyktę w celach konsumpcyjnych. Przefiltrowana przez chleb ponoć nadawała się do picia. Dynks to był napitek tych, którzy zeszli już najniżej w swym tańcu z alkoholem. Woda brzoźowa, spirytus salicylowy, borygo – to były ich trunki. Niczym z poematu Moskwa-Pietuszki Wienieczi Jerofiejewa. Z jego polskiej wersji... Nasz drink swój kolor zawdzięczał nektarowi

„Płynny owoc” o smaku zbliżonym do czarnej porzeczki. Była to zmyłka. Barmanka podała nam zabarwiony alkohol, który udawał soczek, bo było przed trzynastą. Ową magiczną godziną, która otwierała drzwi sezamu.

Ledwie wprowadziliśmy do organizmu po dwie szklaneczki, nadeszła kelnerka z hiobową wieścią: „Zamykamy. Przyjechali z geesu. Renanent.” „Królowo. To jeszcze po jednym chociaż.” „Nic z tego. Już siedzo w biurze. Kerownik mnie wyrzuci.” Obok była pijalnia piwa. W plenerze na ławach stały kufle, pokale, kanki a nawet szklany klosz, który jakiś desperat ściągnął spod sufitu, aby wykorzystać go w praktyczniejszym i bardziej ambitnym celu, niż osłanianie jakiejś tam żarówki. A niech ją muchy obsrają.

Kolejka była ogromna, kilkadziesiąt osób. Ślimaczyło się strasznie, bo klienci musieli mieć własne naczynie. Niektórzy przychodzili więc z baniami, wiadrami, żeby nie stać ponownie w ogonku. Rekordzista przytargał nawet ogromną kanę na mleko. Wkurzony bufetowy wciąż musiał wytaczać z piwnicy nowe beczki, odszpuntowywać, podłączać do pipy... Potem podchodził nawalony Kaszub z wiadrami i beka była opróżniona. Trzeba było zaczynać wszystko od nowa. Chłał ten naród niemiłosiernie. Obok stały wozy. Konie przebierały nogami, zapomniane i głodne. Pewien pijany fest bamber (ćwiczył „dżyn w dżyn a niedzela dubelt” – jak mawiano w tych stro-nach) chwiejnym krokiem podszedł do szkapy, postawił przed nią wiadro z płynem, którego już nie mógł wypić i częstował konia. Spragnione zwierzę chleptało bez entuzjazmu a właściciel zachęcał je: „Pijże, pijże. Dobrze. Móm ce kùpioné.”

Ledwie usiedliśmy przy rozchwierutanej ławie stawiając ostrożnie wyszczerbione kufle a już nad nami pojawił się sęp. Gibał się ryzykownie i mamrotał: „Pijta szybci. Chładko chłopaki. Szklá potrzeba.” Piwo przestało nam smakować. Mieliśmy ochotę go lekko poturbować, sflekować odrobinę, ale wyglądał na miejscowego. Kto tu zresztą poza swoimi przychodził? Chyba tylko tacy zdesperowani poszukiwacze browaru jak my, którzy wsiadali na pętli w Oliwie w podmiejski autobus i zamiast do ZOO jechali do kaszubskich wsi, bo tam łatwiej można było go dostać. Marek sącył piwo, które choć ze świeżej beczki trąciło kwasem, bo jak wszystko tutaj było byle jakie, liche, drugiej a może i trzeciej jakości. „I jak myślisz? To już zawsze tak będzie?” „Co zawsze?” „Wiesz. Ta nasza Polska. Nasza koślawa ojczyzna. Ten bękart Wersalu, wypierdek narodów. Ten burdel, ta bylejakość i siermiężność. Kwaśne piwo lub jego brak? Rów, w którym płynie mętna rzeka i barak nazywany pałacem sprawiedliwości? Zawsze już będziemy czymś gorszym? Bez szans? Bez przyszłości? Skazani na klęskę i w niej się lubujący, zachochani we własnym nieszczęściu?” „Tak. Zawsze, bo tobie się marzą czyste ubikacje, sto gatunków sera i szynka parmeńska, punktualne pociągi i brak cenzury... To dlaczego nie wyjedziesz, co cię tu trzyma? Boguś wyjechał.” „Bo to jest moje, tu wyrośłem i tym przesiąknę. Bo umiem na pamięć wierszyk

Bełzy i piosenkę Żeby Polska była Polską. Poza tym nie chcę być obywatelem drugiej kategorii, gastarbeiterem zrywającym sałatę i szparagi dla Niemca albo truskawki dla Szweda. Ja ufam poetom a nie wierzę politykom. A taki jeden napisał, że ona jest jak nasza matka:

Matka mądra jak wieża kościoła
Matka większa niż sam Rzymski Kościół
I pobożna jak partyjny dziennik
Matka piękna niczym straż pożarna
I niecierpliwa jak oficer śledczy
I prawdziwa jak gumowa pałka
Matka dobra jak piwo żywieckie
Piersi matki dwie pobożne setki
I troskliwa jakby bufetowa
Matka boska jak Królowa Polski
Matka cudza jak Królowa Polski.

„Opuściłeś kilka wersów, cytuj dokładnie” - powiedział Marek, stojący na straży filologicznej wierności. „Odpieprz się, przecież cytuję z pamięci – odgryzłem się. - To pijane chłopstwo jeszcze dwa lata temu zapisywało się do Solidarności Rolników Indywidualnych, gardłowało za Kułajem, śpiewało w kościele Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie... A teraz bełkoczą.” „A my sami lepsi? Inteligencja, jeszcze niepracująca. Konspiratorzy z Bożej łaski, niedoważone chłystki, młodzież swawolna, element antysocjalistyczny. Dla Polaka też byś szparagów nie zrywał. Chodź, spadamy stąd. Wynosimy się!”

Wyszliśmy na ulicę. Szliśmy w stronę przystanku autobusowego. Spojrzałem na tablicę odjazdów z odległości kilku metrów. „Za 15 minut będzie kurs do Gdańska.” „Ty widzisz z takiej odległości?” – niedowierzał kolega. „Tak, mam taki dar.” „To może mi powiesz, co widzisz w przyszłości, za dziesięć lat?” „Ciemność, widzę ciemność, ciemność widzę...” – wykręciłem się sprytnie od odpowiedzi.

Szlachcic z nadzieją, która ponoć umiera ostatnia, próbował zebrać choć parę złotych, ale szans już nie miał. Nawet na to, że ktoś mu postawi jeszcze jedno piwo. I wtedy zawołałem go do swojego stolika. „Bracie kochany. Może...” Podsunąłem mu pokal i pokazałem palcem, żeby nic nie mówił. Wszystko już słyszałem a piwo było nagrodą za jego fantazję... Dopił i zniknął. Zamówiłem jeszcze jedną kolejkę i zastanawiałem się nad tym, ile jeszcze wytrzymam tę gonitwę. Szumiało mi już w głowie, bo piłem bez zakąski. Głupi, oszczędny zwyczaj, wyniesiony z czasów studenckich.

Kiedy zasłałem w czasie lekcji a czerwona jucha, która buchnęła z nosa pobrudziła mi koszulę, postanowiłem się przebadać. Lekarz ostukał mnie, opukał i zaczął wypełniać formularz wywiadu. „Palisz?” – spytał doktor Baszkirów, znany z tego, że walił wszystkim na ty, nie zważając na wiek i rangę.

„Już pół roku nie” – odparłem z dumą, która wprost mnie rozsadzała. „Daleka jest droga do Tipperary...” – stwierdził melancholijnie i zanucił melodię, którą pamiętałem z filmu o Franku Dolasie. „A co pan doktor ma na myśli właściwie? – byłem dociekliwy. „Doktor? A skąd u ciebie taka dykcja, młody człowieku? No to doktor Piotr ci odpowie: jeszcze zapalisz, będziesz rzucił i wracał do fajek. Myślisz, że jak odstawisz papierosy, to wszystko będzie OK, bo to ty decydujesz a nie one. „To, co mam zrobić?” „Wiesz, jak to powiedział pewien zawodnik w Wielkiej grze do sędziego Cichosza: Poproszę o inny zestaw pytań.”

Kiedyś przeczytałem, że Werner Herzog, kiedy się dowiedział, że jego przyjaciółka Lotte Eisner leży w Paryżu śmiertelnie chora postanowił, że pójdzie pieszo z Monachium do stolicy Francji. Prawie tysiąc kilometrów, mimo tego że była zima. Wierzył, iż to pomoże jej przeżyć. Silna to była wiara, bo zastał ją żywą. Opisał to w książce *Vom Gehen im Eis*. Pomyślałem, kiedy ojciec wyszedł ze szpitala, że jak nie będę palił, to on wyzdrowieje. Ale chyba moje śluby były za słabe albo wiara była licha, albo całe to postanowienie było idiotyczne lub zbyt desperackie. Co to była za stawka? I dla kogo?

Wróciłem do domu. Sąsiad przyniósł telegram, który przyniósł listonosz. Był od siostry. Pisała, że ojciec zaniemógł. Był coraz słabszy. Jego miesięcznie wiotczały, wręcz zanikały. Nie mógł już chodzić bez pomocy. Tata zaczął znikać, podobnie jak mama kilka lat wcześniej. Malał i kurczył się, wysychał jak zapomniane na strychu jabłko. Potrzebna była laska.

Ale skąd tu wziąć laskę? Stukałem, pukałem, dzwoniłem i w końcu się udało. Ileż to zachodu kosztowało, żeby zdobyć kawałek zakrzywionego kija. Musiałem zawieźć ją jak najszybciej. Akurat zbliżała się Wielkanoc. W Gdańsku miałem przesiadkę. Nie pomyślałem, że będą takie tłumy, ale przecież był to czas ferii. Na przystanku ścisk był straszny i wiadomo było, że kierowca wszystkich nie zabierze a następny kurs będzie dopiero za kilka godzin. Był Wielki Piątek – watahy ludzi wracających z zakupów, objuczonych albo z pustymi rękami, za to wściekłych, że nic nie dostali. A do tego gromady uczniów i studentów. Tłum gęstniał, napierał na barierki. Ludzie wciskali się bez kolejki, pchali się na chama. Autobus spóźniał się. Wreszcie chrypiąc okropnie zajechał stary ogórek. Kierowca władczy gestem otworzył drzwi i stanął w rozkroku. Miał moc, był jak Cerber. Tyle, że tamten pilnował bram Hadesu a ten tylko drzwi rozklekotanego pekaesu. Ale po minie widać było, że czuje się pewnie, niczym św. Piotr u bram Edenu. Z góry mógł objąć okiem całe beczące stado dwunogów. „Tylko z miesięcznymi” – zaordynował. Przepychanie, tratowanie, kurwowanie, jęki, ścisk, Sodomą i Gomorą...

W końcu nie wytrzymałem – zacząłem wymachiwać laską i wrzeszczeć: „Ludzie opamiętajcie się! To dzień Męki Pańskiej. Tacy jesteście, kurwa, katolicy?! Wy naród chrześcijański, Polaki sprawiedliwe czy dzicz moskiewska?”

Wszystkich zatkało. Kierowca krzyknął gromko: „Pan z łaską pierwszy.” Ciżba się rozstąpiła jak Morze Czerwone. Dumnie przeszedłem do drzwi i stojąc już na schodach odwróciłem się jeszcze i zupełnie kabotyńsko, ale nie mogłem się opanować („bo to jest wieszczą najjaśniejsza chwała”) wyrecytowałem: „Pax, pax między chrześcijany!”

Szedłem do starej zaniedbanej kamienicy w B., gdzie mieszkała siostra z ojcem. Szczęśliwy, że w ogóle się tam dostałem, wywijałem łaską jak jakiś artysta wodewilowy. Zupełnie bez jakiegokolwiek sensu nuciłem popularny wtedy kawałek: „Mój jest ten kawałek podłogi...” Przyczepił się do mnie i nie mogłem się go pozbyć. Wszedłem na słabo oświetloną klatkę schodową i owionął mnie zapach wilgoci, który dobywał się zza niedomkniętych drzwi od piwnicy, w której stała ciągle woda. Wbiegłem na półpiętro i w półmroku zobaczyłem wieko trumny oparte o ścianę przy drzwiach mieszkania Teresy. W środku było za mało miejsca. Nogi mi zwiotczały i pewnie bym się przewrócił, gdybym instynktownie nie podparł się łaską. Tą samą, którą jeszcze przed chwilą wywijałem jakbym był Ludwikiem Sempolińskim. Przyszły do mnie słowa psalmu: „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną. Twój kij i Twoja łaska są tym, co mnie pociesza.”

Wracalem do domu. Trzeba było zorganizować pogrzeb. Wczesny autobus jechał trochę inną trasą niż zwykle. Przedzierał się przez jakieś prawie polne drogi, błędził wśród sinych jezior, kaszubskich bieda łasków i martwych ośrodków wypoczynkowych FWP, stawał na niewidocznych przystankach. Przedwiośnie zdmuchnęło już z dachów bud najbliższych łód i śnieg - ogrzało już je naturalnym powiewem. Pourywane rynny, dziurawe dachy, spleśniałe ściany już niedługo litościwa wiosenka zasłoni zielenią. Skryje to wstrętne widowisko. Przedwiośnie? Nie, to cała wiosna w tym roku je przypominała. Brudna, pełna borych, szarych i beżowych półkolorów. Pokraczna pora, w której nic nie przypominało zmartwychwstania, które obiecywała.

Ale tym razem wcale mi to nie przeszkadzało. Patrzyłem na przyrodę, która po raz kolejny usiłuje zebrać siły, żeby zwlec się z barłogu, której się to już dawno znudziło i po prostu nie chce się jej. Siedzi na łóżku z nogami już opuszczonymi i drapie się po głowie myśląc, czy wstawać czy wałnąć się znów do wyrka. Czy starczy jej sił, żeby podnieść się i zrobić kilka kroków. Dość tych głupot! Trza wstać i robić swoje. Gapiłem się za okno i w głowie odzywały się dźwięki Te Deum Brucknera a ojciec szeptał: „Kiedy w daleką odjeżdżasz krainę, ja kończę moje na ziemi wygnanie...”

Czas mijał a ja spotykałem tatę na ulicy. Nieraz biegłem za staruszkami w ortalionie albo wytartej marynarce, który szedł powoli dźwigając skórzaną torbę tak wypchaną po brzegi, że trzeba ją było ścisnąć paskiem. Taką samą,

jak te, w których kiedyś urzędnicy za PRL-u nosili urzędowe papiery i kanapki na drugie śniadanie. Kiedy go mijałem i już miałem powiedzieć: „Daj, poniosę, to ciężkie”, wiedziałem, że to tylko przywidzenie. Patrzyłem w obcą twarz przechodnia i wiedziałem... Kiedyś z identyczną torbą wchodził do naszego małego mieszkania i stawiał ją dumnie na kuchennym stole. Potem z namaszczeniem wyjmował słoiki z powidłami i dżemem truskawkowym. Z pasztetem i pastą rybno-twarogową, z klinkiem twarogu odcisniętym we własnoręcznie zrobionej prasce. Jak dziecko czekał na nasze pochwały oraz okrzyki zdziwienia i zachwytu. Cały wtedy promieniał. Po śmierci mamy sam się wziął za kucharzenie. Jego eksperymenty kuchenne, czasem ryzykowne, dawały nieraz zadziwiające rezultaty. Połączenia smaków i składników były czasem oryginalne, ale nigdy nie przeszarżował. Wszystko było swojskie, smaczne, prosto od krowy, z działki, grządk i kurnika. Mleko zamieniało się w śmietanę i zsiadłe mleko. Te w masło i twarogi. Zgliwiały ser był smażony. Zapewnie, gdyby śmierć mu nie przeszkodziła, to skosztowalibyśmy jego serów typu holenderskiego i szwajcarskiego. Prawdopodobnie smakowałyby nie gorzej niż goudy i gruyery z Melkerei Leonhard Krieg, jaką prowadził w Tiegenhof, bo tak do 1945 roku nazywało się moje miasteczko, pewien Szwajcar.

Po dwóch latach przestałem go spotykać. Dziwne, ale mama nigdy do mnie nie przyszła. Nawet we śnie.

Czasem zastanawiam się, jak by ocenił to, co stało się po Okrągłym Stole? Co by pomyślał o tych czasach? Jak go znałem, to prawdopodobnie powtórzyłyby anegdotę, którą pamiętał jeszcze z czasów szkoły elementarnej w Chęcinach. Wspominał z melancholijną zadumą, jak ich nauczyciel, stary peowiak, czasem częstował ich taką opowieścią: „Tak dzieci. Polska jest jak krowa, kto ją złapie za cycki ten doi. A kto złapie za ogon, to ma... Gówno!” – dopowiadali wówczas uczniowie, szczęśliwi, że bezkarnie mogą użyć słowa, za które w innej sytuacji dostaliby linialem po łapach. Może ich pan znał zasadę *licentia poetica*? Na pewno stosował ją w praktyce.

Zastanawiałem się, za co ja złapałem? I przypominały mi się słowa menonickiego porzekadła: Die ersten hatten den Tod, die zweiten die Not, und die dritten das Brot. Pierwsze pokolenie czeka śmierć, drugie – bieda, a dopiero trzecie – chleb. Do którego pokolenia należę?

Janusz Moździerz

Obywatel Bosko

- fragment powieści

Część II CIEMNOWIDZENIA

Facet żył.

Czterokrotnie rok po roku Mleczną Rzekę skuwał lód. Prawdziwy ewenement. W Kamiennej najstarsi tuziemcy pamiętali tylko jedną zimę, przed nadejściem obcych, gdy wartka woda stanęła chropowatą taflą łącząc oba poszarpane brzegi. Niezwykłe zjawisko komentowano, jako rychłą zapowiedź nieznanego kataklizmu. I jak to często bywa, w osądach miejscowych wolnomyślicieli tkwiło ziarno racji. Przez następnych pięć lat niebo poskąpiło opadów, a ludzie ponownie brali z pełnym szacunkiem coraz ciemniejsze bochny chleba, kroili delikatne kromki bez okruszyn, modlili się i klęli na przemian; szlachetne odmiany traw na pastwiskach wypadły z runi, przeredziły się wiśniowe sady – nawet twarde rozłogi plennego perzu wyrudziały całkowicie.

Więc kiedy wreszcie w czas mizernych żniw nadciągnęły czarne chmury, dla gradowych kul bombardujących kiepskie zasiewy wkrótce zabrakło obiektów ataku... I tak zakończyła się kilkuletnia ofensywa przyrody na Kamienną. Niechcianym godzinny gradobiciem. A tuż za rzeką nie padła ani jedna lodowa kropla! Co odważniejsi mędrkowie cichcem wydawali opinię, że ktoś do takiej klęski dobrze przyłożył rękę, ale bali się wskazywać adresata swoich podejrzeń... Mówili – jak zazwyczaj – ogólnikami. I tak zostało.

Oczywiste, że złośliwość aury sprzyjała narastaniu pokory; tak to u zestrachanych o własny byt ludków bywa. I na to nie ma rady. Pełnych inteligentów trafia to rzadziej, ale oni raczej nie bywają hurtowym towarem na giełdzie ogólnoludzkich interesów...

Po niedobrych latach natura zaprzestała wreszcie wystawiania na próbę odporności ludzi z Kamiennej. Nieliczni oporni emigrowali wcześniej. Krewnych Bosko żywioł wymiótł ku lepszym rejonom. On pozostał, żył nadal w chylącym się ku upadkowi domu – niczym samotny pies pilnujący opuszczonej przez niewiernych gospodarzy zagrody. Ominął go jesienny pobór, choć przy jego widocznym na pierwszy rzut oka inwalidztwie kwestia zaliczenia do kategorii „niezdolny do służby kat. D” wydawałaby się nie obeznanym z procedurą oczywista; a jednak w rzeczywistości okazała się dość skomplikowana, przewlekła i nieco komiczna. Sprawa większości mężczyzn (w tym i grupie utalentowanych symulantów) znana jest od dawna.

Na całym świecie komisje lekarskie kwalifikujące nowe roczniki do bram koszar, są wyjątkowo podejrzliwe – ponad przyzwoitą miarę; w każdym bez wyjątku upatrują potencjalnego kandydata na wymigiwacza od zaszczytu pełnienia etc.

Nie inaczej stało się w przypadku poborowego Bosko. Człowieka pozbawionego od lat kilku możliwości podglądania rzeczywistości bez ustnej podpowiedzi zaprzyjaźnionej i uczynnej osoby. Krócej – niewidomego z winy zakończonej dawno wojny i niedbałości nieznanej ekipy ówczesnych wojaków zobowiązanych do poszukiwania i rozbijania niewybuchów. Chłopaków pewnie tak samo młodych jak on. Ot, przewrotność losu..! Teraz jego chcieli w kamasze...Dobrze, że ktoś bystrzejszy dojrzał kalectwo kandydata na rekruta, na tyle wcześniej, że Bosko nie musiał przymierzać zielonego drelachu...

Wreszcie po otrzymaniu dokumentu z odpowiednim wpisem zwalniającym raz na zawsze od „zaszczytnego obowiązku dla narodu”, niewidomy skorzystał z nowego pomysłu na odmianę dotychczasowego trybu życia. Było nie było, poczuł się zwolniony od obowiązku służenia innym; postanowił służyć sobie. Oczywiście w sposób najwygodniejszy, wykorzystując niejako przy okazji, inne postacie przewijające się na niewielkiej scenie, jaką stanowiła Kamienna.

Upłynęło niemało chwil. Zabawnych i ponurych. Pełnych napięcia i nudy. Wiele przepuszczonych bezpowrotnie nocy....

Wreszcie, po ostatnim nocnym seansie zawiedziony Bosko postanowił zmienić partnerów i dotychczasowe miejsce spotkań towarzyskich – i (w tajemnicy przed resztą społeczności) światopogląd. W trakcie głębokich dociekań doszedł do wniosku, że wyjątkowo interesującym punktem poznawania świata, może być zwykła uliczna ławka posadowiona na skwerku przylegającym do biblioteki publicznej. Przypuszczał, nie bez dania racji, że w pobliżu powszechnie szanowanego – i powszechnie omijanego - przybytku kultury masowej, mogą gromadzić lub choćby pojawiać się sporadycznie osobnicy o ciekawych poglądach i dobrze rozwiniętej wyobraźni.

Nie popełnił tym razem fatalnej omyłki. Przynajmniej z pozoru. Już pierwszego dnia zawarł nową znajomość.

STARA K. przychodziła pierwsza. Taka była z niej wcześniaczka. Zanim leniwe słońko nagrzało zielono obskubane szczeble ławeczki. Zaraz po Bosko. Nieraz równocześnie z nim, ale nigdy nie udało się jej wyprzedzić niewidomego, choć wyglądało, że zależy jej bardzo na pierwszeństwie zajęcia wygodniejszego miejsca. Lecz nie miała tzw. przebicia czy tylko dobrej passy – przynajmniej w kwestii zajmowania pierwszeństwa. No i tak było wciąż. Dziwna kobieca ambicja. Nie zaspokojona w tym mało istotnym dla Bosko względzie.

Przybywający wcześniej rozpoznawał jej zapach, zapach nim zdążyła wypowiedzieć codzienne powitane (Po francusku !). Oczywiście nie ruszał się ani o cal ze swego miejsca, uznawał pierwszeństwo w następstwie czasu i nie musiał znać zawilosci czy tylko podtekstu obcego języka.

Ona zresztą nie zwracała najmniejszej uwagi na niemily fakt niedouczenia sąsiada, zasiadała przeważnie na drugim końcu i siorbała głośno (w slangu: dawała równo w szyjkę) piwo prosto z butelki. Po dwóch takich flaszkach - a przynosiła zazwyczaj komplet - jak się dziś mówi: sześciopaka - czyli pół tuzina, stwierdzała ochoczo: „To nieprawdziwe dziady, mój mały, nawet nie dziady kalwaryjskie, zwykłe chamidła, i źle skończą, jak każdy fałszywy dziad !”

Bosko, choć go bardzo korciło, nigdy nie spytał kogo miała na myśli ani o liczbę onych nieładnie określanych przez piwoszkę osobników, nawet wygodniej mu tak było, gdyż miał możliwość dowolnej interpretacji własnej słów piwoszki - doskonałej znawczyni obyczajów nieobyczajnych, od strony praktyki i teorii również. A tę rzecz lubił niezmiennie czynić w samotności ducha.

Gdzieś przy końcu czwartej porcji chmielowego napoju kobieta zaczynała się wiercić niespokojnie, niecierpliwość ruchów korpulentnej wzrastała gwałtownie, ławka stawała się przyciasna i Bosko wyczuwał na chudych żebrach mocno napierający łokieć sąsiadki. Wtedy nieodmiennie chwyciła go ciepłe dreszcze; nie pragnął odchodzić - choć był po prostu spychany na głębę - czuł przy sobie bezwzględna siłę grubego cielska, to ciało zaczynało nagle mówić bardzo ciekawie, więc odsuwał białą łaskę wieszając ją na oparciu ławki i potakująco kiwał głową przymykając powieki, żeby lepiej chwycić cudze myśli.

Pierwszym stwierdzeniem STAREJ K. było: „Muszę iść sama w krzaki”; szła, potem wracała na miejsce, gulgotała kolejny browarek i wtedy nachodziła ją melancholia - najczęściej na przedwojenną nutę.

Bosko nie pytał o jaką przedwojną jej chodziło. Był młodszy przynajmniej trzykrotnie i wcale mu na żadnej wojnie czy podobnej zawierusze znowu tak bardzo nie zależało, choćby później nazywano ją którąś tam światową! Zupełnie nie zależało . A jednak tamten przeszły czas wydawał mu się ciekawszy od teraźniejszości. Bez kozery.

Mowa STAREJ K. brzmiała po wyszczaniu się pełnym, mniej więcej tak: „Ja była niewinna dziewczyna z rodu – tu następowała cała litania prapragenitur; nikt oprócz wspominającej nie miałby szans rozróżnienia powikłanych więzów pokrewieństwa wyliczonych osób płci obojga - coś ci ciekawego powiem mój mały. Te siedzące w ciepłych majtkach w ciepłutkich domach marznąć marzą...Ich marzenia są skupione. Nie, nie chodzi o coś takiego, czego można by się domyślać od razu - nie, nie! One marzą naprawdę; nie mówię o byle cipkach jeszcze nieprzetartych seksualnie! Głowię się

z tobą wspólnie nad losem prawdziwych kobiet zamkniętych dobrowolnie w zakamarkach domowych pieleszy. Są tam całe ich tabuny – cipulek nieza-spokojonych...”. Są biedne i wciąż będą szukały. Marzą im się karnawałowe suknie z cekinami, szampan z taką to a nie inną etykietą, juhas, byk, cichy oddany albo skrzywdzona nieśmiałością młodości skrytobójcza miłość... Nie! Skiepszczony obrazek! Jest inaczej! Mówię ci mały! One, te kwoki, suki wierne z instynktem okaleczony jednym niecelnym strzałem domowego chuja, warują przy swoich panach – nie posiadły ich nigdy! – ale wierzą w sukces i starannie pielęgnują własne wierzenia. A ich władcy, co niedzielną wieczór ładują nieodmiennie w burdelu – chłopczyku nie oglądający tego niedobrego światka..! Tak jest właśnie i tak było i będzie...”

Bosko wietrzył w tych niewybrednych atakach podstęp ze strony STAREJ K., a nawet pewnego rodzaju rozgoryczenie spowodowane prawdopodobnie wypadnięciem z obiegu i wyparciem na ulicę przez młode pokolenie, a więc i odrobinę wylanej raczej bezowocnie złości. Na wszelki wypadek wołał nie ujawniać swojego zdania i w czasie przerwy STAREJ K. na dopicie ostatniej flaszki trochę pomrukiwał pod nosem, co można by od biedy uznać za akceptację opinii wygłoszonej tonem nie znoszącym sprzeciwu, z nutą doskonale odczuwalnej profesjonalności w poruszaniu się wewnątrz obyczajowego zagadnienia dotykającego relacji między płciowej...

Opuszczali przeważnie ławkę rozchodząc się w przeciwne strony, kiedy słońko chowało się za sygnaturkę na wieży kościelnej.

NIEZIDENTYFIKOWANY DO KOŃCA przychodził wyłącznie w niedzielne przedpołudnie, gdy wielobarwne tłumy – nieco przerzedzone emigracją – zdążyły na sumę. Pozostałe dni prawdopodobnie spędzał w podróży śledczej. Przysiadł tak jakoś jednym półdupkiem – tymczasowo – szeleścił ortalionowym płaszczem i miał denerwująco śliską nylonową koszulę rozpiętą pod szyją. Mawiał o niej: „to jest non irone” – co nieodmiennie wkurwiała niewidomego, bo nie znał języków obcych, a na naukę było już za późno. Zresztą kto by go mógł w Kamiennej nauczyć mowy ludzi z innego kraju?!

NDK palił fajkę nabijaną aromatycznym tytoniem i nie miał zwyczaju zapinania do końca rozporka przykrótkich spodni w amerykańskim stylu. Mówił niewiele i dość niezrozumiale. „To miało być wszystko inaczej, ale nie może być..” albo: „Koniec świata nastąpi w dniu jego początku..”, lub: „udżkość zmierza ku pranarodzinom” czy – „Tej manny nigdy nie dostrzeżesz w odpowiednim czasie”. Później zaciął się; miał drobną wadę wymowy, która z pewnością peszyła go podczas publicznych wystąpień, wołał więc rzucać przed słuchacza oderwane myśli.

W podnieceniu spowodowanym niemożnością wypowiedzenia się w pełni, wyciągał z kieszeni błyszczący srebrzyście duraluminiowy korkowiec ładowany od przodu, czyścił go specjalną, noszoną w futerale żółto tkaną chustą, parokrotnie naciągał sprężynę iglicy, mierzył gdzieś w przestrzeń ponad konarami rozłożystych kasztanowców i pociągał z widoczną lubością za boczny spust; straszak wydawał wtedy głuchy dźwięk przy uderzeniu iglicy w pustą komorę, a Bosko za każdym razem podskakiwał na ławce i uderzał później boleśnie tyłkiem o chropowate siedzenie.

NIEZIDENTYFIKOWANY DO KONCA powtarzał głupawą czynność płosząc niewidomego, aż do zupełnego uspokojenia roztrzęsionych mówieniem nerwów, później zawijał pieczołowicie atrapę w miękki materiał, rozglądał się bacznie po najbliższej okolicy, chował pakunek do wewnętrznej kieszeni w okolicy lewej pachy i zbierał myśli do kolejnego przerywanego monologu.

Bosko jakoś instynktownie odczuwał w stosunku do jego osoby nieufność. I nigdy nie zabierał głosu. Dziwił się jednak, że posiadacz drogiego płaszcza zjawia się tylko w niedziele i czasem przynosi oprócz korkowca teatralną, zgrabną lornetę, którą zawsze wtyka niewidomemu do drobnej ręki. Ale nigdy nie oponował. Coś go powstrzymywało przed jawnym okazywaniem niechęci czy choćby tylko odrobiny oporu; może myślał wtedy o latach, gdy jego wzrok nie potrzebował żadnej pomocy w wypatrzeniu porządnego człowieka..?

Lecz to mogą być tylko domysły prowadzące na manowce... Sam Bosko nie wydawał się być skłonny do wyjawienia skrywanych myśli o NDK... Potem gość bez pożegnalnej mowy i podawania ręki nagle odchodził, aby powrócić na czas kolejnej sumy.

Samotny Bosko nie miał do niego żalu za nietaktowne zachowanie; Bogiem a prawdą, nigdy do nikogo nie wygłaszał głośno słów odczuwanego sprzeciwu w sprawie chamskiego zachowania. Taki był... spolegliwy – w opinii właściciela przykrótkich spodni. Bosko nie znał także tego terminu, więc wołał na wszelki wypadek milczeć. Nie za bardzo ciekawiła go treść tego jakiegoś „spolegliwego” – coś mu śliskie słówko pachniało padliną, ale nie wiedział czemu..? A jak padlina cuchnie to już każdy pędrak wiedział w Kamiennej i omijał takie przypadki z daleka! Niewidomy nie stanowił w tej kwestii wyjątku.

Nieregularnie, wedle własnego widzimisię, zjawiał się z rumorem sprzętu KATARYNIARZ. Gdy był trzeźwy – a taka rzecz miewała czasem miejsce – mawiał: Wszystko jest constans, rozumiesz durny człowieku ?! Jeśli urodziłeś się tam, gdzie cię matka donosiła, nie udawaj Greka, swój człowieku i patrz pod nogi – łatwo znajdziesz srebrną monetę zagubioną przez tamtego...

Po pijanemu zmieniał pogląd powtarzając bystro za kimś o kim nigdy nie słyszał: *Panta rhei* – i najczęściej śmiał się nieprzyjemnie, wzgardliwie, jakby pragnął w ten sposób poniżyć samego siebie w oczach całego przekłętą tego świata ludzi dorosłych.

Tak odczuwał przynajmniej znaczenie wydawanych przez okupującego lewy skraj ławki dźwięków, Bosko. KATARYNIARZA najczęściej można było wypatrzeć w dni targowe, choć nie stanowiło to zasady. Przy pochmurnej pogodzie jarmarczny człowieczek powtarzał monotonnym głosem: „Każde białe może być czarne, a wszystkie czarne mogą nie być białe, w zależności od...” i nigdy nie kończył zdania, choćby nawet najpotężniejsza wichura przepędziła granatowe obłoki i wyjrzało cudowne słońce.

Bosko zdawał się pojmować intencję nudziarza, nie stawiał jednak żadnych pytań w celu wyjaśnienia niedomowień, uważając, że każdy ma prawo do pewnej dozy indywidualnej tajemniczości, gdyż tylko taki człowiek jest godny głębszego zainteresowania – i nie musi być koniecznie niewidomy czy mieć tylko młodość na karku. Podobny gość stanowi ciągłą zagadkę dla otoczenia; ono stara się dociec, gdzie tkwi prawdziwy sens, a więc zaczyna się pewien proces, jakaś ciągłość myślenia i obserwacji, decydujące o tym, że ów osobnik nie pozostaje sam zagubiony w tłumie anonimów. A nawet – przy sprzyjających warunkach – potrafi takimi niedopowiedzeniami stworzyć wokół siebie klimat wyższości i zaufania publicznego, co często owocuje niespodziewanymi osiągnięciami.

Niekiedy z nudów lub nabytej przekory Bosko zaprzeczał głošonym poglądom KATARYNIARZA, lecz zawsze czynił to w grzecznej, uładowanej życiowym doświadczeniem formie: „Białe lub czarne można jedynie poplamic” – i czekał na reakcję przebierańca. Była ona zawsze jednakowa, a niewidomy znał już ją zawczasu i śmiał się cicho ubawiony, gwałtownością z jaką wkurzony KATARYNIARZ opuszczał przytulny skwerek.

Niewidomy słyszał energiczne kroki odchodzącego i cichnący pomruk wzburzenia, z którego wyczulonym na najdrobniejsze szmery uchem, odczytywał słowa pogrozek, zresztą zupełnie niegroźnych dla tak doświadczonego obywatela za jakiego się uważał od dawna. Bo jak inaczej mógł sobie o życzeniach brzmiających : „Oby ci wrócił wzrok, a niechybnie dostrzeżesz prawdę i całą prawdę moich sądów, kaliko boży.., tobie podobnych, co do jednego, należy zdymisjonować, za niesubordynację wyobraźni !!!” – pomyśleć źle ?! Nie! Drobną złośliwość fałszywego grajka zupełnie go nie raniła, ani nie odczuwał najmniejszego ukłucia zazdrości w bijącym spokojnym rytmem sercu.

Cierpliwie czekał następnego spotkania z nerwusem. Bez obawy. A nawet z pewną niecierpliwością. Samotność swoje prawa ma i domaga się ich niezależnie w jakim miejscu wylądował akuratnie jej aktualny właściciel...

BRAT KARZEŁ przybywał w czwartki. Regularnie i bez sekundy spóźnienia – wraz z dzwonkiem sygnaturki oznajmiającej pełną godzinę.

Ten dzień miał dla Bosko szczególne znaczenie, bowiem był datą jego narodzin; czwartkowy chłopak ! Postaci BRATA nie dostrzegał nikt oprócz niewidomego.

Na powitanie maleńki stworek - według opinii Bosko, sięgał mu ledwie kostek - wykrzykiwał: „ Ele mele dudki gospodarz malutki, gospodyni garbata, a ich córka...jest moją...” - i mruczał coś, czego siedzący mógł się jedynie domyślać i nawet niekiedy uśmiechał się na myśl o znanych sprośnościach. Ale tylko z rzadka. Po wstępie BRAT KARZEŁ opowiadał mu – co Bosko uważał za zupełnie naturalne, a nawet obowiązkowe – o tym co w trawie piszczy.

Piszczalo różnie. Najczęściej niezbyt optymistycznie. Rzadziej obojętnie.

Kurdupelek zwykł natychmiast po dotarciu w okolice obutych w czarne trzewiki stóp ślepego popisywać się nabytą elokwencją, a chcąc zaznaczyć własną całkowitą niezależność od anegdot zawartych w przedstawianych historyjkach – jak się domyślał Bosko, interpretowanych a nie tworzonych w skarłałym umyśle – wyrażał się niezmiennie o postaciach występujących: ONI TAMCI! On sam byłby jakby z TYCH a nie z TAMTYCH.

Słuchający uważnie Bosko w głębi duszy nie wierzył właśnie w takie rzeczywiste ustawienie niewielkiej postaci w otaczającej rzeczywistości-nierzeczywistości. Nie mając jednak całkowitej pewności racji i istotnych powodów do zgłaszania głośnego sprzeciwu, wołał milczeć, gdyż uważał każde spotkanie za rodzaj testu prowadzonego na własnej sprawności intelektualnej. Przyznawał zresztą przed sobą, iż stosunkowo niewiele wysiłku kosztowało go oddzielenie plew od ziarna. Tego drugiego było raczej niewiele, a i w większości, jakby już kiedyś zostało przemielone w żarnach czasu przeszłego.

BRAT KARZEŁ perorował:

ONI TAMCI znowu, proszę siedzącego, popełnili podstawowy, że się tak dosadniej wyrażę, kardynalny i karykaturalny w swej wymowie błąd.

Chodziło o wyburzenie ruin iluś tam wiecznego pałacyku nieżyjącego od dawna magnata – Bosko kiedyś słyszał coś piąte przez dziesiąte o sprawie; nie zainteresowały go odległe w czasie, choć wciąż aktualne walki starego z nowym. Miał swoje codzienne kłopoty i nie lubił się wtrącać, bo zawsze obrywał za to po pysku, a nawet gorzej, bo i na dupie miewał zdrowo wyglądające sine plamy odbicia pałki lub solidnego kopa z tzw. glana.

Karzełek oburzał się dalej: „Jakże ONI TAMCI mają niedoskonały, mówiąc delikatnie - bo niedelikatnie należałoby określić; okropnie zubożały – system udowadniania, z pewnością słusznej w założeniu i pojęciu ogólnym racji...” – prychnął kurdupelek i nabrawszy płytkiego oddechu perorował:

„Należy zdać sobie sprawę, że na miejscu oczyszczonym do cna z pozostałości zmurszałej budowli, planujący mieli zamiar wybudować (i o tym Bosko również dowiedział się w dostatecznym do reakcji terminie, by nie zaskoczyły go pretensje rozmówcy) gmach przeznaczony na muzeum...Wszak sam fakt unicestwiania czegoś, co już z racji swego pochodzenia należy do przeszłości, jest jaskrawym przejawem całkowitej ignorancji w dziedzinie sztuki, albo jeśli już trzeba rzecz nazwać po imieniu: nieludzkiego okrucieństwa połączonego z kompletnym niezrozumieniem głoszonych i niby przyswojonych na wieczność idei humanitarnego traktowania historii własnej i cudzej również..!”

Po tym monologu BRAT KARZEŁEK zniknął sobie znanym sposobem z pola niewidzenia jedynego wiernego słuchacza.

Zaś Bosko nigdy nie potrafił dociec, dlaczego zwiewny niczym poranna mgła nad taflą spokojnego jeziora mikrusek wybrał właśnie jego – niewidomego – na powiernika swoich przemyśleń, rodem z miniaturowego umysłu?!

CYGAN wychylał się ze zmierzwiionych za oparciem ławki chaszczy pokrzyw i jasnoty w szewskie poniedziałki. Przynosił piłę, wyleniały smyczek i patelnię. Na pile grał fałszywie sparciałym włosiem, zaś patelnię sprzedawał przechodniom za godziwą cenę. Umiał przy tym wcale nieźle mówić po cygańsku, to znaczy językiem niezrozumiałym dla ogółu społeczeństwa miasteczka, ale przyjemnie brzmiącym, wnoszącym zapach egzotyki i pierwiastek tajemniczości do szarej na co dzień Kamiennej.

CYGAN był ryży i piegowaty i ta aparycja wprowadzała naiwniaków w błąd niewybaczalny. (czego Bosko dowiedział się w sposób konfidencyjny od Kataryniarza). Miał przykry i smutny acz tajemniczy zwyczaj; płakał kiedy spostrzegł, że człowiek okrada bliźniego lub bliźni człowieka.

Bosko tym samym sposobem od tej samej osoby uzyskał informację – zakodował ją w najtajniejszym miejscu, sobie tylko znanym szyfrem – że ród kiepskiego grajka wykłął za tę niegodną członka plemienia przywarę i rudy odtąd żył na własny rachunek i ryzyko poza tabor. Bo PRAWDDDZIWY Cygan musi być czarny – przynajmniej po wierzchu, nie wspominając o charakterze – a ten wypierdek swoim wyglądem i zachowaniem jest zwyczajną podróbą, dekamuflażem wręcz, i czyni rozbijacką robotę, a to już najpewniej gotowa deprecjacja rodowa ze zmianą statusu włącznie. A tego gromada nie odpuszcza nigdy. W czapkę i won z taboru! Na zawsze!

Rudy CYGAN uważał się za zwolennika miast-państw; na osobie słuchającego wiadomość ta nie wywarła widocznego wrażenia – ani spodziewanego przez piegusa – szoku; nawet ciepłych dreszczy. Zignorował ją...

Kiedys Bosko znudzony jednostajnością głędzenia parahistorycznego, wyciągnął zmęczonego pracą - ha! ha! - Cygana na zwierzenia.

Słuchał z niemałą przyjemnością amatorskiego cyganienia, przymknąwszy powieki: „Bogu co boskie, Cyganowi co cygańskie...”

Po tym mało wyjaśniającym prawdziwość intencji wstępie, sprzedawca patelni rozwijał myśli prosto brzmiące: „Jeżeli chcesz cyganic - a jest to zajęcie, a nawet ciężka praca twórcza i pełna niespodzianek (raczej in minus - dodawał za każdym razem i wypinał pierś dumnie pod szyldem tego jednego dziwnego wyrażenia, które już zdążył sobie wycyganic od ludzi biegłych w martwym języku świata) - powinieneś to czynić konsekwentnie czyli bracie bez oglądania się i wciąż czuwać - jeśli cię stać: niech czuwa ktoś inny - ale nie z obawy przed skutkiem... On bywa zwykle absurdalny - ty musisz się bać realnej przyczyny...”

„Może nieco jaśniej sąsiedzie!” - wtrącał niewidomy korzystając z przerwy w perorze rudego na oddech. Zagadywał, żeby przyspieszyć tok własnej inercji myślowej.

Zresztą bardzo prędko zaczął podejrzewać CYGANA o uprawianie demagogii w prostackiej formie, bo czy nie na takie określenie zasługiwało wypowiedane z całym wewnętrznym żarem i przekonaniem człowieka urodzonego w wędrownym wozie w taborze poniższe stwierdzenie: „Cygan też ma prawo do osiadłego trybu życia!” A już pełnym nonsensem trąciło wyznanie czynione w dżdżyste dni jesienne o nostalgii!

Śmiechu warte w ustach faceta bez ojczyzny!

Niekiedy znów z mrukliwych ust ryżego docierały do cierpliwego słuchacza słowa noszące zadatek głębokiego kamuflażu: „Najwięcej samobójstw odbywa się na oczach wszystkich; całkiem jawnie uprawiany proceder szybko nabiera cech legalności, a jeśli parają się tym zajęciem ludzie, którym wepchnięto w ręce lub sami zdołali uchwycić mocno jakikolwiek szczebel, jakiejkolwiek władzy czyli uzależnili od swoich pragnień inne istoty, wówczas ów proceder uwiarygodniający ich pozycję staje się chwalebny i nakazem przekształcającym się stopniowo w proces i trwa dopóki starcza ofiar do składania na ich ołtarzu...” - tu chwycił za sterany smyczek.

Ślepy rozumował: „Jeśli CYGAN mówi wszystko na opak, jest nieprawdziwym Cyganem albo fałszywie pojmuje zjawiska tego świata, lub jest pomieszanie.” Bosko jakoś polubił pojęcie własnego chowu - pomieszanie. Z chęcią powtarzał je w myślach, nadając określeniu dwojaki sens. Nie ujawnił go jednak nikomu. Przechowywał drobne tajemnice na późniejszy czas, choć nigdy nie uważał się za człowieka przezornego. Odruchowo hamował potok słów zwieraniem szczęk. Aż nabawił się prawdziwego szczękostisku. No taki był...

Wkrótce doszedł do nieprawdopodobnie niebywałej wprawy, potrafił milczeć całą dobę, bez szkody na zdrowiu i wkurwianiu się towarzyszącemu zazwyczaj ludziom zbyt długo nie otwierającym gęby - nawet do siebie. Tę cechę zawdzięczał uporowi i wytrenowanym mięśniom twarzy.

Czasem nocą rozluźniony snuł nierealne plany; widział swoją nieruchomą twarz na płótnie największego – i jedyne go – ekranu w miejscowym kinie, oblicze pełne wiecznego milczenia człowieka, wielkiego aktora odgrywającego w rozkrzyczanym bezsensownie tłumie swoją samotną rolę, tragiczną i piękną: „Nie tędy droga!” – wołały jego zamknięte usta. Śmiał się cicho w poduszkę i budził rano zdziwiony dotykami wilgotnych łam na podgłówek.

Nie miał do CYGANA istotnych zastrzeżeń. Wiedział, że kiedy znudzi go rozwlekła gadanina, może w każdej chwili odejść. To oznaczało przedłużenie samotności. Ale wystarczyło krótkie zdanie w rodzaju: „Co słysząc za rzeką?”, oznaczające świat pozostający poza zasięgiem jego wędrówek, a już w graju następowała metamorfoza; cmokał z lubością i perorował dalej, obiecując Bosko wyprawę taborem w daleki, odległy i pełen ciekawych ludzi świat. I jak to CYGAN, nigdy słowa nie dotrzymał. Z pewnością jednak podszycił się i był obcy – zarówno dla przyszywanych pobratymców jak i dla mieszkańców Kamiennej.

Bosko po wysiedzeniu iluś tam godzin na tej samej ławce, w tym samym towarzystwie – zmieniającym się w tej samej kolejności – stwierdzał: „Wielokrotne powtarzanie wcale nie musi utwierdzić we mnie przekonania o słuszności i Prawdzie głoszonych tu i gdzie indziej poglądów!”.

Kiedy zostawał sam – regularnie morzył go sen, człowieka, który spędził kolejny owocujący nowymi spostrzeżeniami, nie nudny – dzień. A potem dopadały go męczące zwydy...

Wtedy cierpiał naprawdę.

Pewnej ciepłej ubranej w czerwone liście jesieni, po przebudzeniu, zgorzkniały na myśl o zwiwności doznanych wrażeń – powtarzających się majaków – odchodził dobrze wydeptaną ścieżką do domu. Wraciał wzdłuż cuchnącego całą jesień rowu odprowadzającego buraczone ścieki z miejscowej cukrowni do Mlecznej Rzeki. Gdy minął zmurszały mostek nad paskudnie zalatującym przekopem u rozstaju dróg z równiny nadrzecznej doleciał go czysty, donośny, iście anielski głos młodej gęsiarki przywołującej zagubionego gąsiora: - Pódź tu! Pódź tu!!!

I lekko zaspany, nieco zdezorientowany i rozmarzony Bosko, uwiedziony zawołaniem dziewczyny, zdecydował po raz pierwszy powędrować na skróty: ominął leciwy mostek i nieświadomy zagrożenia runął bezwładnie z wału w cuchnącą breję, aż chlupot nieprzyjemny rozlał się po wszystkich ulicach Kamiennej.

Tonącemu wciąż brzmiały w uszach anielskie tony głosu młodej kobiety... Ale nie potrafił jej zobaczyć, ani wyobrazić anielskiej urody... I ta przykra myśl była ostatnią, jaką mógłby zapamiętać i przekazać potomnym, gdyby ktoś podał mu w tej ulotnej chwili pomocną dłoń. Lecz ludzie woleli

trzymać się z dala od obrzydliwego mokradelka... Bo któż lubi się babrać w gnoju bez istotnej przyczyny – jeśli to nie jest jego gnój...!? Nawet jeśli by był to gnój ogólnoludzki!!!

Więc Obywatel Bosko nie mógł liczyć na żadną pomoc!

Nad mogiłą wyłowionego Bosko nikt nie płakał. Nie było też mowy pożegnalnej. Cygan zapomniał instrumentu, za to z pewnością jasnowidza szepnął w ucho Niezidentyfikowanemu Do Końca: On nie utonął – „jest coś co nigdy nie tonie” – a tamten równie dyskretnie, co mgliście, odpowiedział delikatnie przyciszonym głosem: „Nasz znajomy-nieznajomy odszedł do miejsca, którego nie ma...”

Stara K. na pogrzeb nie przyszła, chociaż już od dawna była na bezrobociu. Kataryniarz nie umiał czytać, więc nekrolog umknął jego zapracowanej uwadze.

Zaś filozof Karzełek-Przyjacielek – jak zwykle pozostał niewidoczny...

Małgorzata Anna Jędrzejewska

PRAWEM KADUKA

Ogród był duży, rozciągał się daleko jak okiem sięgnąć. Do tego był piękny, rosły w nim tysiące, miliony czy nawet miliardy kwiatów. Przeróżnych. Były niesamowite storczyki i skromne bratki, dumne róże i wdzięcznie wyginające się tulipany. Nisko przy ziemi rozciągał się rdest, powój piał się wykorzystując każde wsparcie.

Kaduk jednak nie podziwiał piękna, które pyszniło się przed nim, bardziej zaprzętała go myśl, jakich szkód może narobić w ogrodzie. Miał urodziny, przynajmniej tak mu się wydawało i chciało mu się prezentu. Dlatego szybko przeskoczył płot i na chwilę przywarował nisko przy ziemi. Rozejrzał się, szukając jakiegoś stróża, ogrodnika czy kogoś w tym rodzaju, lecz wokół panowała cisza. Wiatr tylko pogwizdywał, ale tak delikatnie, że właściwie jakby go nie było. Aha, no i jeszcze jakieś powietrzne tałatajstwo tańczyło radosny taniec, mrucząc pod nosem kawałki z trzmielowej listy przebojów, a było tak zajęte sobą, że nie zauważyło żadnej zmiany.

Czarny stwór, czując się bezpiecznie, pogrążył się w kaskadę kolorów. Tu uszczknął listeczek, tam urwał korzonek, gdzie indziej poplątał ze sobą dwa różne kwiaty, tak że oddech traciły, nie mogąc wydobyć się ze zbyt ścisłych objęć. Złośliwy chichot wydobywał się z gardła kaduka, gdy rozcierał płatki, wysypywał złocisty pył z kielichów, kaleczył ostem delikatne gałązki i wkopywał w ziemię wszystko, co się dało. W jego szponach mdlały kolejne istnienia, a on niezmordowanie parł ku przodowi. Wiedział, że przed nim jeszcze wiele kilometrów ogrodu.

Brzęczące w powietrzu muszki, pszczołki i bączki w pewnym momencie zauważyły, że coś jest nie tak. Pikowały dół, w znane sobie miejsca i nagle okazało się, że tych miejsc nie ma, a zamiast pięknych kwiatów, na ziemi jest pobojuwisko. Przerwały radosny taniec, sformowały szyk bojowy, ale kaduk nimi akurat wcale się nie przejmował. Ten powietrzny „szwadron”, dla człowieka zabójczy, jemu nie mógł nic zrobić, więc kontynuował swoją „pracę”.

Tymczasem małe stworzonka porozumiały się i poszybowały w kierunku chaty ogrodnika. Kaduk nie zwrócił na to uwagi, nie sądził, że ktokolwiek lub cokolwiek może mu tu zagrażać.

W pewnym momencie zobaczył, że przed nim rośnie malutka roślinka. Była krucha i wątła, więc czort myślał, że poradzi sobie z nią bez problemu. Jednak mała roślinka się nie dała – korzenie twardo trzymały się ziemi, nie dały się wyrwać. Czarny potwór, zły nie na żarty, że takie maleństwo śmie z nim walczyć, uszkodził roślinkę, ile mógł, następnie porzucił ją bezładną na ziemi i...

Nagle znieruchomiał. Wyczuł, że coś się dzieje. W powietrzu wisiała gęsta od niepokoju cisza, przeplatana srebrzystymi niteczkami gniewu. Odwracał się powoli i już w trakcie czuł, jak rośnie nad nim ciemność. Podniósł głowę, ale zdążył tylko ujrzeć ognisty miecz anioła zemsty.

Gdy się ocknął, był w miejscu całkiem sobie nieznanym, chyba, a raczej na pewno, daleko od ogrodu. Zachichotał, gdy sobie przypomniał, w jakim stanie zostawił rośliny, ale zaraz jęknął. W głowie mu zapulsowało, pod paluchami wyczuł guza, ale...

- Hm – powiedział sam do siebie – guz szybko zniknie, a te kolorowe paskudztwa nigdy nie dojdą do siebie... Hihihihihihihihihih...

Diabelski chichot poniósł się daleko, daleko, hen, w rozgwieżdżoną noc...

Ogrodnik zajął się troskliwie małą roślinką, ale krzywda została zrobiona. Mały chłopczyk, który przyszedł na świat, nie mógł chodzić, siedzieć, mówić... Wiele pracy trzeba było włożyć, aby mógł chociaż się poruszać. I wiadomo, że do końca życia będzie musiał być przy nim ogrodnik...

Iza Plath

Aktorka

- fragment powieści

(...) Wybierzmy się na krajoznawczą wycieczkę, powiedziałam. Co ty na to. Pokażę ci moją Ziemię Obiecaną. Och, niech mnie diabli, jak ja lubię te sentymentalne określenia. Nie słuchaj ich. Więc pokażę ci ubłoconą do granic niemożliwości listopadową Nizinę, rozdeptywaną gumiakami i porośłą górami cukrowych buraków, które niegdyś miały zaszczyt wożenia się koleją wąskotorową. Nigdy nie znalazłam okazji, aby w nią wsiąść, mówiłam gdy krążyliśmy po cmentarzu przy zrujnowanym kościele zapadając się po kolana w gnijący bluszcz, gardziłam podróżą w towarzystwie, ano właśnie, buraków, widziałam ją ze dwa razy, z dystansu i w przelocie, choć wystarczyło tylko kupić bilet, popełniłam grzech zaniechania, więc to dlatego jej upiór mnie ściga, bo przecież nizinnej wąskotorówki dawno już nie ma, cholerne przemijanie, zawsze gdzieś się spóźniasz – ciągnęłam bez sensu, bo on i tak nic nie mógł z tego zrozumieć, przybysz z nadętej, zasiedziałej, królewskiej – ale przecież tylko trochę mniej prowincjonalnej Galicji. Słuchając moich wywodów o możliwościach przewozowych za Niemca, odgrzebywał butem jakiś nagrobek – 1616, to cholerne przemijanie – uśmiechnął się lekceważąco – W tamtej wiosce było ciekawiej, ludzkie kości obok butelek po piwie – Właśnie! – przytaknęłam gorąco – O to ossuarium nikt nie dba, proboszcz tej parafii powinien wisieć! Tu wszystko się wali, na tej zasranej Nizinie! W warsztatach kolejki, w śmierdzącej szczynami ruderze coś się waliło na podłodze? Książki. Ktoś wyrzucił na śmietnik książki. Już wolę fanatyków którzy palą je na stosach, mają chociaż do nich jakikolwiek stosunek! – Będziemy wracać – przerwał mi – Ciemno się robi. – Dobrze – odpowiedziałam udając spokój – Ale chciałabym jeszcze zahaczyć o jeden cmentarz. To po drodze – nie sprzeciwił się. Podczas milczącej jazdy próbowałam umocnić się w obojętności, ale gdy tylko przekroczyliśmy bramę pobiegłam do Heleny co sił w nogach, pospieszana lękiem, że ktoś mógł ją sobie przywłaszczyć, zabrać stąd, unicestwić.

Wiktor nie spieszył się. Minęło sporo czasu, zanim stanął obok mnie.

– Ładne. Złamana gałąź winorośli, gniazdo z pisklętami. Młoda kobieta. Osierociła małe dzieci.

– Skąd wiesz?

– Na żydowskich są podobne.

Odszedł w stronę wysokich stel. Zdążyłam jeszcze usłyszeć trzask zapalniczki.

Jeśli uniosę głowę znad nagrobka Heleny Pauls, to tuż przed nieczynnym dworcem kolejowym zobaczę nieduży dom. Z tego co wiem, w jego wnętrzu umierają ludzie, a anioły w habitach do ostatniej chwili czuwają przy ich łóżkach obnosząc stroskane, ale niewzruszenie słodkie twarze. W każdym pokoju wisi ukrzyżowany Chrystus i każdy umierający człowiek ma w miarę dokładnie określony czas, aby się z nim pojednać, a jego krewni, którzy zaglądają tu niezmiennie rzadko, mają czas aby pojednać się z umierającym. Jeśli więc uniosę głowę, a wiem, że tego nie zrobię, zobaczę, że na parkingu hospicjum w tę pogodną jak na listopad niedzielę nie ma żadnego samochodu, w pokojach stoją puste krzesła, a świątecznie ubrane anioły dziwnie zmienionymi głosami wiejskich plotkarek szepczą po kątach o straconych jak co tydzień godzinach odwiedzin i ludzkiej niegodziwości.

Jeśli podniosę głowę – Powinnaś to zrobić – Helena bierze mnie pod rękę – Wejść do jej pokoju – Pomóż mi – mówię bezgłośnie i wszystko wokół bieleje – Tylko niech nie boli! – Nie będzie – Boję się – Nie potrzeba – mówi Helena – Jestem Dobrą Śmiercią – czuję pod stopami gorący piach wypalonego słońcem stepu, i widzę, jak moja dziesięcioletnia matka wychodzi z ziemianki po wodę do kanału, który jest godzinę drogi stąd, i zanim ruszy w ten codzienny spacer, patrzy na oddalone setki kilometrów lodowate szczyty Tien-Szanu, kozice, szepcze z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami, a jej chude ramiona zawieszone na koromysłach drżą, i muszę przyznać jej rację, rzeczywiście tam są, pasą się na łąkach położonych poniżej pasa wiecznego śniegu. Słyszę dźwięk ich kopyt, słyszy go też Chrystus powieszony ponad drzwiami przy których czuwa przebrana w habit Helena – Otwórz okno – jest piękny majowy dzień, samo południe, dzwonią wszystkie kościoły, Mikołaj, Najświętsza Maria Panna, Katarzyna i Brygida, Bartłomiej i Jakub, Barbara i Elżbieta, nawet milczący zazwyczaj Jan. Skrajem wypiękniałej Niziny do jakiegoś obcego miasta pędzi pociąg. Podróż. Obietnica przygody. Uwolnienie – Już wiesz, przygotuj się – usłyszałam szelest bluszczu i odwróciłam się. Wiktor stał przy mnie.

– Zapuściłaś korzenie przy tym grobie.

I nie rozmawialiśmy już o Nizinie, o zarośniętych wysoką trawą me-nonickich cmentarzach, nie opowiadałam o nieistniejących liniach kolejowych, chociaż samochód mknął dokładnie wzdłuż jednego z umarłych szlaków, nie zawisł nad nami również cień mojej matki, kiedy jedliśmy ciastka i piliśmy kawę w cukierni pod kościołem z wieżą w kształcie ołówka i punkt po punkcie realizowaliśmy spisany na kolanie plan naszej Niedzieli na Pustkowiu, gdzie nikt nie dbał o to, że trzymamy się za ręce i całujemy jak para gówniarzy. Wszystko, na co było mnie stać, to pytanie zadane pośpiesznie na sam koniec, w samochodzie pod moim blokiem, dlaczego dał mi tę cholerną rolę? Długo się śmiał – Uczciwość? Ach, że śpimy ze sobą! Uczciwość nie ma tu nic do rzeczy! A co, jest ci przykro bo koleżanki nie mówią ci pierwsze

dzień dobry? – był tak ubawiony, że odjeżdżając machał do mnie, kpił z mojej naiwności posyłając całuski przez szybę. Gdy wreszcie zniknął, poszłam nad morze by postawić na plaży znicz dla matki na wzór owdowiałych marynarzowych. Po drodze zaczęłam przechodniów i mówiłam im, że w naszym mieście parki są tam, gdzie kilka lat wcześniej były cmentarze, że w naszym mieście na nieistniejących cmentarzach żury chleją browar i sikają na połamane nagrobki, sprawiedliwie po równo, na katolików, ewangelików i żydów, jak leci, to dopiero jest ekumenizm, przyznają państwo!, i mówiłam jeszcze, że w naszym mieście połamanymi nagrobnymi płytami można wybrukować jezdnię albo podmurować piaskownicę, a więc widzicie? kółko się zamyka, pieprzony recykling! A, jeszcze Piotrek, jego rewelacje o proboszczach, którzy budują swoje betonowe bazyliki na gruzach drewnianych kaplic, i koparkami, spychaczami rozjeżdżają zamknięte miasta umarłych, spychają ich szczątki do wspólnego grobu. Piotrek ma zdjęcia z takiej jednej imprezy, zdążył kilka zrobić, zanim ksiądz z kościelnym na chwałę bożą nie pogonili go kijami. Audite, mortales! krzyczę, ale listopadowy wiatr wtłacza mój głos z powrotem do krtani i knebluje kłującą watą o zapachu morza i portu, dla mnie to zapach piekielnej siarki. Przechodnie szczelniej opatulają się płaszczami i patrzą na mnie jak na wariatkę. Mam alibi.

Zapałam znicz przy ujściu Potoku. Płomień co chwilę gaśnie. Wiatr jest za duży. Zapalki parzą mi palce. Mamo, byłam dziś niedaleko ciebie, patrzyłam na twój dom ale nie potrafiłam –

Myślisz, że ja nie pamiętam? Było lato, środek lipca i apogeum katastrofalnej suszy – Ustaw mi fotel do światła, gazetkę chcę przejrzeć – i w popołudniowym słońcu z zapartym tchem oglądałaś obrazki w jakimś plotkarskim pisemku. Staruszek wydawał się taki miły, a jednak bił Renatę po twarzy – No zobacz, jakie ludzie są świnię – błyski złotego łańcuszka ześlizgiwały się po kartkach brukowca i zostawiały oślepiające smugi pod moimi powiekami – Podoba ci się krzyżyk? To jeszcze po babci. Potem go sobie weźmiesz. Będzie twój na zawsze. Tylko przychodź częściej – przecież ja nie mam żadnej babci, wyszeptalam. Powiedziałaś mi to w osiemnaste urodziny.

Myśli, że ja nie pamiętam! Bzdura.

Była wtedy ubrana w te same szmaty, w których zmywała podłogę Hra biostwa Kamińskich. Całość trzymała się kupy jedynie dzięki starannie dobranym kolorom. Spódnica. Bluzka. Wszystko niebieskie – Znam najlepszy lumpeks w mieście. Zaprowadzę cię. Tylko przychodź częściej – brać co najlepsze. Mam to po niej. Kość z jej kości, krew z jej krwi.

(...) Przypominałam sobie charakterystyczny ton głosu mojej matki. Pani Manja zaciunga, żartowali niektórzy i brzmiało to jak wyrok. Uznawałam go. Wstydziłam się jej śpiewnego akcentu, ubioru, sprzątanania po

domach bogaczy i wreszcie tego, że spełnia własne ambicje kształcąc córkę na artystkę. Była prostytutką i ja to dziedziczyłam. W osiemnaste urodziny wstyd przerodził się w tępy opór. Poczucie pustej wolności. Wreszcie obcość. I oskarżenia, oskarżenia. Wszystkie moje błędy miały proste wytłumaczenie. Zresztą, wcale nie moje. Jej błędy. A teraz, o zmierzchu, naciskam dzwonek hospicjum. Niemal natychmiast słyszę szelest habitu Siostry Andżeliki. Zgrzyt zamka –

Jeszcze chwilę. Zakonnica posłusznie nieruchomieje. Chrystus dynda na jej krucyfiksie jak brelok. Ostatecznie ja reżyseruję cały ten kram. Na menonickim cmentarzu ustawiam dekoracje: koparki, łopaty, zwalone stęple, kontener pełen gruzu. Nadchodzi nowy porządek, Heleno, dosyć twojego trupiego smrodu, pokropię cmentarz odświeżaczem o zapachu fiołków, umarli wstaną –

– Szczęść Boże siostrze.

– A szczęść Boże. Myślałam, że nie przyjedzie – Chrystus powtarza jej słowa z ironicznym uśmieszkiem – Już po wieczery. Wszyscy w łóżkach. Jutro do matki pójdzie. Teraz do gościnnego zaprowadzę.

– Chciałabym dzisiaj. Bardzo mi zależy.

Patrzy na mnie ze zdumieniem. Wreszcie wzrusza ramionami.

– Zresztą, co ja mam się wtrącać. Zapłacone jest.

Chrystus zwija się ze śmiechu.

Wchodzimy na piętro. Między fałdami habitu brzęczy metal. Siostra sięga do kieszeni i wyjmuję pęk kluczy.

– Po co to siostrze?

– Żeby pokój otworzyć.

– Zamyka go siostra? Dlaczego? Czy to więzienie?

– Nie więzienie, tylko Marynia ucieka.

– Jak to ucieka?

– No ucieka i już. Ostatnio to na ogród wypełzła.

– Czy mogłaby mi siostra wytłumaczyć?

– Doktora niech pyta. Ja tam się nie wtrącam. Ja pilnuję żeby porządek był.

Otwiera drzwi. Słabe światło. Ciepło. Umiejscowienie rzeczy nie zmieniło się. Krzesło, stół pokryty warstwą kurzu. Telewizor ze świecącą diodą, która oznajmia, że czuwa. W oknie krótkie firany. W kącie wózek. Obok łóżka balkonik do spacerów.

– Mamo?

Siwa kobieta patrzy na mnie z zaciekawieniem. Wreszcie przenosi pytające oczy na siostrę Andżelikę.

– Córką przyjechała, Maryniu – wzdycha z kpinką siostra.

Wzrok matki nadal prosi o wytłumaczenie, a gdy na twarzy zakonnicy pojawia się grymas zniecierpliwienia, powoli ześlizguje się po jej postaci i trafia na podłogę.

– Czy mogłaby siostra zostawić nas same?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo jak co się stanie, to na mnie będzie.

– A co się ma stać?

– Nie wyjdę.

– Chcę zostać z mamą sama!

Chrystus u jej różańca uśmiecha się metalicznie. – Jak kto cierpi, to mówią, że to dla niego lepiej. Że może lepszy być. No to ja popatrzę. Ciekawa jestem czy kłamali.

– Ja to wszystko powiem doktorowi.

– Niech sobie mówi. Ja się nie boję.

Bierze krzesło i siada przy drzwiach. Dobrze. Będzie świadkiem. Podchodzę do łóżka. Matka patrzy na mnie nieśmiało. Nigdy nie widziałam u niej takiego spojrzenia.

– Mamo, to ja... Dziś Wigilia. Przyjechałam... Przyjechałam, żeby...

Nie wiem, co powiedzieć. Zapomniałam tekstu, a suflera nie ma. Siostra Andżelika znacząco wierci się na krześle. Nudzę ją. Marne przedstawienie.

Wkładam w dłoń matki kawałeczek opłatka. Palce dotykają go z ciekawością. Niepewnie sprawdzają. Nie, nie wie. Nie pamięta. Chleb spada w fałdy pościeli. Następny okruczeństwo wkładam jej prosto w usta jak Komunię. Jest zdziwiona. Boję się, że go wypluje. Ale nie. Przetyka. Uśmiech.

– Dobrze.

– Wszystkiego najlepszego, mamo.

– Dobrze. Jeszcze daj.

Wyciąga rękę. Łamię opłatek i podaję jej po kawałku. Za każdym razem zapomina, dlaczego cienka tafla trafia do jej ust, i za każdym razem gdy czuje jej smak, radość odnawia się.

– Jak się czujesz? Czy coś cię boli?

– Nie... Dobrze mi... Trochę gardło... ale trzeba płukać. Najlepiej... najlepiej...

Z powrotem zapada się w siebie.

Przecież przygotowałam monolog o naszym domu na dziewiątym piętrze betonowej piramidy. O Dolinie Potoku.

Przerywa mi w pół zdania.

– A kim ty jesteś? Skąd ty to wszystko wiesz?

Przekręca zabawnie głowę, jak mały, ciekawy ptaszek. Bez cienia nieufności. Dziecko.

– Jestem Ania.

– Ania, Ania...
– Jestem twoją córką.
Teraz patrzy na mnie z lękiem.
– Ale ja nie mam córki. Ja nie mogę mieć dzieci. Dlaczego ty tak mówisz? Ja nie mogę mieć dzieci!
– Adoptowałaś mnie. Miałam kilka dni. Tamta kobieta...
– Ale ja nie mogę mieć dzieci, ja mam przecież dopiero dziesięć lat, ja jestem jeszcze za małą!
– Maryniu, nie rycz! – siostra Andżelika wstaje z krzesła – No już nie rycz. Ciocia przykryje cię kołderką, pójdziesz teraz spać.
– Boję się, boję się tej pani!
– Nie dam cię ukrzywdzić – siostra Andżelika głaszcze moją łkającą spazmatycznie matkę i rzuca mi wrogie spojrzenie. – Starczy tego dobrego. Niech lepiej idzie. Wiedziałam, że się tak kończy. No koniec przedstawienia.

Moje palce bieleją na metalowej ramie.

- Siostra nie ma prawa tak do mnie mówić.
- Mam prawo i to bardzo dobre.
- To siostra zrobiła sobie przedstawienie.

Wybiegam trzaskając drzwiami. Jaka ja byłam głupia! Dałam się nabrać na jej świętojeblowy gniew, gdy zgadzałam się na haracz dla Księdza Przełożonego, a trzeba było nie zwracać na to uwagi i dać jej porządnie w łapę, nie w podziękę za troskliwą opiekę jaką otacza Marynię, guzik! Powinnam była kupić sobie u niej trochę wyrozumiałości, nieważne, że fałszywej, liczy się wrażenie! A teraz robi mi promocję na prawdę. (...)

Jej dom jest tutaj. Łóżko, stolik, telewizor. Okno z widokiem na nieskończoność. Już niedługo jej dusza wypadnie na zewnątrz i przez nizinne pola doczołga się do linii horyzontu. Śmierć nie zabierze jej dużo czasu. Helena czuwa. Jej menonicka dokładność nie pozwoli mojej matce zgubić się na tym szlaku. Mogę spokojnie zostawić je same. Przewracam się na bok i sprawdzam która godzina. Po pierwszej. Zamykam oczy, a gdy ponownie patrzę na zegarek, dochodzi ósma.

Zjadam kanapkę. Obok sali jest łazienka. Korzystam z bieżącej wody. Nawet wzięłam majtki na zmianę. Zawsze przygotowana.

Siostra Andżelika jest w kuchni. Ma na sobie dresowe spodnie i sweter w wyrazisty wzór. Zaskakująca przemiana. Tylko jasnoniebieska szmata, którą zmywa podłogę, poprzez kolor habitu łączy ją z wczorajszą postacią nieubłaganego anioła. W taki sam sposób i w podobnym stroju moja matka zarabiała u Hrabstwa Kamińskich. Ale umiłowanie porządku było nie tylko jej pracą. Było honorem.

- Siostro, proszę o klucz, chcę pożegnać się z mamą.

Modłę się do jej zgiętych pleców. Każdy normalny człowiek podszedłby teraz do niej i kopnął ją w odwłok, gdy tak metodycznie ściera brud z posadzki, z drażniącą powolnością, byle tylko przedłużyć czekanie petenta, ot tak, na złość. Ma siłę. Podziwam moc odgłosu wody ściekającej do wiadra gdy wykręca gałgan, i młaśnięcia nim o podłogę. Spokój codziennych czynności. Rytuał powstrzymywania zamętu. Walka z tymi, którzy się objają, odbywa się przy okazji.

– W szafce nad kredensem.

Muszę ją ominąć. Podłoga jest mokra. Robię przesadnie duże kroki. – Przepraszam, nie chcę zdeptać – mamroczę ze wstydem, ale przecież ścisłam wreszcie kółko z kluczami. Tylko nie wiem, który. Nie mają numerów.

– Ten z zieloną kropką.

Podłoga jak pole minowe. Droga powrotna wcale nie jest łatwiejsza.

– A jak co się będzie działo, to ja tu jestem.

Powinnam zapytać, co takiego może się stać, ale wyduszam tylko – Dziękuję – i prędko wychodzę. Moje opanowanie może zniknąć. Zachłannie liczę kroki. Zadośćuczynienie może zwichnąć sobie kostkę na świeżo wymytych schodach. Dwanaście stopni. Drzwi z siódmką. Magia liczb.

Chyba nie śpi. Siedzi na wózku. Pewnie ogląda telewizję.

Nieprawda. Z wysiłkiem przekręca głowę do światła. Chce patrzeć przez okno.

– Mamo?

Na świecie zaczyna się piękny zimowy dzień. Nie pamiętam takiej zimy w ostatnich latach. Klimat ociepla się, lodowce płoną.

– Mamo, do widzenia. Będę odwiedzać cię częściej, przyrzekam.

...a wieczny śnieg na Tien-Szan rozpuszcza się jak słodka polewa na gorącym cieście i spływa do podnóża gór. Kopyta kozic są lepkie, grzęzną w zawieszistej lawie. Czekoladowe figurki. Przydatne na święta, cieszą się z nich dzieci.

– Przetawię ci ten fotel. Chcesz?

– Aneczka...

– To ja, mamo, jestem!

Nie patrzy na mnie. Wyciąga ręce do okna. Podjeżdżam z wózkiem pod sam parapet i odsłaniam firanę. Rozdziawia buzię, bo nigdy, przenigdy nie widziała śniegu, nie wie, co to jest. Krzyżyk na jej szyi skrzy się radośnie bo horyzont jest na wyciągnięcie ręki.

– Biało...

Chce powiedzieć jeszcze coś. Usta poruszają się bezgłośnie.

– Przyszła...

– Kto taki?

– Przyszła...

– Mamo, powiedz mi! Kto?

– Przyszła...

– Tak, przyszłam! Jestem przy tobie!

Spogląda w iskrzącą się biel. Nagle jej oczy również stają się śnieżne a głowa leci do tyłu jak ścięty kielich kwiatu.

Biegnę korytarzem mojego bloku, na którego końcu stoi siostra Andżelika w świetlistej aureoli. Przed moimi oczami przesuwają się filmy z całym życiem. Dotykam dłoni umarłych którzy po mnie przyszli. Czekają w otwartych drzwiach swoich mieszkań.

Siostra robi matce zastrzyk z przezroczystego płynu. Po chwili napięcie mięśni ustępuje. Matka wzdycha cicho i otwiera oczy.

– No co, Maryniu? Jak się czujesz?

– Zima – uśmiecha się i wskazuje dłonią okno – Białe.

Siostra głaszcze ją po siwej głowie. – Cukier zleciał. Tak dzień w dzień. Zawsze przed dziewiątą robię zastrzyk. Ale dziś coś jakby przędeję. Pewnie się i czym przejęła – patrzy na mnie z ukosa.

– Rozmawiały o czym?

– Nie.

– To i dobrze. A kiedy znowu przyjedzie? Bo straszno było, nie?

– Myślę, że niedługo.

– Ale straszno, nie?

– Tak. Przestraszyłam się.

– No to ja ciekawa jestem, kiedy. Kiedy.

Jej obowiązkiem jest wiara a nie zwątpienie. Grube kamienie przypiętego do pasa różańca i krzyż na piersiach powinny ją w tym wspomagać. Ale teraz nie jest zakonnicą. Jest sprzątaczką w domu starców i ma na sobie przepocone robocze ubranie. Czasem się spóźnia.

– Może się siostra zdziwi.

– Ta. Zdziwię się – chichocze – Już niech idzie, się nie mądrzy.

Zamyka mi drzwi przed nosem.

Jeszcze tylko Książd Przelożony – Ach, droga pani Aniu, szczęść boże, jak ja się na panią wyczekałem, może ma pani ochotę na kawusię, albo herbatkę, ha, a co ja tu mam, no proszę, koniaczek! To polejemy, co? Polejemy! – odmawiam z prawdziwym żalem. Pewnie myśli, że się cieszę z jego głupkowatej szarmanckości, mógłby przecież przyjąć mnie jak gbur, wziąć co swoje i kazać się wynosić. A on oswaja mój strach przed śmiercią. To robi za darmo. Pokazuje mi prezent od znajomych plastyków. Zegar z kukułką. – Pani Aniu, jakie ja mam szczęście, duchowny i takie znajomości wśród bohemy! – ptak jest wypchany i przybity gwoździami za skrzydła do kawałka deski, w brzuch wprawiono mu elektroniczny wyświetlacz. – To dzieło sztuki, proszę spojrzeć, ten straszliwy kontrast, martwy ptak i przeskakujące cyferki, nieubłagany upływ czasu, przecież wiele osób ma wypchane zwierzęta, ale żeby doczepiać do nich zegarki! – śmieje się hałaśliwie. – A

pani to całkiem dobrze przechodzi tę swoją grudniową depresję, co? Może była pani gdzieś w ciepłych krajach? Palemki, słoneczko... A może się pani zakochała? – chichocze jak kleryk. Kiedy napomykam o ucieczkach matki, natychmiast zaczyna grać bezradnego. – A więc... No, stan pani Marianny jest niestety, no, nienajlepszy... Kontakt z otoczeniem, he he, no tak... bywa utrudniony, ale...

– Dobrze, że w ogóle jeszcze jest – dopowiadam ironicznie.

– No tak, tak. Właśnie. Szkoda, że tak rzadko się pani u nas pojawia. Ja oczywiście rozumiem, praca, obowiązki... Więc ja sobie myślę, że to zupełnie oczywista oczywistość, że tak pozwolę sobie powiedzieć.

– Ach. Gdzie ja mam głowę. Przecież przyniosłam księdzu bilety – udaję, że właśnie sobie przypomniałam i zaczynam przeszukiwać torbę. Nie interesuje mnie co on sobie myśli, byleby tylko nie wypadł z roli. – Proszę. Pierwsze miejsca – wręczam mu kopertę. Jego zaskoczenie jest zagrane naprawdę solidnie, bierze ją do rąk niby z niedowierzaniem, ale w końcu rutyna przeważa i Ksiądz Przełożony błyskawicznym, płynnym, wrodzonym ruchem sprawdza jej zawartość i jego twarz pęka w wybuchu czystej radości, wyliczalnej co do banknotu.

– Więc... no ja wiem, że pani ma dużo pracy...

– Jak to dobrze, że ksiądz potrafi mnie zrozumieć.

– Ależ wszystko będzie dobrze! Naprawdę proszę się nie martwić, dbamy o mamusię najlepiej jak umiemy i nawet jeszcze więcej!

– Nie mam słów by wyrazić swoją wdzięczność – wtóruję mu w zachwycie. – Ale mam jeszcze jedną prośbę. Czy będę mogła skorzystać z księdza pomocy? Samochód ma tak słaby akumulator, że nie mogę zapalić... Pociągnie mnie ksiądz troszeczkę?

– Oczywiście, oczywiście!

Narzuca kurtkę na ramiona i wychodzi ze mną w świetlisty poranek, wsiada w swoją terenówkę, wysiada, och, jaka ze mnie gapa, śmieje się rubasznie, hol, przecież trzeba założyć hol, otwiera tylne drzwi i z metalicznym rumorem wydobywa zwiniętą linę, a gdzie ma pani haczyk, o, tutaj! zakłada, biegnie do samochodu, wsiadam do poldka, i po chwili jest po wszystkim, wysiadam aby podziękować a on już przy mnie stoi i rozciąga usta w uśmiechu.

– A wie pani co? Może ja bym faktycznie kiedyś poszedł do teatru? A dałaby się pani namówić potem na jakieś, tego, winko? Ale co ja mówię, na pewno ma pani wielbicieli na pęczki!

Eksploduję śmiechem. Dawaj, kretynko. Podkręć tego jurnego pięćdziesięciolatka, który przyrzekał beżenność, ale na boga, nie czystość! Powiedz jeszcze coś! Ale pytam o cmentarz, dlaczego stoi tam wywrotka, po co kontener wypełniony gruzem.

– No likwidują go i tyle. Teren jest gminy, boisko będzie. Szkoła się domagała, pani Aniu kochana, od iks lat! Ale zaraz, dokąd pani idzie?

Miejsce, w którym złożono ciało Heleny Pauls, dzieli od hospicjum zaledwie kilkadziesiąt metrów. To dziwne, pokonywać tę drogę w odwrotnym, nienaturalnym kierunku. Zawsze, gdy odwiedzałam jej grób, wydawało mi się przede wszystkim niemożliwym wyjść poza teren cmentarza. To był ostatni szaniec.

Zamiast kamieni płytkie doły. Zerwana roślinność. Wszystko jest niewinnie gładkie, przykryte lukrem śniegu. Brnę w miękkiej jeszcze ziemi i gniew przelewam na nią. Że dała sobie wyrwać to, czego powinna strzec do końca świata. Że powinna być jak matka. Umrzeć za swoje dziecko. Kontener stoi pod wysokimi dębami. Kamienne płyty są połamane. Ale dużo ich. Jeszcze ich dużo. Po świętach stel będzie co najwyżej połowa. Okoliczni gospodarze wzbogacą się o dobrze utwardzoną drogę w obejściu. Jakiś przygodny wędkarz siądzie na gładkim kamieniu nie dbając o imię i nazwisko wyryte dawno temu na jego drugiej stronie, no cóż, teraz już drugiej. Minie trochę czasu i kolekcjonerzy śladów przeszłości odkryją zbeszczeszczone nagrobki, zrobią raban w lokalnej gazecie i wylansują się na humanistów. Każdy jakoś skorzysta. Tylko ja spoglądam tępo na leżącą przy samym brzegu Helenę i wciąż zastanawiam się, czy warto spróbować.

Gdy pacyfikacja cmentarza dobiegnie końca, umarli i robotnicy staną w jednym rzędzie i zaczną kłaniać się jak po spektaklu. Przedstawią siebie, już nareszcie prywatnych. Szerokie uśmiechy. Nonszalancja. Niedopuszczalne w zawodowym teatrze machanie do rodziny na widowni. Stanę z boku mnąc w dłoniach czapkę, zawstydzona i zignorowana przez resztę. (...)

Janusz Ryszkowski

Z cyklu: NIEŚMIERTELNIKI

1975-1994

Dał krótki koncert
Na parapecie
Siódmego piętra
Poznańskiego akademika

Na kilka sekund
Świat miał u swych stóp

1946-1996

Od życia nie chciała już zbyt wiele
Ot, jeszcze kilka miesięcy
na korzystny kredyt
bez bólu
chrapliwego oddechu
żeby najmłodszą córkę
wydać za mąż

Więc Panie
nie zdmuchuj mojej świeczki
Poczekaj – prosiła

Wstrzymał oddech

1933-1986

Nikt z nas nie zapomni
Starego woźnego z „dwójki”
Naciskał dzwonek tak
Aby ostatnia lekcja
Kończyła się wcześniej

Za to prawdziwe życie
Trwało dłużej

1947-1997

Pokonywałeś zawsze po kilka
Schodów
Szczegli
Bo czasu szkoda
Nikogo tak wcześniej nie słuchała
Piłka
A rzucony dysk
słońca leciał daleko
w ciemniejący horyzont

Ale czy to wystarczające powody
By trener świata
Powołał cię do reprezentacji Niebieskich
Tak bez uprzedzenia –

Choćby małej zadyszki
Albo żółtej kartki dla serca

Teatrum

Co kilka dni chodziliśmy
Na przedstawienia
Do odrapanej kostnicy
Sześćioletnia Kasia
zagrała rolę śpiącego aniołka
Stara Baznerka
udała się wreszcie do męża
Czekającego od lat w okopach wschodu
Harcerskie małżeństwo
Nie odwołało zbiórki
Choć nikt nie miałby o to żalu po tym
Jak rozbili swojego fiata 125p,
Pierwszego w mieście

Te przedstawienia nie mogły nas zszokować
Były przecież tak dalekie od życia

1996-1996

Ktoś znalazł mnie w lesie
Nad brzegiem jeziora
Odzianą
W plastikową reklamówkę
Z dziecięcego sklepu

Długi jęzor

Ten leżący w trzeciej alei
Zdradził największą tajemnicę
Podwórkowej mafii
Już od tamtej chwili był martwy
Choć widywano go tu i ówdzie

O co wtedy chodziło
Nikt chyba nie pamięta
Pewnie gdzieś wypaplał:
Rysiek całował się z Zenką

Kamil Przeperski

xxx

w pasmanterii są słowa
szyje z głowy
suknie w alfabet
i grochy

nosi ją sąsiadka
pierwszej zwrotki
z wersami w
morelowe botki

szykowna
w kobiecość
włosy spięte w kok
i czarna torebka
w zdania zdobiona

z prozą w twardej
okładce coś pisuje
dziś z facetem siedzi
dotyka jej ciała
poezją je masuje
spisana na pożegnanie
zostawia pióro
i gacie na poety
tapczanie

xxx

dźwigam się na ozorach
sąsiadek, okrutnej
młodzieży z bloków
tyję w spojrzenia
sam będąc wątły w pasie

odziewam się w skinny
kremowe - dobre na mnie
czując się jak ciasto
które chcą zjeść, zwrócić
do cukierni swoich
dylematów
(...)
gniotą mnie trochę
trampki, niosą
w podróż miejską
mijam boisko, na nim głów
sklep - zamknięte

na szali pomówień
i pięści naobiecywanych
przyprawiam życie
kolejną szafą
kolejną irytacją
dla nich

Sebastian Kubiak

* * *

na rżysku
chłonę
zapach zżętego lata

* * *

przez chwilę
szumiałem
siedząc w trawie

przez chwilę

* * *

na oście
osetnik
ukazuje piękno świata

„mgła II”

biała cisza
nad światem zawisła
nieprzenikniona zagadka
kolejnego kroku

„dzikie gęsi”

gęganie
po niebie płynie
wspomnienie lata

„do teorii chaosu”

gdybymż wiedział
co mnie czeka
wyrwałbym skrzydełka
cholernemu motylowi

„jesień w sieci”

omotany siecią
gubię się w świecie
babiego lata

* * *

pod żabą
w ciszy i spokoju
liść się unosi

Andrzej Lipniewski**Rekonesans**

w Świbnie północnych fal złe pyski
cofają jakby starą rzekę
prom przytroczony
śpi na zimę

pokorne baby (choć otyłe)
migają srebrem półlitrowki
zabłyśł płomyczek w rybim oku
rybaka z kutrem spitym w sztok

- jeśli tak chce ta bedziem jechać!
- Cigmont mi kutra nie rozpołów!
- na drugi brzeg? na drugi brzeg!
- no to wskakiwać! rug cug!

po fali kuter staje w pion
kobitę turla prosto w toń
chwytą jej płaszcz pomocna dłoń
półwódka tonie w wodzie

lodową linię trzymam sam
bark kutra zgina żółty kark
trójkątny domek cegła dach:
pomosty Mikoszewa

przewroty ciężkich chmur nad drzewem
Wisła zmieniła bieg i sens
unoszę skrzydła
gdzie trwa Eden
dziś nie żal opuszczanych miejsc

[z tomu *Mitologie Stegny Gdańskie*]

Pejzaż horyzontalny

„Żuławy trzeba smakować mieć dar iluminacji”
w Stogach trwa pomnik Krowy matki bolesnych traw
które i my trawimy w biegu z racji do racji
krąg zakreślając dziecinnie Absurdem Mas

wiatr mi wytrąca myśli przygniata do ziemi
smoliste grudnie deszczowe zatapiają głowę
po równoważni nadanej do kresu idziemy
plany życia spisane kursywą wzorowo

pofruną gdy od Cyganka wichry zaczną duć
heroizm i wyobrażenia niezbędne w depresji
korpusy bliźnich przewiane jak dziurawy łód
osłaniają posesje kubikami chmur

Żuławy kropla po kropli kapią żelazem potu
balony tlenu nad głową zagony białego chleba
ziemia żeliwna jak szyna od roboczego turkotu
i koła serów słonecznych w linii kanałów Różewa

Żuławy trzeba szanować jak stołu rodzinnej stacji
etniczny bukiet zachować i siłę zamkniętej pięści
nikt nie pomoże ci wzlecieć nikt biegu ci nie ułatwi
skromnie pod batem deszczu i piasku chrzęsty

[z tomu *Żuławy podeszczowe*]

Wiatrak z Palczewa

jak krucyfiks pokorny
wobec ogromu Nieba
zamałkowany
na Niebo być może
niebieskie hektary mąki
drobnej jak smaczny poemat
z niej święte miesi okręgi
skalnego Chleba
Żuławiak - syn marnotrawny
w błocie osadzon po zimę
trwa zanikanie wszystkiego
na wieczną chwilę
mgły wywabiają kontury
cofają Wisłę bez sensu
nieruchomieje chmura
z ostatnim stękiem
skrzypem skrzydeł pszenicznych
bladych
śmiertelnie

[z tomu *Żuławy podeszczowe*]



Chata żuławska, fot. M. Opitz.

Katarzyna Laskowska

Andrzej Lipniewski – piewca Żuław podeszczowych

Andrzej Lipniewski jest jednym z wielu zapomnianych poetów regionalnych, warto zatem dokonać swego rodzaju gestu rewindykacyjnego i przybliżyć wizerunek artysty. Lipniewski urodził się w 1945 r. Dzieciństwo i wczesną młodość spędził w Gdańsku. Po ukończeniu gdyńskiego Liceum Plastycznego oraz Studium Nauczycielskiego zamieszkał w Stegnie, gdzie pracował jako nauczyciel. We wrześniu 1969 roku korzystając z propozycji ówczesnego kierownika Powiatowego Domu Kultury przeprowadził się do Nowego Dworu Gdańskiego. Siedem lat później powrócił do Gdańska; mieszka tam do dziś. Jest malarzem, muzykiem. Jako poeta zadebiutował w gdańskim miesięczniku „Litera” w 1971 r. Na debiut książkowy, tomik wierszy *Mitologie Stegny Gdańskiej* musiał czekać do roku 1995, trzy lata później ukazał się drugi pt. *Żuławy podeszczowe*. Drukował m.in. w „Toposie”, „Tyglu”, „Twórczości”, „Autografie”.

Jego pierwszy tomik jest poetyckim świadectwem pobytu w nadmorskiej miejscowości. Wbrew tytułowi, *Mitologie Stegny Gdańskiej*, okazują się bogatą i barwną galerią rzeczywistych postaci i wydarzeń. Owej mitologizacji zaś, odrealnieniu ulegają konstrukcje przestrzenne. Pomimo tropów onomastycznych przestrzeń percypowana nie ulega obiektywizacji, przybiera ona kształt mitycznej krainy szczęśliwości: „tu wykwitł ów Eden”. Jednakże w drugim zbiorze autora, w którym przestrzenną matrycą organizującą wypowiedzi poetyckie są Żuławy, młodzieńczy zachwyt zostaje stonowany. Poddane emocjonalnym anamorfozom „ja” liryczne przeżywa kryzys osobowości, tożsamość podmiotu ulega swego rodzaju „pęknięciom”. Można pokusić się o hipotezę, iż wpływ na „niż podmiotu” miał „niż przestrzenny”, bowiem rzeczywista (tj. topograficzna) oraz poetycka konstrukcja żuławskiego świata jest konstrukcją w głąb. Warto potraktować to sformułowanie dosłownie, gdyż w Żuławach podeszczowych stanowiących niejako literackie świadectwo zagospodarowania przestrzeni realnej i przetworzenia jej w przestrzeń artystyczną, spotykamy się z dwiema głębiami. Pierwsze to „zagłębienie topograficzne” obejmujące położony poniżej poziomu morza obszar Żuław Wielkich. Druga głębia dotyczy psychiki. Liryka Lipniewskiego jest wnikliwą i głęboką autoprezentacją depresyjnych stanów psychicznych projektowanych na tle, bądź też poprzez tereny depresyjne.

W poetyckich prezentacjach przestrzeni Żuław realizowane są jak gdyby dwa modele przedstawień – pierwszy dotyczy szerokiego ujęcia krajobrazu lokalnego, drugi zorientowany jest wokół konkretnych miasteczek (przede wszystkim Nowego Dworu Gdańskiego i Nowego Stawu), zawiera w sobie topografię historii danej przestrzeni oraz historii osobistej podmiotu. Kreacje pejzażu odwzorowują najczęściej stan emocjonalny podmiotu lirycznego. Wykorzystanie młodopolskiego chwytu korespondencji informuje o symbiotycznej relacji między człowiekiem a naturą. W tekstach krajobrazu przeważa tonacja minorowa („niby wygnańcy losu w nową porę słotną / się zanurzamy po szyje / w przewrotny wiatr / i błoto”), która jest odzwierciedleniem ukształtowania geograficznego oraz charakterystycznych dla regionu zjawisk pogodowych. Konsolidujący osobowość depresyjny teren Żuław jest również źródłem języka podmiotu mówiącego, pozwala on kształtowanie własnego, osobliwego słownika:

wiatr mi wytrąca myśli przygniata do ziemi
smoliste grudnie deszczowe zatapiają głowę
(...)
nikt nie pomoże ci wzlecieć nikt biegu nie ułatwi
skronie pod batem deszczu i piasku chrzęsty
(*Pejzaż horyzontalny*)

Orzeczenia typu: zanurzać, przygniatać, zatapiać implikują asocjacyjny szereg skojarzeń związanych z ukształtowaniem geograficznym Żuław, z których ok. 50% powierzchni to tereny depresyjne położone do 1,8 m poniżej poziomu morza. Oddawanie emocji podmiotu odbywa się również poprzez swego rodzaju „informację meteorologiczną”. Wiatr, deszcz a przede wszystkim efekt opadów – błoto – poza tym, że kreślą elementy geografii fizycznej terenu, zawierają w sobie niejako „informację etymologiczną”, bowiem nazwa regionu związana jest z namulem leśnym, czyli błotem wyniesionym przez wezbrane wody rzeki. Przestrzeń uzyskuje odzwierciedlenie nie tylko w warstwie słownej, ale i w obrazowej: „dom podcieniowy wyrasta ze mnie” (*Rondo dla Heleny*). Poza tym często artykułowanym elementem jest, stanowiący obok domu podcieniowego architektoniczny fundament regionu, wiatrak:

jak krucyfiks pokorny
wobec ogromu Nieba
zamachnięty
na Niebo być może
niebieskie hektary mąki
drobnej jak smaczny poemat
(*Wiatrak z Palczewa*)

Sakralne porównanie; „wiatrak jak krucyfiks” można odebrać jako metaforę Krzyża Pańskiego. Dzięki takiemu odczytaniu figura koźlaka zostaje nacechowana wartością religijną, tę z kolei należałoby pomnożyć przez ilość stojących na żuławskiej ziemi wiatraków. Stąd umęczona ciągłymi powodziami depresja automatycznie nabiera znamion świętości. Istnieje też druga możliwość interpretacji oscylująca wokół paradoksu: wiatrak-krucyfiks „zamachnięty na Niebo”. Obraz buntu krzyża wobec nieba powoduje rozdźwięk w sferze sakralnej. Sprzecznością byłoby też zastosowanie epitetów: „krucyfiks pokorny” i „krucyfiks zamachnięty”. Niemniej figura wiatraka okazałaby się symbolicznym nośnikiem kontestacji. Dostrzec można jeszcze jedną możliwość odbioru. W sytuacji gdy wiatrak jest paralełą krzyża, a materią Nieba jest mąka, mamy do czynienia z przeniesieniem sacrum i profanum. Przymioty niebiańskie stają się ziemskie. Jednakże owa „dewaluacja” nie przyczynia się do zaniżenia wartości świata sakralnego. Ukazuje ona współistnienie obu poziomów, których swoistym „łącznikiem” jest krucyfiks (wiatrak). Nawiązanie do krzyża nowotestamentowego i ofiary ciała Chrystusa podkreśla dość ciekawy związek semantyczny jaki odnajdujemy w analogicznej relacji metaforycznej: mąka = poemat. Przemielone (w wiatraku) ziarna zbóż dają mąkę, z tej powstaje chleb. Na pozór zwyczajna praca okazuje się być niezbędną dla egzystencji człowieka. Kiedy ofiara Jezusa umacnia duszę, pokarm powszedni krzepi materię. Zaznaczona wcześniej paralelna relacja między podmiotem a przestrzenią w tym miejscu umożliwia szersze spojrzenie na „ja” liryczne utworu. Wiatrak można odczytać jako symboliczną figurę buntu, dostrzec można obejmujący podmiot proces maskowania.

W początkowej części niniejszego artykułu wskazałam na istniejący obok chwytu korespondencji – „chwyt toponimiczny”, czyli związany z miejscem. W poetyckich prezentacjach topografii Żuław przeważają obrazy Nowego Dworu Gdańskiego, w którym artysta mieszkał i pracował oraz Nowego Stawu będącego symboliczną przestrzenią „osobistej historii miłośnej” autora.

O Nowym Dworze Gdańskim poeta dzisiaj mówi: „teatryk dramatu sprzed lat. Mieszane uczucia ze wspomnieniami chwil szczęścia i smutku” (z listu). Liryczne kreacje miasteczka tworzą swego rodzaju „mapę przestrzenno-historyczną”. Wśród utworów pojawiają się wybrane, oddające topografię miasta oraz osobistą historię podmiotu. Są to obiekty związane z rodziną, pracą, kulturą i rozrywką, tu: blok mieszkalny przy ulicy Michała Drzymały, Powiatowy Dom Kultury (obecnie Żuławski Ośrodek Kultury), nieistniejący już klub „Paradoks” oraz restauracja „Bałtycka” (dziś „Nova”), jadalnia „Nad Tugą” (teraz restauracja „Joker”). Znaczące też jest wyda-

rzenie związane ze Szpitalem Powiatowym (nieudana próba samobójcza). W mojej analizie skupię się przede wszystkim na tekstach będących nośnikiem małej topografii historii miasta:

w zakolu Tui zamek buduje
z różowych cegieł Jan Loitz
gotyckim Neuhoftu czerń połyskuje
Niderland z chmur mleko do
czerwone głowy serów najtwardszych
wiezie na targ w Weyershofie
mleczno zbożowy złoty interes
wódka Stobbego zakropi
ziemia pod wodą
i niegotowa
po hitlerowskich przeciągach biało-czerwona repatriacja
za wschodnich puszczy lejce ściga
rany czerwone leczy pod słońcem
(*Stolica Żuław*)

Wersyfikowane dzieje Nowego Dworu Gdańskiego oparte są na znajomości faktów historycznych, dlatego można powiedzieć, że ów wiersz posiada swego rodzaju wartość edukacyjną, staje się „poetyckim dokumentem historycznym”. Podmiot liryczny dokonuje „rewizji dziejowej” wskazując na wydarzenia znaczące, konstytuujące tożsamość miasteczka. Operowanie „epitetami barwnymi” („różowe cegły”, „czerwone głowy”, „złoty interes”) nawiązujące do doznań zmysłowych ma na celu zarówno „przybliżenie” historii, jak i podkreślenie dawnej świetności terenu („mleczno zbożowy złoty interes”), a także artykułowanie barwy figuruje tu niejako na zasadzie symbolu („rany czerwone” obrazują lata stalinizmu). Pojawiające się w utworze obco brzmiące nazwy stają się swego rodzaju „śladowi autentyzmu” potwierdzającymi zgodność wypowiedzi poetyckiej z faktami historycznymi.

Drugą przestrzenią topograficzną przetworzoną w przestrzeń poetycką jest „Nowy Staw (...) ukryty w depresję zachłanną” (*Romantyzm Nowego Stawu*). Jednakże wszelkie kreacje związane z owym miasteczkiem oferują nie historię miejsca, a osobistą historię mówiącego podmiotu. Pojawiające się w utworach nazwy obiektów nie mają na celu utworzenia swego rodzaju mapy zarówno czasowej, jak i przestrzennej, przyczyniają się one bowiem do konstrukcji „mapy biograficznej”. „Gest kartograficzny” okazuje się „gestem egzystencjalnym”. Podmiot liryczny snując poetycką wypowiedź wokół elementów nowostawskiej architektury (cegielnia, cukrownia) odtwarza swój stan emocjonalny: „ta miłość we mnie wiruje / przyszła nie w porę nie w czas / telefon z drugiej półkuli jak echo / – cegielnia tu nowy staw” (*Cegiel-*

nia). Zagospodarowanie przestrzenne przekłada się na „zagospodarowanie egzystencjalne” oraz „zagospodarowanie tekstowe”. W wierszu Bożena W. czytamy: „Tajny schron w cegielni ukrył nas / ciała chłodny prąd – odpięłaś płaszcz... / Tkliwie ciebie dotykałem / i kim jestem zapomniałem”. Nowostawski obiekt architektoniczny ulega swoistej transformacji, która zdaje się być dyktowana przez uczucie „nie w porę”. Cegielnia przekształca się w „tajny schron” mający za zadanie kamuflować nieplanowaną miłość.

Również leksykalna warstwa utworów Lipniewskiego została ukształtowana podług przestrzeni. W *Rozstajach* podmiot liryczny mówi: „chowalaś nas w ciepłej cegielni / gdzie tkliwość nas wypalała” (*Rozstaje*). Werbalizacja uczucia odbywa się za pomocą „metafory cegielnianej”: „tkliwość nas wypalała”. Poza tym oksymoroniczny tytuł wiersza *Słodkie gorycze cukrowni* w Nowym Stawie figuruje jako swoista paralela obrazująca stan emocjonalny podmiotu lirycznego.

Przyglądając się poetyckim prezentacjom przestrzeni nadającym kształt drugiemu tomikowi Andrzeja Lipniewskiego dostrzec można, iż integralność podmiotu mówiącego umożliwia symbiotyczna relacja z regionem. Scalenie osobowości przebiega równocześnie z procesem osvajania nowej przestrzeni, z konstytuowaniem nowej „mapy topograficznej” będącej jednocześnie „mapą biograficzną”. Krajobraz Żuław konsolidujący tożsamość uwidocznia się nie tylko w warstwie obrazowej, ale i leksykalnej. Geograficzna depresyjność terenu odzwierciedla się również w minorowej tonacji utworów będącej wynikiem stanu emocjonalnego „ja” lirycznego („jam błot podeszczowych Golem”). Poza tym ważną rolę odgrywa toponimia będąca zawsze nośnikiem „małej historii” raz miejsca, raz podmiotu. Tropienie dziejowości umożliwia poruszanie się po śladach onomastycznych bądź wyartykułowanych architektonicznych obiektach decydujących o osobliwości danego miejsca.

Feliks Tomaszewski

Żuławy Miłosza¹

Żuławy – z zagubioną wśród depresji Drewnicą – stały się tematem wcale nie okazjonalnej poezji krajobrazowej Czesława Miłosza. Drewnica (po niemiecku Schönbaum) to stara wieś – akt lokacyjny pochodzi z 1364 roku – leżąca na obszarze Żuław Wielkich (delta Wisły i Nogatu) w powiecie nowodworskim. Znajdziemy tu zagrody holenderskie w typie wzdłużnym, domy gburские o konstrukcji wieńcowej, spichlerz z końca XIX wieku i wiatrak – nazywany koźlakiem – z 1718 roku. Architektonicznych ostańców jest więcej, a całe przestrzenne założenie wiejskie (kompleksy budowlane, wolnostojące budynki i formy zaprojektowanej zieleni), rozmieszczone w układzie historycznych podziałów własnościowych i funkcjonalnych – tzw. ruralistyczny układ wsi – zostało wpisane do rejestru zabytków województwa pomorskiego. W Drewnicy zamieszkała po wyjeździe z Wilna rodzina poety. Aleksander Miłosz – „ojciec Czesława i Andrzeja Miłoszów, miał mały zakład budowlany”, a dom „będący kolejnym postojem w wymuszonej przez

¹ Artykuł jest skróconą wersją referatu z sesji naukowej „Czesława Miłosza Północna strona” (Gdańsk 21-22.03. 2011)



Dom w Drewnicy, w którym mieszkała matka Czesława Miłosza, fot. M.Opitz.

Historię wędrowce rodziny, stoi do dzisiaj”². W Drewnicy – 22 listopada 1945 roku – zmarła Weronika z Kunatów Miłoszowa, matka poety. W pisanym w 1949 roku wierszu Grób matki czytamy:

O jakże huczy w te jesienne noce
Morze u ujścia Wisły. Grzmot napętnia
Płaską nizinę pod rzędami wierzb
I wiatr północny czesze suche trawy,
Dyszy w burzanach i sypie się szkło
Z rozbitych okien martwego kościoła.
Ciężkimi deszczu kroplami zmywane
Tarcze podłużne z grubego metalu
Zatarte znaki zwracają do chmur
W pobliżu miejsca gdzie są połączone
Ziemia i resztki tej co mnie zrodziła.
Samotność wieczna, krzyk wędrownych ptaków,
I bezustanny, głuchy oddech morza.

Toponimia lokalna jest nieobecna, pojawiają się toponimy ogólnopolskie, topografia Świbna i/lub Mikoszewa, rezerwatu Mewia Łacha, samych Żuław – jedynie znakowo odzywają się w tym elegijnym zapisie, całość podporządkowana jest znakom uniwersalnym (np. północny wiatr, huczące morze, krzyk wędrownych ptaków), lub po uniwersalizm sięgającym (np. rozbite okna martwego kościoła, tarcze podłużne z grubego metalu). Powołany do życia obraz Północy – tej Północy – jest nasycony grozą i obcością. Co prawda rzędy wierzb mogą sygnalizować obecność krajobrazu ruralistycznego, krajobrazu modelowanego dłonią człowieka, ale burzany – wysokie kępy ostów i łopianów – ubogacające trawiastą przestrzeń świadczą o procesie dziczenia, świadczą o nieobecności człowieka. Jeszcze wyraźniej komunikują tę nieobecność rozbite okna kościoła, martwota tej budowli, czy zatarte znaki na podłużnych tarczach. Stepowienie postępuje w świecie natury i stepowienie postępuje w świecie człowieczym.

Wiele wskazuje na to, że Miłosz – konstruując ten poetycki obraz – nie tyle opisuje to, co widzi („widzę i opisuję”), ile sięga po literackie znaki. Wydaje się, że najbardziej literackim znakiem, znakiem najwyraźniej ujawniającym swoją literacką naturę, jest w tym fragmencie burzan. Językowym siedliskiem burzanów jest Ukraina, naturalnym siedliskiem burzanów jest step, Miłosz przywołuje obie te przestrzenie przez pryzmat cudzego spojrzenia.

Czesław Miłosz – legenda rodzinna mocno łączyła jego losy z losami Adama Mickiewicza – bardzo cenił Sonety krymskie. Co prawda w zaprezentowanym tekście Miłosza nie ma przewodnika, który poprowadziłby w

² W. Kass, „Aj, moi dawno umarli!”, Sopot 1996, s. 7.

nieznanej krainie (Mirza się nie pojawia), para Wergiliusz – Dante przemieniła się w parę Matka – syn, a oprowadzanie po zaziemskich światach przekształciło się w rozmowę z umarłą. Mickiewicz step opisał, Miłosz – „płaską nizinę”; Mickiewicz mówił o „suchym przestworze oceanu” i „fali łąk szumiących”, Miłosz mówi o suchych trawach czesanych wiatrem; Mickiewicz słyszy „ciągnące żurawie”, Miłosz słyszy „krzyk wędrownych ptaków”; Mickiewicz przywołał „koralowe ostrowy burzanu”, Miłosz przywołuje wiatr dyżący w burzanach; Mickiewicz pisze o „błyszczącym obłoku”, Miłosz pisze o chmurach; Mickiewicz podkreśla: „nigdzie drogi ni kurhanu”, Miłosz pisze o „zatartych znakach”; Mickiewicz zaznacza: „już zmrok zapada”, Miłosz wprost mówi o „jesiennych nocach”. Czas i miejsce wypraw obu poetów są różne, ale – możemy chyba powiedzieć – samotność Mickiewicza napotyka samotność Miłosza, samotność na krymskim stepie odnajduje samotność na żuławskiej nizinie, samotność nad Morzem Czarnym dopełniona zostaje samotnością nad Morzem Bałtyckim. Olśnienia żuławskim krajobrazem nie ma, ale konkret i metafory personifikujące są obecne w obrazie Miłosza, a poza tym: i obrazowi Miłosza – podobnie jak obrazowi Mickiewicza – towarzyszy metafizyczny cień.

W 1985 roku w tomie Kroniki – mieszanie wycinków prasowych, cytatów z książek i pamięciowych śladów lekturowych, mieszanie historii cudzych i osobistych wspomnień – zamieścił Miłosz utwór zatytułowany Z nią. Grób matki pisał człowiek trzydziestoosmioletni, w utworze Z nią mówi mężczyzna siedemdziesięcioczeroletni w dzień swoich urodzin, Grób matki powstał w Waszyngtonie, miejscem powstania Z nią jest Berkeley, Grób matki pisał pracownik ambasady szarpiący się między lojalnością wobec władzy ludowej a lojalnością wobec samego siebie, Z nią napisał Noblista, emerytowany profesor Wydziału Języków i Literatur Słowiańskich na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Czytamy tam:

Te biedne, artretycznie spuchnięte kolana
Mojej mamusi w nieobecnym kraju.
Myślę o nich w dzień moich siedemdziesiątych czwartych urodzin
Słuchając wczesnej mszy u Mary Magdalen w Berkeley.
Czytanie tej niedzieli z Księgi Mądrości,
O tym, że Bóg nie uczynił śmierci
I nie raduje się zagładą żywych.
Czytanie z Ewangelii według Marka:
O dziewczeczce do której rzekł: „Talita kumi!”
To dla mnie. Żeby z martwych wstawał
I powtarzał nadzieję żyjących przede mną,
W przeraźliwej jedności z nią, z jej agonią
W wiosce pod Gdańskiem, w ciemnym listopadzie,
Kiedy żałobni Niemcy, starcy, kobiety

I przesiedleńcy z Litwy marli na tyfus.
Bądź ze mną, mówię do niej, krótki był ten czas.
Twoje słowa są teraz moje własne, we mnie:
„Wydaje mi się, że to wszystko było tylko snem”.

Przywołane w wierszu Chrystusowe „Talita, kumi!”, oderwane od biblijnego wydarzenia i skierowane do jednostki, ofiarowane zostaje wszystkim poszukującym nadziei. W utworze postawione zostają obok siebie listopad roku 1945 i czerwiec roku 1985, Berkeley i bezimienna wioska pod Gdańskiem, msza w kościele pod wezwaniem Marii Magdaleny wzniesionym w San Francisco i agonia matki w wiejskim domu zbudowanym na Żuławach, biblijna historia córki Jaira i nie biblijna historia córki Józefy Syruć i Zygmunta Kunata, „Talita kumi” – skierowane do córki Jaira i „Bądź ze mną” skierowane do matki. Wydaje się, że słysząc w tym wierszu także Chrystusowe: „Przecż zgiełk czynicie i płaczecie? Dzieweczka nie umarła, ale śpi”, które zostaje przywołane zaskakującym: „Wydaje mi się, że to wszystko było tylko snem”. Jeżeli te słowa – kiedyś matczyne – wypowiada syn, czy oznaczają one: „Dzieweczka nie umarła, ale śpi”? Ta, która w 1949 zasnęła w żuławskiej Drewnicy, zostaje obudzona w 1985 roku w Berkeley. Czas zaśnięcia i długość snu nie mają znaczenia, nie jest ważne miejsce. Cud z domu Jaira się powtarza. Niezwykły jest w tym wierszu obiekt zaprzatający myśli uczestnika „wczesnej mszy” (dotknięte artretyzmem kolana), niezwykła jest wymowa zdrobnienia w ustach starego mężczyzny („Mojej mamusi”), niezwykła jest moc wygłosowego szeregu asonansowego pierwszego wersu („Te biedne, artretyczne spuchnięte kolana”). Cud i konkret sąsiadują ze sobą w tej poetyckiej zagrodzie. W przestrzeni cudu dokonuje się wskrzeszenie umarłych, konkret odnajdziemy w informacjach mówiących o artretyzmie matki.

Ale oprócz żuławskich świadectw poetyckich istnieją żuławskie ślady epistolarne. Po wojnie Czesław Miłosz mieszka w Krakowie. W pisanym z Warszawy do Wilna – 6 sierpnia 1945 roku – liście poeta jest zarówno zaniepokojony, jak i zirytowany brakiem odpowiedzi ze strony rodziny: „Błagam was piszcie czy depeszujcie i przyspieszajcie natychmiast swój przyjazd, bo sprawy są wielce pilne, po prostu paznokcie ogryzam z niecierpliwości”³. Odradza osiedlenie się w Suwałkach i przekonuje: „Andrzej powinien pracować w handlu zamorskim, administracji portów i t.d. odpowiednia szkoła wkrótce otwiera się w Gdyni. Ojciec chyba też urządzi się na Pomorzu lub gdzieś na terenach zachodnich”. W kolejnym liście niepokój dopełni cierpienie:

„Kochany, drogi Tatusiu – czytamy w liście zaadresowanym już do Drewnicy – depeszę Andrzeja o stanie Matki otrzymałem 26 listopada. Treść jej nie pozostawiała wątpliwości, za późno było nawet jechać. Depeszę Tatusia

³ Cz. Miłosz, Listy do rodziny, „Kwartalnik Artystyczny. Kujawy i Pomorze”, 2008 nr 3 (59), s. 7.

otrzymałem 30 listopada. Myślę tyleż o Matce, co i o was. [...] Bardzo mi ciężko. Ten lekarz, który powiedział, że niebezpieczeństwo minęło – to niewybaczalne. Co dalej – nie wiem. Ten fakt zmienia całkowicie losy naszej rodziny. [...] Nie wiem gdzie będziecie mieszkać, czy zostanieie w Drewnicy, czy przeniesiecie się gdzie indziej”.

Z listu wynika, że Czesław i Janina Miłoszowie byli w Drewnicy w pierwszej połowie listopada 1945 roku, wynika także, że Czesław Miłosz nie był na pogrzebie matki. Zachowane z tamtego okresu listy do rodziny pokazują emocjonalną i bytową szarpaninę Miłosza. Jest przekonany, że wróci. Ojca zapewnia: „Jak wrócimy, zamieszkamy wszyscy razem, na Wybrzeżu albo w Warszawie”, brata Andrzeja zachęca do poszukiwania „nieruchomości na Wybrzeżu”, usiłuje sobie i bliskim zracjonalizować powody tej śmierci. Gorączkowo domaga się informacji o ostatnich chwilach matki, wyrzuca sobie zbagatelizowanie jej choroby i lekkomyślną odmowę posługi kapłańskiej; prosi o listowne kontakty, a jednocześnie stara się podtrzymać na duchu ojca, młodszego o sześć lat brata Andrzeja; pociesza babcię Lisię (Józefa z Symciów Kunatowa), ciepłe słowa kieruje do gospodyni Józi; nie zapomina o potrzebach bytowych swojej rodziny i rodziny żony. W listach pisanych z Anglii Miłosz odkrywał własne bytowe niedole, w listach pisanych ze Stanów o biedzie mówi wprost, ale ciągle najważniejszy był dla niego los rodzin pozostawionych w kraju. W liście z 6 kwietnia 1946 roku pyta o sytuację materialną, o dalszy pobyt w Drewnicy, o plany przeniesienia się do miasta, prosi o potwierdzenie odbioru drobnych – jeszcze z Londynu – przesyłek, domaga się „dokładnego adresu, pod który mógłbym wysyłać paczki”, bo obawia się że „na Drewnicę” nie dojdą. W jednym z listów pisze: „W paczce, którą wysłałem stąd kilka dni temu było: 5 puszek czystego cytrynowego soku, kakao, kawa, pudełko herbaty i puszka z szynką, rodzynki i dwa pudełka fajkowego tytoniu, oraz pudełko daktyli. Zaadresowane na Gdańsk – Wrzeszcz”.

W kolejnym – czytamy: „Teraz wysyłamy 1) paczkę żywnościową 2) paczkę z butami, latarką elektryczną, woreczkiem na tytoń i tytoniem. Uważam, że potrzeba abyśmy wiedzieli jakie rzeczy codziennego użytku są Tatusiowi, Andrzejowi albo Lisi potrzebne. Dziś kupiłem długie buty (t.zw. inżynierskie) czarne, jedyne co mogłem znaleźć w tym rodzaju w tutejszych sklepach ekwipunku wojskowego. Do nich dołączam dwa pudełka smaru na wodoodporność. Gdyby Tatuś albo Andrzej chcieli butów sznurowanych do pół łydki, b. grubych, t.zw. marynarskich to mogę to załatwić”.

Powyższe przytoczenia nie muszą oznaczać, że święte pamiętanie umarłych wyparte zostaje przez zwyczajne potrzeby żywych, ale opowiedzenie się po stronie Życia, poddanie się przemocy Życia jest bardzo czytelne. Przywołajmy na zakończenie dopisek, jakim Czesław Miłosz dopełnił jeden z listów: „P.S. II. Jeden z moich listów, zaadresowanych na Karłowicza 61 b skrupulatna poczta zwróciła mi do New Yorku z Gdańska, z dopiskiem: adresat przeniósł się na Wybickiego 23, Sopot!!! I narzekać tu na brak gorliwych urzędników!!”

Ta niepojęta podróż listu z Nowego Jorku do Gdańska i z Gdańska do Nowego Jorku poświadcza nie tylko istnienie świata urzędniczego absurdu, potwierdza także sopocki adres rodziny Miłoszów. Opuszczona willa przy ul. Wybickiego 23 była ponoć budowlą długo zamieszkiwaną przez duchy tych, którzy wybrali samobójczą śmierć niż spotkanie idących ze Wschodu wyzwolicieli. Przenosiny z Drewnicy do Sopotu miały miejsce w 1946 roku. Tak by można zakończyć żuławski etap w życiu części rodziny Miłoszów. Dodajmy: w 1975 roku – staraniem Andrzeja Miłosza – szczątki matki ekshumowano i przeniesiono na cmentarz katolicki w Sopocie przy ulicy Malczewskiego (kwatery III, nr grobu 1736B). Na sopockim cmentarzu pochowane są także Gabriela z Kunatów Lipska (Ela) i Janina z Kunatów Niemętowska (Nina) – córki Bronisława Kunata, brata Zygmunta Kunata, ojca matki Czesława Miłosza⁴. Trzy Kunatówny.

W roku 1950 Miłosz napisał w Waszyngtonie wiersz *Żuławy*⁵:

Śpij w czarnej, pulchnej ziemi złoto, śpij metalu
Z wytartą głową księcia, lwem, koroną.
Komuś tam ciebie, kiedyś, odkopać sądzono.
Muzea zdobić będziesz w moim kraju.

Ciężkie zegary, srebrne misy, kute skrzynie
Pomiędzy gwiazdy zapomniane płyńcie,
W otchłaniach czasu błysnijcie i gińcie,
Niech co przeminąć ma, prędzej przeminie.

A tutaj ciężarówka dudni pustą szosą,
Dymiąca z rozlewiska wód powstaje ziemia,
Mewy nad szare wody białe skrzydła niosą,
Wiatr niskie rude słońce w trawach rozpłomienia.

⁴ W tomie Kroniki czytamy: „Zygmunt Kunat, ojciec mojej matki, miał brata Bronisława, Ela i Nina to jego córki [...]. Te trzy Kunatówny, Weronika (moja matka), Ela i Nina, ostatnie z Kunatów rodu, leżą na cmentarzu w Sopocie, odwiedziłem je w 1981 roku” – Cz. Miłosz, Kroniki, s. 33; zob. także: W. Kass, „Aj, moi dawno umarli”, s. 8-9 (informacje o sopockim grobowcu rodziny Lipskich).

⁵ Cz. Miłosz, *Żuławy* [w:] tegoż, *Wiersze*, Kraków-Wrocław 1984, t. 1, s. 260.

Tu rdza splątanych maszyn którą sieką deszcze
Pod czarnymi skrzydłami wiatraków za groblą
I na prom wchodząc ślizga się na mokrej desce
Mały kudłaty konik z dugą i hołobłą.

Ludzie którzy nie znali bogactwa ni siły
W splekanych, starych ścianach pod lampą zasiedli.
Złe lata na ich twarzach popiół zostawiły.
Zatarte są już ślady dróg, jakie przebiegli.

Człowiekowi jak życzyć? Niech będzie szczęśliwy.
Niech własną ręką stworzy niestworzone dziwy,
Nie złoto, niechaj gwiazdę marzenia wyorze.

W ciemnozielony ogród niechaj myślą zmieni
Krainę płaską wziętą z wody i płomieni.
Gromy. To w ujściu Wisły grzmi spienione morze.

Czas powstania wiersza jest ważny, ale ważne jest także jego poetyckie sąsiedztwo. Poprzedzają ten utwór Traktat moralny (z 1947 roku), Toast (z roku 1949) i Kolędniczy (z roku 1949), po nim pojawia się Który skrzywdziłeś (z roku 1950), Na śmierć Tadeusza Borowskiego (1951 rok) i Poeta (1951 rok). Ważne jest także miejsce powstawania każdego z tych utworów: w Waszyngtonie napisane zostały: Traktat moralny, Toast, Kolędniczy, Który skrzywdziłeś, w Paryżu: Na śmierć Tadeusza Borowskiego i Poeta. Polska lub Polacy są obecni w tych wierszach, piszący wiersze przemierza stolice świata. To, że Żuławy zostały nie tylko dostrzeżone, ale i „zapisane” jest znakiem potrójnego świadectwa: jest poetyckim potwierdzeniem fizycznej obecności na tym terenie, jest poetyckim dowodem osobistej manii pogoni za barwami świata oraz jest dowodem uwewnętrznienia tego położonego w delcie Wisły i Nogatu skrawka Polski, uwewnętrznienia – powiedzmy od razu – bardziej związanego ze śmiercią bliskiej osoby niż z pięknym krajobrazu. Podróż do tej ziemi wynika z obowiązku pamiętania tych, których ta ziemia przyjęła.

W tamtym okresie życia Miłosz widział wiele różnych krajobrazów. W Notatniku amerykańskim – datowanym 1948 rok – czytamy: „Pusta równina aż do granic nieba, zarasta ją trawa niebiesko-zielona. Po długich szosach, prostych jak sine igły, śmigają małe mechaniczne pojazdy. A nad równiną, na tle nieba, wymijają nas rytmicznie przezroczyste wieże z cienkiej stali”⁶. Wśród zapisków znajdziemy taki: „Skrzydło nasze wychodzi z chmur. Na lewo słońce nisko w dymach, żółte i fioletowe mgły oceanu, linie statków łączące swój dym z dymami wieczornego morza. Minęliśmy wiązkę drapa-

⁶ Cz. Miłosz, Notatnik amerykański [w:] tegoż, Kontynenty, o.c., s. 35 (Na równinie).

czów przy ujściu rzeki. Na prawo, aż do linii zmięczy, srebrne cysterny jedna za drugą i płaska ziemia z zaciekami naftowej ropy”. i taki: „Spójrz. To, nad czym przelatujemy, jest uważane za jeden z cudów świata. Uczyliśmy się tego z podręczników geografii, jękając się ze strachu przed złym stopniem. Bezgraniczny teatr czerwonych skał. Był taki sam, kiedy Cezar podbijał Galię, i taki sam, kiedy prorocy Izraela płakali nad rzekami Babilonu. Rzeka wyłobliła tutaj kręty kanion, pracując przez tysiące lat. Nie ciekawi mnie to. Czekam, aż zostawimy za sobą ten widok z pierwszego dnia stworzenia i ukaże się malutka, wątła tama, która nawadnia obszar większy od obszaru mojej ojczyzny”.

Malutka i wątła tama, o której mówi poeta – to element zapory Hoovera, która raczej do małych nie należy. Świat oglądany jest nie tyle z muszej perspektywy jak w Guciu zaczarowanym Zofii Urbanowskiej, ulubionej książce dzieciństwa, środkiem transportu nie jest gąsior ze wspomnianej w przemówieniu noblowskim Cudownej podróży Selmy Lagerlöf, a pasażerski samolot. Marzenia mogą się spełniać w różny sposób, w różnym miejscu i w różnym czasie, ale pamięć o własnym podwórku jest niezwykle mocna. Tama ujarzmiająca żywioł rzeki Kolorado i wrota wsporne dwuskrzydłowe Gdańskiej Głowy (metonimiczne „tarcze podłużne”) pilnujące wody Wisły, cud świata (kanion rzeki Kolorado) i żuławski bezkres, bezmiar czerwonych skał i bezmiar czarnej, pulchnej ziemi, małe mechaniczne pojazdy „śmigające” po długich – prostych jak sine igły – szosach i ciężarówka dudniąca na pustej szosie, cywilizacyjne „zacieki” na obrazie świata i urastający niemalże do przedcywilizacyjnego symbolu „Mały kudłaty konik z dęgą i hołobłą” ślizgający się po mokrej desce, pustka wygenerowana przez gigantyczne wymiary świata i pustka wygenerowana przez Historię („rdza splątanych maszyn którą sieka deszcze”), zamglony ocean i spienione morze.

Kiedy dokładnie przyjrzymy się amerykańskim pejzażom pochwyconym wtedy przez Miłosza w słowie, zauważymy, że stają się miejscami mało przychylnymi człowiekowi. Człowiek – „błysk ułamka sekundy, tkanki, nerwy, pompa serca” – postawiony wobec zbyt dużego obszaru, siłą postawiony wobec Natury, odczuwa obcość, obojętność „bezmierności” i wiecznotrwałości kamiennej świata. Marian Stępień – podkreślając, że przybyszowi z Europy już sama struktura przestrzeni amerykańskiej przedstawia się inaczej – pisze nawet o porażeniu odmiennością amerykańskiego pejzażu i amerykańskiej kultury, o odbieraniu zdolności do pisania, o trudach adaptacji⁷. Wydaje się, że w tej przestrzeni nie tylko nie ma człowieka, ta przestrzeń nie pozwala także odszukać kształtującej ją u zarania ręki Boga. Ten, konkretny pejzaż amerykański – chociaż jest to „widok z pierwszego dnia stworzenia” – wyłobliła rzeka „pracując przez tysiące lat”!

⁷ Zob.: M. Stępień, Czesława Miłosza odkrywanie Ameryki, „Pamiętnik Literacki” 1981 z. 4, s. 143-176.

Jakże inny jest krajobraz żuławski. To nie żaden nieurodzajny czerwony teatr skał, a żyzna równina stanowiona przez „czarną, pulchną ziemię”. I jakże liczne, jak – jeżeli tak wolno powiedzieć – po ludzku ciepłe, są znaki obecności człowieka. Tej dawnej: złoto, metal – „Z wytartą głową księcia, lwem, koroną” – śpiące w ziemi, „Ciężkie zegary, srebrne misy, kute skrzynie”, tej niedawnej: „rdza splątanych maszyn którą sieką deszcze”, tej obecnej: ciężarówka dudniąca na pustej szosie, czarne skrzydła wiatraków, grobla, prom, „Mały kudłaty konik z dęgą i hołobłą”. W tej przestrzeni – chociaż pustej – ludzie są obecni. To jest krajobraz na miarę człowieka. W wierszu czytamy: „Ludzie którzy nie znali bogactwa ni siły / W spękanych, starych ścianach pod lampą zasiedli”. Ten metonimiczny znak rozpalonego na nowo domowego ognia, jest czytelny, czytelny jest także znak, że jednostkowa historia wyjścia dobiegła końca (popiół na twarzach dowodzi, że zło wypaliło się; drogi ucieczki zostały zatarte). A kiedy czytamy: „Dymiąca z rozlewiska wód powstaje ziemia, / Mewy nad szare wody białe skrzydła niosą”, wydaje się, że uczestniczymy niemalże w dniu stworzenia. Ta przestrzeń pozwala odszukać kształtującą ją u zarania rękę Boga. Metonimiczny znak – białe skrzydła nad dymiącą ziemią powstającą nad rozlewiskiem wód – zapowiada to, co zapowiadała historia biblijna: raj. Wiersz Żuławy zostaje podsumowany został niezwykle życzeniami. Miłosz spojrział na Żuławy Wielkie – w wielu miejscach depresyjną równinę ulepioną w ciągu tysięcy lat z namulów rzecznych (piaszczyste i ilaste aluwia [mady] i organogeniczne zlepy [torfy]) – jak na przestrzeń przeznaczoną do założenia cudownego ogrodu⁸. Ciekawe, że widział to z amerykańskiej dali. Skrawek Polski – podobnie jak Europa – jest naznaczony obecnością Człowieka i obecnością Boga, amerykańskiemu bezmiarowi te obecności są obce. I nawet, gdy Miłosz – charakteryzując pozaczasowość i niezmienną kanionu rzeki Kolorado – przywołuje Cezara podbijającego Galię i proroków Izraela płaczących nad rzekami Babilonu, to te europejskie świadectwa (historyczne i biblijne) tę nieobecność tylko wzmacniają. Taki obraz Żuław jest kolejnym śladem obecności Miłosza na Wybrzeżu i zarazem jest kolejnym znakiem uwewnętrznienia wybrzeżowego krajobrazu.

Stanisław Barańczak przekornie napisał: „Gdyby nie było w naszym życiu Czesława Miłosza - o ileż to życie byłoby łżejsze”! Zapewne tak. Ślad najbardziej cenionej przez Miłosza poetyckiej dykcji odnajdziemy w utworach związanych z Drewnicą i Żuławami. Gdy Miłosz umarł – 14 sierpnia 2004 – Wisława Szymborska orzekła, że „Światło zgasło”. Myślę, że świeci inaczej.

8 Zygmunt Gloger – przywołując Dykjonarz geograficzny z roku 1782 – dowodził: „Żuława znaczy nizinę z błot i bagnisk uczynioną do uprawy sposobną; gruntu jej są żyzne i najwięcej przynoszące pożytku” i wzmacniał tę prawdę uwagą Klonowicza, „że Żuława, Suława od tego tak nazwana, »iż ją morze albo flaga morska usuła«” – Z. Gloger, *Encyklopedia staropolska*, wstęp. J. Krzyżanowski, t. IV, Warszawa 1985, s. 518 (hasło: „Żuława”).

Mirosław Melerski

Traktat o krześle¹

Siedzenie uspokaja



Krzestło Thoneta,
fot. archiwum autora.

Jedni wierzą, że „krzesło symbolizuje najwierniejszego stróża człowieka, nawet jak się na nim nie siedzi, ono samo czuwa by do jego domu nie wkradło się nieszczęście” inni twierdzą – „krzesło to machina tortur i instrument mocy, która powoduje nasze choroby”. Ileż spokoju udziela się człowiekowi podczas siedzenia? Ciało składa się w dwa kąty proste, wszystkie kości i mięśnie pozostają bez ruchu. Oddech się wyrównuje, dopływ krwi do nóg spowalnia się. Nogi zakładane są jedna na drugą.

Szukamy odpoczynku i schronienia na ławkach w parkach, aksamitnych meblach wypoczynkowych, deskach klozetowych, stopniach schodów, otomanach, fotelach samochodowych, wyciągach krzeselkowych, piłkach gimnastycznych, stołkach barowych, fotelach szefa. Siedzimy.

Na zaledwie dwu tuzinach różnych mebli do siedzenia, jak to wykryły mądre głowy, cywilizowany człowiek kultury europejskiej odciska sobie każdego dnia tylną część swojego ciała. Oderwaliśmy ręce od podłoża, głowę unieśliśmy do góry, wypięliśmy biodra a kolana wyprostowaliśmy po to, by po milionach lat wreszcie kroczyć przez świat w pozycji pionowej. Ale wybraliśmy przymus skłaniający człowieka do pozycji siedzącej. No i teraz tak sobie siedzimy. Jedni gdzie popadnie, inni na tronach. „Siedzieć należy tak mało jak to tylko możliwe, nie wierzyć myśli, która nie dojrzała na wolnym powietrzu i podczas swobodnego poruszania się – kiedy to i mięśnie nie próżnują. Cierpliwość w siedzeniu – to jest ten właściwy grzech przeciwko Duchowi Świętemu” – tak ostrzegał Friedrich Nietzsche.

Czy powinniśmy odstawić krzesła przyczepione do naszych ciał i zagnieźdzone w naszych głowach do krainy zapomnienia? Czy poddać świadomemu procesowi niszczenia, jak zaproponował Ron Arad konstruując Crash Maszynę do kasacji krzeseł?

¹ Mirosław Melerski jest właścicielem kolekcji krzeseł (miniatur i oryginałów) najwybitniejszych projektantów świata. W kwietniu 2011 roku większość obiektów z tej kolekcji eksponowana była na autorskiej wystawie „Klasyka designu” w Muzeum Archeologiczno-Historycznym w Elblągu.

Dlaczego postępowi specjaliści do spraw ergonomii, designerzy, rzemieślnicy i ortopedzi już dawno temu nie opracowali innej, zdrowszej dla człowieka postawy niż siedzenie na krzesłach? - Ponieważ krzesła to o wiele więcej niż jedynie proste meble: krzesła kształtują nas, mają wpływ na wyrażanie naszych wyznań, uczuć, pragnień oraz są głęboko zakorzenione w sposobie myślenia człowieka. Czyżby?

Spośród wszystkich kultur tylko nasza kultura, kultura europejska, zaakceptowała siedzenie na krzesłach, jako zupełnie normalne i zrozumiałe samo przez się zjawisko. Przyczyną powyższego jest fakt, iż siedzenie na krzesłach w naszym otoczeniu dawno już pozbyło się charakteru kultowego i odbieramy je, jako zupełnie naturalne. Gdy przyjrzymy się innym kulturom, jasnym stanie się, iż nie jest to wcale takie naturalne. Codzienne siedzenie na krzesłach jest mianowicie wytworem jedynie europejskiej kultury i jej wpływom na inne kontynenty. Ale znacznie mniej niż połowa mieszkańców naszej planety przyzwyczajona jest do siedzenia na krzesłach. Większość innych kultur na świecie preferuje raczej kucanie, klękanie, przysiadanie na piętach, matach, poduszkach, czy stołkach. Zjawisko to odzwierciedlone zostaje na przykład w architekturze: wysokość, na której usytuowane są okna domów europejskich odpowiada wysokości, z jakiej patrzy osoba siedząca na krześle; w kręgu kultury arabskiej natomiast, gdzie siedzi się przeważnie na poduszkach, parapety okien umiejscawia się na wysokości tuż przy podłodze.

W kulturze zachodniej pojęcie "Chairman" oznacza przewodniczącego, a jednocześnie wskazuje, iż najważniejszym symbolem jego władzy jest krzesło. W Chinach natomiast jeszcze Mao określany był w dosłownym tłumaczeniu jako "Mistrz maty". Wydaje się więc, że odpowiedź na tak właśnie postawione pytanie, dlaczego po prostu nie odejdzie się od zwyczaju siadania na krześle (co można byłoby rozważyć z czysto technicznego punktu widzenia), ma korzenie społeczne. Podczas gdy narody bliskie naturze od Ekwadoru po Krąg Polarny przykucają, przyklękują, czy też kładą się na ziemi, Europejczycy i ich potomstwo odskoczyli od ziemi na kilkanaście centymetrów. Ich byt skoncentrował się na krzesłach i stołach, odrzucając wieczny niepokój nomadów - usadzili się. Świat, jak im się wydaje, leży u ich stóp, mimo że stopy mało kiedy dotykają ziemi. Ten, kto siedzi wierzy, iż zajął swe miejsce w burzliwych zdarzeniach o randze światowej.

W pozycji siedzącej obiecujesz sobie bezpieczeństwo. Krzesło stoi czterema nogami na ziemi. To uspokaja - i daje osobie siedzącej wrażenie władzy. Już w starożytności król, równy Bogu, zasiadał na tronie. Uwolniony od wysiłku fizycznego miał promieniować swoim blaskiem.

Niektórzy królowie afrykańscy byli przywiązani do swego tronu i noszeni nawet w miejsce załatwiania potrzeb fizjologicznych. Przykuci do bezruchu byli karmieni i czczeni, jako przedstawiciele bogów. W tej mizernej statyce, przywiązany król był nie tylko duchowym namiestnikiem: jego tron był także ołtarzem a król ofiarą dla bogów.

Gdy narody afrykańskie zezwalały swym władcom jedynie na nieco uniesienia nad ziemię, w Europie coraz więcej mężczyzn miało ochotę odgrywać osoby mające władzę. Biskupi kazali sobie wstawić do kościołów stalle, zwierzchnicy gmin (w języku niemieckim Gemeindevorsteher – stojący na przedzie gminy) przemianowali się na przewodniczących (w języku niemieckim Vorsitzender – siedzący na przedzie, ważne głowy cechów rzemieślniczych (gildii) stopniowo przydzieliły sobie prawo do siadania na rzeźbionych krzesłach świeckich. W czasach Napoleona skazani na śmierć oficerowie byli rozstrzeliwani w fotelach na siedząco.

Wzorcem do siadania stała się Ostatnia Wieczerza, po tym jak Luter w swym tłumaczeniu Biblii usadowił postać Jezusa, pierwotnie stojącego za stołem - władcy europejscy nie mogli długo czekać. Zebrali oni swe dwory przy królewskich stołach i usadzili poszczególnych dostojników ściśle według rangi – tworząc przez to odwzorowanie domniemanego porządku boskiego. Ostatnia Wieczerza wprowadzona została także do domów mieszkańskich. Na miejscu głównym za stołem zasiadał na krzesle z poręczami ojciec rodziny. Stare pogańskie centrum domu – ognisko - zostało zastąpione stołem jadalnym.

Od kiedy Michael Thonet rozpoczął w Wiedniu w tani sposób wyginać namoczone drewno bukowe do postaci krzesła, elegancki sposób siedzenia stał się zajęciem narodowym. Cztery miliony swych filigranowych, a jednocześnie stabilnych tronów dla mas rozprowadził Thonet między ludzi w latach 1850 do 1870. Świat usiadł. Obliczono, że do naszych czasów wyprodukowano ponad czterdzieści milionów egzemplarzy tylko samej thonetowskiej „czternastki”. Przy urządzaniu przeciętnego europejskiego gospodarstwa domowego żaden mebel nie jest bardziej rozpowszechniony niż krzesło. Pewne francuskie studium wykazało, że 43% wszystkich mebli w naszych gospodarstwach stanowią krzesła. Franz Kafka opisuje w swym słynnym liście do ojca, jaką pozycję może zajmować mebel do siedzenia w wielu rodzinach, wyrażając to w następujący sposób: „ze swego fotela rządzisz światem.”

Demokratyzacja siedzenia w fotelu szła w parze z podziałem władzy. Dzisiaj krzesła stoją wszędzie - z fotela szefa wydawane są dyspozycje o funkcjonowaniu przedsiębiorstw. Wspólnota światowa obraduje na białych obiciach Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych. Ku swemu ubolewaniu niektórzy piłkarze wszelakich klubów muszą zasiadać na ławce rezerwowych, kibice na trybunach. Pozycja zawodowa definiowana jest

za pomocą mebla do siedzenia: „Człowiek, który nie ma krzesła, nie ma nic”, wnioskuje włoski architekt i projektant krzeseł Ettore Sottsass.

Każdemu jego królestwo, każdemu jego tron – przy stole w knajpie, na zwykłej desce klozetowej, czy też w największej świętości – w aucie. Miliony tronów zapakowanych w blachę toczą się przez kontynenty. Dzieci ledwo zostaną oderwane od piersi matki, zostają umieszczane w drewnianym mon-



Krzesło Coconut, fot. archiwum autora.

strum, które jest trzy razy większe od nich samych. Siedząc na wysokim krześle wciągają w siebie mieszczańską, świecką wersję Ostatniej Wieczerzy. Tylko ramiona są wolne, chęć do ruchu małego dziecka jest hamowana. Siedzenie na zlecenie nauki. Dopiero siedząc człowiek staje się człowiekiem.

Studiowanie i siedzenie stało się jednością: w średniowiecznych szkołach katedralnych, na uniwersytetach i stopniowo we wszystkich szkołach. Ogólny obowiązek szkolny jest ogólnym obowiązkiem siedzenia. Wiele rzeczy byłoby bez wątpienia przyjemniejszych i o wiele wygodniejszych niż siedzenie w poczekalniach gabinetów lekarskich czy w szkole na krześle. Ale jeżeli mamy uzyskać świadectwo ukończenia szkoły, dyplom albo skierowanie, żeby poleżeć – to musimy łaskawie siedzieć cicho, prosto i zachowując się właściwie. Na siedząco mały człowiek zostaje po raz pierwszy w życiu ujęty przez system państwowy. Droga do przedszkola wiedzie przez nocnik, droga do bycia wykształconym obywatelem przez twarde krzesła szkolne.

Siedzenie na krzesłach oznacza koncentrację, wewnętrzną spójność, zastanowienie się. W celu wykonania prac wymagających przemyślenia zniżamy pozycję, jak na rozkaz – siad – rozluźniamy mięśnie, zbieramy wszystkie rezerwy umysłowych sił. Rozmyślając nad podaniami do pracy, zeznaniami podatkowymi czy też nad powieścią zatapiamy się w myślach – które zaczynają ponownie płynąć dopiero, gdy przejdziemy parę kroków do kuchni, aby nastawić świeżą wodę na herbatę. Siedzenie uważane jest, przeto niesłusznie za podstawę ducha twórczego. Wprawdzie wielka część literatury światowej została stworzona na siedząco a prace przy kręceniu filmu kierowane są z krzeseł reżyserskich, jednak najlepsze pomysły pozyskują twórcze głowy nie za biurkiem, lecz pod prysznicem, na spacerze, czy też nawet we śnie.

Siedzenie ujarzmia

Psychoanalitycy proszą niektórych swoich pacjentów o zajęcie miejsca na krześle. Na leżance - o wiele bardziej luksusowym podłożu do podróży w podświadomość, zajmują miejsce szczególnie niestabilni pacjenci. Od lat na międzynarodowe mecze piłkarskie można sprzedawać tylko bilety na miejsca siedzące. Niebezpieczeństwo niekontrolowanych masowych bijatyk maleje, jeżeli fani przyglądają się wydarzeniom na boisku w pozycji przykucniętej. Również sam wymiar sprawiedliwości zdaje się nie doceniać ujarzmiającego oddziaływania pozycji siedzącej. Ciągłe jeszcze ścigane są blokady siedzących demonstrantów, jako łamanie spokoju narodowego. Miejsce siedzące jest pożądanym dobrem.

Kto chciałby wysiąść z autobusu, musi przedrzeć się przez poszturczających go współobywateli, którzy wdzierają się do środka po upragnione miejsce siedzące, zanim ci co siedzieli będą stać. Jedno marzenie, jeden cel: wprawiająca w błogość skorupa z twardego plastiku lub poplamionej dermy. Kto nie znajdzie wolnego miejsca w lokalu, rzuca bystre spojrzenia na wszystkie strony - który stół się zwolni, gdzie będzie wolne krzesło. Na własnych nogach człowiek czuje się niepewnie, niespokojnie, chwiejnie, w swobodnej pozycji rzadko kiedy dochodzi do intymnych rozmów. Pewność uzyskuje się dopiero na siedząco. Krzesła można się przytrzymać. Ono jest podporą, protezą i ojczyzną.

Ale krzesło jest również sprawcą chorób. Młodość spędzona w ławkach szkolnych i praca na krzesłach przy biurkach powoduje skrzywienie kręgosłupa. Deformacje naszych sylwetek to skutek przynależenia do zasiedzonego społeczeństwa. Historycy socjologii informują, że życie mieszkańca wsi rozgrywało się w promieniu piętnastu kilometrów od jego domu. Za to ciągle na własnych nogach. Dzisiaj podróżujemy po świecie - na siedząco. Dynamikę kolei, samochodu czy samolotu przeżywamy w bezruchu, siedząc. Nawet astronauta w kosmosie, tak dalecy od wszystkiego, co ziemskie, muszą polecieć na orbitę na siedząco, mocno przypięci do foteli.

Środek transportu przyszłości już dawno został wynaleziony - jest nim krzesło biurowe. Na ortopedycznie przemyślanym meblu do siedzenia z praktycznymi rolkami, z którego można w międzyczasie wstawić ekspres do kawy, czy przyciskając klawisz pilota zmieniając kanał telewizji bez potrzeby unoszenia się. Człowiek podróżuje wirtualnie przekazując informacje do partnerów przez internet czy telekonferencję. Myśl podróżuje - ciało kamienieje. Od Homo erectus do Homo sedativus (człowiek wyprostowany - człowiek siedzący - red.). Spokojnie ustawiona egzystencja człowieka osiadłego odgrywa się w wiecznym siedzącym cyklu.

Teza, że słaby organizm człowieka potrzebuje odciążenia przez krzesło, jest nieprawdziwa. Jest zupełnie odwrotnie, to siedzenie na krzesłach osłabia organizm i wytwarza przymus do siedzenia. Tysiące pracowników musi zrezygnować z wykonywania swojego zawodu z powodu chronicznych bólów pleców. Do czego dojdzie w przyszłości? Czy potrzebujemy lepszych krzeseł z obiciami lateksowymi, konstrukcji siedzisk i oparcia sterowanych komputerowo? Czy powinniśmy przesiąść się na klęczniki, czy piłki gimnastyczne, czy też na inny ergonomicznie zoptymalizowany przyrząd do siedzenia?

Najlepszym siedziskiem jest twarde, drewniane krzesło, na nim nie da się długo wysiedzieć. Musimy ponownie nauczyć się stać.



Kzesło Alvar Aalto, fot. archiwum autora.

Kordian Kuczma

Patroni naszych ulic (odc. 4)

Blaski i cienie rodu Kalksteinów

W cyklu na temat patronów nazw ulic Powiśla opisywałem już na przykładzie biografii Jana Bażyńskiego walkę stanów pruskich z absolutyzmem krzyżackim. Mniej obecny w powszechnej świadomości historycznej jest podobny konflikt między szlachtą i mieszczaństwem a następcą wielkich mistrzów – elektorem brandenburskim, który wywiązał się na tym samym terenie dwieście lat później. Prawdopodobnie stało się tak, ponieważ lenno pruskie stanowiło wówczas peryferyjny odcinek polskiej polityki, poza tym opozycji wobec Hohenzollernów nie było dane cieszyć się sukcesem na miarę pokoju toruńskiego. Co więcej, została ona zdławiona, a jej przywódcy zginęli lub zmarli w więzieniach. Tej gorzkiej prawdy oszczędzono widzom telewizyjnego serialu „Czarne chmury”, którego fabułę zainspirowały tamte wydarzenia. Pierwowzorem pułkownika postaci Krzysztofa Dowgirda był szlachcic i oficer Chrystian Ludwik Kalkstein – patron jednej z przecznic łączących ulice Kopernika i Chopina w Sztumie oraz – wraz z ojcem Albrechtem – uliczki na gdyńskim Grabówku.

Ze uczczeniem niepokornego poddanego elektora w Sztumie przemawiały nie tylko jego barwne, choć tragiczne, jak najbardziej pasujące „opowieści płaszcza i szpady” losy, ale również rodzinne związki z Powiślem. Jego ojciec, generał i orędownik dawnych swobód ludności na sejmach pruskich, posiadał majątki ziemskie w okolicach Prabut, Pasłęka oraz w dzisiejszym obwodzie kaliningradzkim – Wogau i Knauten, w którym to dworze spędził ostatnie lata życia. Zabiegał o opiekę dla pruskiej opozycji u Jana Kazimierza, za co został uwięziony i odebrano mu starostwo oleckie. Złamany represjami, wycofał się z życia politycznego.

W tej sytuacji nie dziwi, że jego syn Chrystian Ludwik uczył się rzemiosła wojennego w dalekiej Francji. Nie zagrzał tam długo miejsca, prawdopodobnie usunięty za niesubordynację. Militarną karierę kontynuował w Polsce, gdzie dosłużył się stopnia podpułkownika. W 1655 najwidoczniej pod wrażeniem spustoszenia szerzonego przez „potop” szwedzki wstąpił na służbę elektora, w której osiągnął rangę pułkownika i starosty oleckiego. Na tym stanowisku popadł w konflikt z pisarzem urzędowym, którego nadużycia zdemaskował. Pozostawał również w złych stosunkach z rodziną Wallenrodtów, której intrygi doprowadziły do odebrania mu starostwa.

Coraz bardziej zniechęcony stosunkami panującymi w Prusach Kalkstein ponownie zaciągnął się do wojska polskiego. W 1663 namawiał znanego z sienkiewiczowskiego „Potopu” Pawła Sapiechę do interwencji zbrojnej w swoich rodzinnych stronach. Jako pułkownik autoramentu cudzoziemskiego w regimentach litewskich w 1664 trafił do niewoli moskiewskiej. Przebywał w niej około roku, po czym powrócił do rodzinnego Knauten. W 1667 zmarł jego ojciec Albrecht. W testamencie zapisał swój cały majątek pierworodnemu, co spowodowało zrozumiałe rozgoryczenie młodszego syna Krystiana Albrechta. Doniósł on elektorowi o rozmowach brata z Sapiechą, co doprowadziło do skazania Chrystiana Ludwika w czerwcu 1668 na dożywotni pobyt w twierdzy. Pod wpływem prośb skazańca popieranym przez królewskiego namiestnika Bogusława Radziwiłła Fryderyk Wilhelm Hohenzollern zgodził się na zamianę kary więzienia na konieczność zapłacenia astronomicznej grzywny 5000 talarów. Świadomy, że nowy wyrok przekracza możliwości finansowe Kalksteina, elektor planował jego kolejne aresztowanie. Aby się przed nim ochronić, dziedzic Knauten w dniu 9 marca 1670 pozostawił rodzinę w pruskich włościach i zdecydował się pod osłoną nocy zbiec przez Jezioro Oleckie Małe i miejscowość Cimochoy na teren Rzeczypospolitej.

Jak widać, podobnie jak w przypadku zatargu Bohdana Chmielnickiego z podstarościm Czaplińskim na Zaporozżu, początkowo pretensje Kalksteina do władcy Prus w dużej mierze ograniczały się do podrażnienia rodowej dumy. Mimo tego po przybyciu do Warszawy Chrystian Ludwik wszedł w ojcowską rolę obrońcy polskiego zwierzchnictwa nad pruskim lennikiem i ograniczanych przez tworzący się na francuski wzór absolutyzm praw i przywilejów tamtejszej ludności. Były oficer próbował wygrywać niesnaski między szlachtą i zawodowymi wojskowymi a pozostającą na brandenburskim żołdzie magnaterią¹, namawiając do zwołania pospolitego ruszenia w swojej sprawie. Przychodziło mu to tym łatwiej, że mógł powoływać się na represje Hohenzollerna wobec jego rodziny, której skonfiskował majątek. Występując publicznie używał przydomka Stoliński, pochodzącego od nazwy jednej z posiadanych przez niego włości². Udało mu się uzyskać posłuchanie na dworze króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego, który odmówił odstawienia go do Prus. Zdobył także zaufanie podskarbiego koronnego Michała Olszowskiego i księcia Dymitra Wiśniowieckiego. Cały czas pozostawał w kontakcie z podobnie myślącymi rodakami, który podtrzymywał za pośrednictwem jezuitę Pawła Branickiego.

Wytrwałość buntownika przyniosła rezultaty w postaci odmowy zapłaty podatków przez stany pruskie oraz pojawieniem się tematu usunięcia Hohenzollernów z Królewca w trakcie obrad polskiego sejmiku. Kalkstein poza

¹ Do frakcji probrandenburskiej należał m.in. jeden z najwybitniejszych poetów polskiego baroku, magnat Jan Andrzej Morsztyn.

² Nie jest do końca pewne, czy Kalkstein nauczył się polskiego w dzieciństwie, czy dopiero w czasie służby w polskiej armii. Dostępne źródła różnią się w tej kwestii.

odwagą i energią nie miał jednak żadnych atutów, którymi powinien dysponować uczestnik rozgrywki politycznej, do której dążył. Nie potrafił kryć się z planami zmuszenia elektora do hołdu lennego siłą ani prawidłowo ocenić przyjaznej postawy jego rezydenta w Polsce Euzebiusza von Brandta, który pozorując przyjaźń z uciekinierem otaczał go siecią szpiegów.

Jesienią 1670 Fryderyk Wilhelm zmusił stany pruskie do zerwania kontaktów z Kalksteinem i wysłał wojsko nad granicę z Polską. Z misją porwania starosty oleckiego i sprowadzenia go do Prus żywego lub martwego do Warszawy udało się kilkunastu rajtarów. 28 listopada bohater szkicu wpadł w zastawioną przez Brandta zasadzkę w winiarni Szkota Andrew Thomsona na Lesznie. Pruski rezydent zwabił go obiecując wręczenie rzekomego listu żelaznego wystawionego przez elektora. Pijanego Kalksteina zawiązano w końską derkę i przewieziono na Żerań, gdzie został wsadzony na konia i pod zbrojną eskortą odstawiono do Prus. 15 grudnia znalazł się w cytadeli w Kłajpedzie.

W Warszawie odkryto zniknięcie oficera dopiero po trzech dniach. Brandt musiał w niesławie opuścić Polskę, dla zachowania pozorów został skazany w Prusach na banicję, jednak żądania wydania porwanego pozostały bez echa. W obliczu tureckiego najazdu Polski nie było stać na konfrontację z dążącym do niezależności lennikiem. Propaganda Hohenzollernów próbowała przedstawić incydent jako rezultat prywatnych porachunków najemników z czasów wspólnej służby w Polsce. Śledztwo z użyciem tortur trwało ponad dwa lata. Nie chcąc zdradzić towarzyszy, Kalkstein całą odpowiedzialność za spisek obarczał siebie. 8 listopada 1672, kiedy niepomysłny przebieg wojny z Turcją wykluczył polską interwencję dyplomatyczną, niepokorny szlachcic został ścięty w Kłajpedzie. W ostatnim liście do żony apelował, aby uczyła dzieci polskiego i szukała dla nich przyszłości w Rzeczypospolitej. Tak też się stało – trzej jego synowie poszli w ślady ojca i służyli pod rozkazami polskich królów.

Historia nie zawsze powraca jako farsa – czasami również jako tragedia. Niemal identyczny koniec, włącznie ze wzruszającymi pożegnalnymi listami do rodziny, w XX wieku przypadł w udziale szefowi kontrwywiadu Dowództwa Floty, kapitanowi marynarki wojennej Antoniemu Kasztelanowi (1896-1942). Ten patriota rodem z Wielkopolski (udając się na wojnę polsko-bolszewicką na wypadek swojej śmierci zapisał cały swój majątek Skarbowi Państwa) odniósł wiele sukcesów w likwidacji niemieckich siatek szpiegowskich na przedwojennym Pomorzu. Z tego względu został uznany za jednostkę szczególnie niebezpieczną dla hitleryzmu. Mimo, że załoga Helu, w której się znajdował kapitulowała na honorowych warunkach (sam Kasztelan brał udział w pertraktacjach), kapitan został w maju 1940 przewieziony z oflagu w Nienburgu do stalagu w Gdańsku, a następnie do więzienia w Królewcu, gdzie po torturach i procesie 14 grudnia 1942 zginął pod ostrzem

gilotyny. Nie pomogły mu protesty słane do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża ani Krzyż Żelazny za męstwo w I wojnie światowej. Pamięć o męstwie Antoniego Kasztelana żyje w nazwie ulicy na gdyńskim Pogórzu i stypendiów szkolnych ufundowanych przez jego potomków dla najlepszych uczniów powiatu wejherowskiego.

W XVII i XVIII wieku do Kalksteinów należał (m.in. do wicewojewody malborskiego Jana Kalksteina) dwór w Klecewie koło Młeczewa w powiecie sztumskim. W tym okresie ród mieszkał również w Polaszkach koło Postolina. Wielu z nich trwale zapisało się w historii Pomorza i Wielkopolski. Wincenty (1795-1857), właściciel Gołuchowa w Kaliskiem, walczył jako oficer w powstaniu listopadowym i posłował na sejm prowincjonalny Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Karol (1790-1862) od 1848 piastował funkcję prezesa Towarzystwa Naukowej Pomocy dla Młodzieży Prus Zachodnich. Do najaktywniejszych obrońców polskości na Kociewiu należeli Kalksteiniowie z Klonówki pod Starogardem Gdańskim: Edward (1826-98), uczestnik Wiosny Ludów, uwięziony na rok w berlińskim Moabicie za wspieranie powstania styczniowego oraz jego brat Michał (1830-1911), ostatni przedstawiciel tej linii rodu, poseł do parlamentu berlińskiego w latach 1871-98. Obydwaj należeli do pionierów polskiej bankowości i spółdzielczości rolniczej w tej części państwa pruskiego. Działalność Edwarda kontynuował jego syn Teodor (1851-1905), ceniony ekonomista, współzałożyciel i dyrektor Banku Ziemskiego w Poznaniu, organizator spółek parcelacyjnych walczących z wykupem polskiej własności przez Niemców.

Część Kalksteinów porzuciła gospodarkę rolną i z powodzeniem parała się kupiectwem. Z tej mieszczańskiej, choć dumnej ze swoich korzeni, linii rodu wywodził się człowiek, z którego winy nazwisko Kalkstein dla „pokołenia Kolumbów” stało się synonimem narodowej zdrady. Ludwik Kalkstein-Stoliński pseudonim „Hanka” mimo młodego wieku należał do najdzielniejszych funkcjonariuszy „Straganu”, czyli wywiadu ofensywnego Związku Walki Zbrojnej (potem Armii Krajowej). Podlegała mu siatka agentów pod kryptonimem „H”, zajmująca się rozpracowywaniem Luftwaffe. W uznaniu sukcesów jego podkomendnych (wykradzenia mapy lotnisk wojskowych w całej Europie i składu nowego stopu glinu) dorównujący brawurą swojemu przodkowi porucznik otrzymał Krzyż Walecznych.

W sierpniu 1942 Kalkstein został zdekonspirowany i trafił na warszawski Pawiak. Po trzech miesiącach zastraszania i szantażowania pruskim pochodzeniem zgodził się na współpracę z Gestapo. Razem ze szwagrem Eugeniuszem Świerczewskim „Gensem” i partnerką Blanką Kaczorowską „Sroką” wydał w ręce hitlerowców większość kolegów z siatki, przełożonych z kierownictwa wywiadu AK, a przede wszystkim jej komendanta głównego – generała Stefana Roweckiego „Grota”. Świerczewski, przed wojną krytyk

teatralny, zginął powieszony za zdradę przez dawnych towarzyszy, Kaczorowską przed egzekucją uratowała ciąża. Przygotowania egzekucji obojga przerwało powstanie warszawskie.

W obliczu hitlerowskiej klęski Kalkstein podjął się działalności wywiadowczej na tyłach frontu, jednak był to tylko pretekst do próby zatarcia śladów swojej zbrodniczej działalności. Ukrywał się pod różnymi nazwiskami (najdłużej – Wojciech Świerkiewicz) na Pomorzu Zachodnim jako nauczyciel, szef spółdzielni rybackiej, dziennikarz „Kuriera Szczecińskiego”, gdzie pracował z Bohdanem Tomaszewskim. Pisał przygodowe powieści marynistyczne, słuchowiska radiowe i scenariusze filmowe na temat swoich rzekomych bohaterskich czynów w służbie zachodnich wywiadów. Działał w szczecińskim oddziale Związku Literatów Polskich, którym kierował wówczas autor „Popiołu i diamentu” Jerzy Andrzejewski. 9 czerwca 1949 został aresztowany za próbę nielegalnego przekroczenia granicy z Niemcami. Wypuszczono go, ponieważ zobowiązał się do współpracy z Urzędem Bezpieczeństwa.

W sierpniu 1953 został ponownie aresztowany i skazany na dożywocie, które później zamieniono na karę 15 lat więzienia. Ostatecznie ze względu na dobre sprawowanie opuścił zakład karny w Strzelcach Opolskich w 1965. Nie wymierzono mu kary śmierci, ponieważ liczone, że będzie donosił na współwięźniów i występował jako świadek w procesach masowo oskarżanych w tamtych latach o kolaborację i szpiegostwo akowców. Podczas pobytu w więzieniu redagował ogólnopolskie pismo więźniów „Prześwit”. Po wyjściu na wolność przeprowadził rozwód z Kaczorowską, która również została skazana na dożywocie, jednak opuściła więzienie już w 1958. W następnych latach były agent trudnił się hodowlą drobiu pod Piasecznem, a następnie trzody chlewnej w Utracie w okolicach Jarocina. Posługiwał się wtedy personaliami Ludwik Stoliński. Na początku lat 80. wyjechał do Francji, gdzie mieszkał syn jego i Kaczorowskiej.

Zmarł wyniszczony alkoholizmem i nieustającą ucieczką przed zemstą dawnych towarzyszy broni 29 października 1994 w Monachium jako Edward Ciesielski, czyli pod nazwiskiem jednej ze swoich ostatnich partnerek. Opowieści o próbach wykorzystania swojej pozycji jako agenta Gestapo do zwalczania hitleryzmu na wzór Konrada Wallenroda i wielkiego przodka, którymi podzielił się jeszcze w więzieniu z reportażystą Krzysztofem Kąkolowskim, nie brzmią wiarygodnie. Jest jednak bardzo prawdopodobne, że oddał hołd Chrystianowi Ludwikowi w inny sposób – adaptując jedno ze swoich słuchowisk na scenariusz przywołanego przeze mnie na początku tekstu serialu „Czarne chmury”. Formalnie jego autorami byli pozbawiony pisarskiego doświadczenia aktor Ryszard Pietruski i historyk amator Antoni Guziński, który zastrzega, że większość z jego pomysłów w ostatecznej wersji nie została wykorzystana...

Bibliografia

Czajka Michał, Kamler Marcin, Sienkiewicz Witold Leksykon historii Polski, Warszawa 1995.

Kąkolewski Krzysztof, Droga do męczeńskiej śmierci Św. Maksymiliana Kolbe, Warszawa 1996.

Kulas Jan, Edward Kalkstein, Michał Kalkstein, Teodor Kalkstein, <http://jankulas.pl>

J. Kunicki, Chrystian Ludwik Kalkstein, <http://www.olecko.info>

Skworoda Paweł, Sprawa pułkownika Kalksteina, <http://histmag.org>

Sokołowska Małgorzata, Kwiatkowska Wiesława, Gdyńskie cmentarze. O twórcach miasta, portu i floty, Gdynia 2003.

Zadworny Adam, Kalkstein, <http://wyborcza.pl>, 2009.02.24 (artykuł z „Dużego Formatu” „Gazety Wyborczej”).

Tomasz Agejczyk

Malbork - miasto cmentarzy

Malbork, a raczej Marienburg nazywany był przez wieki największą górą cegieł na północ od Alp, powstałym z gliny lub miastem szkół, rzadko spotykane jest określanie miasta umarłych. Odkrycie masowego grobu w 2008 roku w okolicy ulicy Solnej przyczyniło się do ogólnoeuropejskiego powrotu do tego makabrycznego określenia miasta. Chociaż określenie to nigdy nie było związane z tym masowym grobem, a raczej chodziło o ilość cmentarzy, które znajdowały się na terenie Malborka od średniowiecza do 1945 roku. Dlatego też miasto może być nazywane miastem cmentarzy.

Cmentarze jako miejsca pochówku związane były przede wszystkim z ostatnim stałym miejscem zamieszkania nieboszczyka, następnie z prawem własności, statusem społecznym oraz zależało od okoliczności towarzyszących życiu i zgonowi. Przyjmując wymienione cechy można najogólniej ustalić następujący podział cmentarzy w Malborku:



Mur cmentarza ewangelickiego św. Jerzego z wmurowanymi tablicami, centralna poświęcona pamięci superintendenta F. Heinela. Lata 30-te XX wieku.

1. cmentarze parafialne dla wyznań uprzywilejowanych, noszące odpowiednie wezwanie patrona:
 - a) cmentarze przykościelne św. Jana, św. Jerzego, św. Ducha, św. Józefa, wielbarski, św. Wawrzyńca,
 - b) cmentarze w kościołach św. Jana, św. Jerzego, św. Wawrzyńca,
2. cmentarze szpitalne przeznaczone dla pensjonariuszy fundacji lub ubogich dziadów szpitalnych. Z reguły położone były poza średniowieczną linią murów, co pozwalało na ich powiększanie. Często użytkowane były jako miejsce pochówku ubogich, w razie potrzeby jako cmentarze epidemiczne – cmentarz Jerozolimski,
3. cmentarze tolerowanych, chrześcijańskich mniejszości wyznaniowych (mennonici, baptyści) – zwykle zlokalizowane na wydzielonych parcelach cmentarza luterńskiego,
4. cmentarz żydowski – kirkut – organizowany zwykle poza miastami, na gruncie prywatnym, wykupionym lub wydzierżawionym,
5. cmentarz osób niehonorowych.

Poza funkcjami grzebalnymi cmentarze pełniły różnorodne funkcje, niewiele mające wspólnego z grzebaniem zmarłych. Służyły mieszkańcom jako miejsce azylu (stąd nazwa Friedhof), orzekania prawa, handlu, spotkań pijaków i kochanków. Niejednokrotnie jako pobliskie wysypisko śmieci, wypasu bydła, zamieszkania, bielenia płótna, ścinania trawy na paszę i zabaw.

Osoby niegodne czyli zabite, nie ochrzczone niemowlęta, zmarłych wieśniaków, sztuczne i naturalne poronienia, nieznanymi topielców, ciała nie zidentyfikowanych ofiar zabójstwa chowano w średniowieczu zgodnie z decyzjami odpowiednich służb miejskich, bezceremonialnie na specjalnych cmentarzach komunalnych lub na wiadomym, zwykłym miejscu. Straconych złoczyńców często pozostawiano nie pogrzebanych na miejscu kaźni – na podmiejskim wzgórzu szubienicznym Galgenberg (okolice dzisiejszej śluzy Rakowiec).

Już od średniowiecza mieszczan grzebano tam, gdzie żyli, czyli w granicach komuny miejskiej. Bogate społeczeństwa dążyły do zapewnienia swoim najwybitniejszym przedstawicielom miejsca pochówku wewnątrz kościołów, obok relikwii świętych patronów. Upowszechnienie się wewnątrzkościelnego pochówku wynikało zarówno z napływu ludności do miasta jak i z ogólnego wzrostu znaczenia mieszczaństwa w społeczeństwie. Trzeba pamiętać, iż budynek kościelny pełnił nie tylko funkcję prestiżową, ale także zabezpieczał miejsce pochówku przed rabunkiem. Sytuacja uległa radykalnej zmianie w XIX wieku, kiedy zakazano chować zmarłych w kościołach. Często stare posadzki ulegały zupełnej likwidacji. W najlepszym razie część średniowiecznych i wczesnonowożytnych nagrobków, zgodnie z dawną praktyką budowlaną, zostawała użyta wewnątrz świątyń jako kamień



Cmentarz wojenny przy Szpitalu Jerozolimskim z charakterystycznymi nagrobkami w kształcie krzyża żelaznego, najwyższy z nich poświęcono Nieznanemu Żołnierzowi. Lata 30-te XX wieku.

budowlany do ułożenia nowej podłogi, schodów, progów itp. W posadzkach kościelnych dość często można zauważyć pocięte w połowie płyty nagrobkowe z XV wieku zestawione z częścią nagrobka osiemnastowiecznego. Kolejna zmiana nastąpiła w drugiej połowie XIX wieku, gdy wraz z rosnącymi zainteresowaniami starożytnością starsze i wartościowsze z artystycznego lub historycznego punktu widzenia nagrobki przenoszono na ściany kościołów.

Średniowiecznych cmentarzy przykościelnych nie zdobiły marmury, nie ocieniały laury czy inne drzewa nastrojowo szumiące i daleko było im do estetyki XIX-wiecznych nekropolii. Często pozbawione były, poza murami, trwalszych zabezpieczeń w postaci bram i furt. Miało to umożliwić wszystkim potrzebującym skorzystanie z azylu kościelnego.

Podobnie jak w innych miastach, malborscy luteranie chowali swoich zmarłych na mających jeszcze średniowieczną genezę cmentarzach przykościelnych

Mennonitom malborskim nie przysługiwało prawo do posiadania własnych cmentarzy wyznaniowych. Anabaptyści korzystali z przydzielonych im kwater będących własnością kościoła luterńskiego.

Od XVI wieku rozpowszechniła się moda na stawianie latarni zmarłych. Miały one formę słupa lub podestu, na którym umieszczano lampki. Czasem osiągały całkiem spore rozmiary lub budowano je w kształcie niewielkich kapliczek z niszą na świecę, której blask miał odpędzać moce piekielne. Miały one zachęcać do modlitwy za zmarłych, a niektóre pełniły również

funkcję nagrobka lub epitafium. Z biegiem lat ich znaczenie i kształt ulegały pewnym komplikacjom. Jedyny przykład lampy zmarłych na terenie Malborka możemy odnaleźć na terenie tarasu Zamku Wysokiego.

Poza wysoką śmiertelnością dnia codziennego swoje hekatomby zbierały również pojawiające się epidemie dżumy. W latach 1709-1710 w samym Malborku zmarło ponad 1 400 osób.

XIX wiek przyniósł reformę cmentarną, mówiącą o zakazie grzebania zmarłych w kwaterach kościelnych i na przykościelnych cmentarzach. Dotychczasowe place cmentarne z czasem zostały zagospodarowane w inny sposób (cmentarz św. Jana na Starym Mieście przekształcono w mały park). Wydawano nakazy mające na celu ograniczenie kręgu osób uprawnionych do korzystania z przykościelnych cmentarzy, niektóre z nich stały się elitarnymi cmentarzami – gdzie chowano zasłużonych mieszkańców. Taki los spotkał cmentarz św. Jerzego, gdzie od XIX wieku pochowano kilku burmistrzów czy też słynnego konserwatora zamku Conrada Steinbrechta. W związku z żywiołowym napływem ludności do Malborka w połowie XIX wieku rozpoczęto proces zakładania nowych cmentarzy na obrzeżach miasta.

Cmentarze są przestrzenią metafizyczną, gdzie styka się przeszłość z teraźniejszością, świat zmarłych ze światem żywych, sfera prywatna z publiczną. Jednocześnie pokazują, jak ludzie próbowali oswoić tę tragedię istnienia, jaką jest śmierć. Mówią nam o tych, którzy żyli przed nami: o tym, kim byli, jakie mieli gusta, jakie wartości cenili, jak radzili sobie ze śmiercią.

Z zachowanych dokumentów można wymienić następujące malborskie cmentarze bez uwzględnienia cmentarza zakonnego na terenie Zamku Wysokiego czy też masowych grobów na terenie całego miasta.

Cmentarz św. Jana

Najstarszy malborski cmentarz, wzmiankowany już w 1395 roku, powstał na planie prostokąta przy północnej ścianie kościoła farnego św. Jana. Kościół ten zlokalizowany w północno-zachodniej części Starego Miasta zaczęto wznosić w chwili powstania miasta. Ecclesia in Merginborc wspomniana została po raz pierwszy w 1319 roku. Prezbiterium kościelne wyłożone lastrykiem służyło również jako miejsce pochówku.

Można przypuszczać, że cmentarz parafialny przestał pełnić pierwotną funkcję pod koniec średniowiecza, a jego rolę przejął cmentarz św. Ducha.

Do dzisiaj we wnętrzu możemy zobaczyć dwa piękne epitafia umieszczone na ścianach:

- Piotra Konopackiego z 1580 roku. W zwieńczeniu znajduje się popiersie zmarłego dziecka w owalnej ramie, po bokach dwa aniołki z dłońmi w modlitewnym geście i dwa obeliski flankujące partię wieńczącą. Nad portretem czaszka między skrzydłami i klepsydra. W dolnej partii medalion wypełniony kartuszem z herbem złożonym, zwieńczonym labrami i klejnotami.



Cmentarz przed kaplicą św. Wawrzyńca na Przedzamczu po pracach porządkowych przeprowadzonych przez C. Steinbrechta. Rok 1911.

- Paulusa Horna zbudowane w stylu manierystycznym w 1651 roku. Znajduje się w czwartym przęśle nawy południowej.

Cmentarz Świętego Ducha

Powstał w pobliżu krzyżackiego szpitala św. Ducha, wzmiankowanego dopiero w liście biskupa pomezańskiego z 1382 roku. Przy szpitalu znajdował się kościół, który najpewniej powstał równocześnie z nim. Podczas oblężenia Malborka w 1410 roku szpital został zniszczony, a odbudowano go w latach 1415–1417. W 1415 roku Zakon udzielił zgody na założenie cmentarza. Do 1945 roku zachował pierwotny charakter religijny, zajmował powierzchnię 1300 m². Między ulicami Gerbergasse i Große Geistlichkeit (ob. Poczty Gdańskiej i Piłsudskiego) znalazło się 226 mogił. W 1907 roku pochowano tu organistę z kościoła św. Jana - Hugo Hartmanna (1862–1907), który w 1902 roku skomponował muzykę do tekstu Paula Felske „Westpreußenlied”. Utwór ten zdobył dużą popularność. Był on również autorem wielu opracowań starych ludowych pieśni i melodii a także podręczników do nauki gry na fortepianie i skrzypkach, wariacji fortepianowych oraz innych podręczników muzycznych.

W centralnej części cmentarza znajdowała się kaplica, gdzie w pierwszych miesiącach 1945 roku składowane były ciała zmarłych z terenu miasta. Ostatni oficjalny pogrzeb odbył się w 1945 roku. Po ekshumowaniu 380 osób

w 1963 roku zwłoki przeniesiono do wspólnego grobu na Cmentarzu Komunalnym. Obecnie znajduje się w tym miejscu park, w 2008 roku przeniesiono na teren dawnego cmentarza pomnik żołnierzy AK.

Cmentarz św. Jerzego

Na południe od murów miasta i zamku rozciągało się przedmieście sztumskie. Tak jak wcześniejsze, cmentarz św. Jerzego ściśle związany był z leprozorium i kościołem szpitalnym. Pierwsza wzmianka o szpitalu pochodzi z 1409 roku, chociaż mógł powstać już w XIII wieku na co wskazuje charakterystyczne wezwanie. Znajdował się najprawdopodobniej na miejscu dzisiejszej przychodni przy ulicy Słowackiego. Ze względu na zagrożenie trędem przytułki tego typu budowano w odległości kilkuset metrów od bram miasta. Malborskie leprozorium musiano założyć przed powstaniem południowego przedmieścia, które w pierwszej połowie XV wieku było już stosunkowo gęsto zaludnione. Nie wiadomo, kto był jego fundatorem. W pierwszej połowie XV wieku patronat nad nim sprawowały przez władze miejskie. W 1471 roku biskup pomezański Wincenty Kielbasa na prośbę rady miejskiej włączył odbudowany (po zniszczeniach wojny trzynastoletniej) przez nią kościół św. Jerzego do położonego obok szpitala i nadał radzie prawo patronatu nad tym kościołem. W latach dwudziestych XVII wieku połączono szpital św. Jerzego ze Szpitalem Jerozolimskim, którego budynek zachował się do dziś. Pierwszy cmentarz zlokalizowano na terenie obecnej Stacji Dializ. Do XVI wieku nekropolia należała do katolików, przejęta następnie przez ewangelików i taki stan pozostał do 1945 roku. Obecny XVIII-wieczny kościół MBNP cmentarz otaczał od strony północnej i południowej, pomiędzy ulicami Ziegelgasse i Fleischergasse (ob. Armii Krajowej i Słowackiego). Pod koniec II wojny światowej posiadał powierzchnię 7 300 m² oraz 722 mogiły. Ostatni pochówek odbył się w 1945 roku.

Na cmentarzu tym znajdowały się również mogiły żołnierzy napoleońskich. Reforma cmentarna z XIX wieku przyczyniła się do przekształcenia cmentarza w miejsce elitarne. Pochowano tu wielu wybitnych mieszkańców: kartografa i budowniczego Jana Władysława Suchodolca (1687-1751), pastora i historyka Wilhelma Ludwiga Haeblera (1768-1841), inspektora budowlanego Karl August Gersdorffa (zm. 1850), burmistrzów: von Paulitza (zm. 1734), Gustava Ludwiga Hüllmanna (zm. 1847) i Dewitza (zm. 1858), Heinela (zm. 1813), konserwatora zamku Conrada Steinbrechta (zm. 1923) oraz żonę Bernharda Schmida Luisę Johannę Hamanke (zm. 12.03.1927) i ich syna (zm. 2.02.1927). Uwagę zwracał także grób radcy wojennego Johanna Karla Müllera (zm. 1800) ozdobiony rzeźbą płaczącego anioła (dzieło ze szkoły Gottfrieda Schadowa) oraz pomnik nagrobny w kształcie wielkiego Krzyża Żelaznego, upamiętniającego osobę i dzieło inspektora wodnego Johanna von Blankensteina (zm. 1849).



Najbardziej charakterystyczny nagrobek przedwojennego cmentarza św. Jerzego. Anioł Śmierci strzeże grobu radcy wojennego Johanna Karla Müllera. Zniszczony po II wojnie światowej.

miejsu wiejskiego kościoła filialnego, założonego jeszcze w średniowieczu. Historia tego budynku kończy się w XVII wieku, kiedy to całkowitą ruinę rozebrano. Cmentarz jednak pozostał. Miał powierzchnię 2 450 m² oraz 230 mogił. Ostatni pochówek odbył się w roku 1945.

Cmentarz św. Wawrzyńca

Cmentarz ten zlokalizowany został na Przedzamczu w pobliżu kaplicy św. Wawrzyńca (dziś część hotelu). W tym miejscu nekropolia mogła istnieć już w czasach średniowiecznych, co związane było z funkcjonowaniem kaplicy jako świątyni dla mieszkańców i pracowników Zamku Niskiego. Wiadomo ze źródeł, iż w okresie nowożytnym istniało tam jeszcze miejsce pochówku. W rewizjach zamku z 1696, 1711 i 1765 roku wspomina się kostnicę na cmentarzu, do którego prowadziły dwie furty. Wnętrze kaplicy służyło

Płyty nagrobne bogatych mieszczan malborskich umieszczone na wewnętrznej stronie muru cmentarnego czy też na fasadzie kościoła pochodzą z wnętrza świątyni. Kilka płyt można jeszcze znaleźć w samym wnętrzu. Najwięcej znajduje się pod drewnianym podestem w prezbiterium. Ogółem w kościele znajdowało się 38 płyt nagrobnych, głównie z XVII wieku. Wykonane były z białego, czerwonego i szarego wapienia. W 1929 roku dwie płyty przeniesiono na teren zamku.

Teren cmentarza uporządkowano doszczętnie w 1982 roku, zwłok nigdy nie ekshumowano.

Cmentarz wielbarski

Ten mały cmentarz zlokalizowany na dawnej ulicy Friedhofsweg (ob. Krótka / Góralska) wiąże się bezpośrednio z lokalizacją w tym

również jako miejsce pochówku, m.in. rycerza w służbie Zakonu Dietricha von Logendorfa. W 1911 roku C. Steinbrecht uporządkował były teren cmentarza tworząc stałą ekspozycję płyt nagrobnych sprowadzonych z różnych miejscowości (m.in. I. Langeo – XVII wieku, G. Spandekowa z 1660 roku, S. Rehefelda z 1725 roku).

Cmentarz Jerozolimski

Cmentarz usytuowany jest przy budynku Szpitala Jerozolimskiego, przy ulicy Armii Krajowej (niem. Ziegelgasse). W 1945 roku obejmował łączną powierzchnię 31 940 m², co czyniło z niego największy ówczesny cmentarz. Miejsce to istnieje zapewne od początku funkcjonowania szpitala, jako miejsce pochówków jego pensjonariuszy. Data rozpoczęcia pochówków na cmentarzu nie jest znana. Możemy przyjąć, że pochówki przeprowadzano od XVI wieku. Kształt pierwotnego cmentarza uzależniony był od systemu fortyfikacji bastionowych otaczających miasto. Do dnia dzisiejszego łatwo zlokalizować część wzniesień bastionów. Jednym z pierwszych wydarzeń udokumentowanych jest pochówek osób zmarłych w latach 1709-1710 na epidemię dżumy przyniesionej do miasta przez wojska walczące w wojnie północnej. Wybór cmentarza przy Szpitalu Jerozolimskim jest zrozumiały, ponieważ cmentarz oddalony jest od miasta w znacznej odległości, co daje dodatkowe zabezpieczenie przed dalszym rozwijaniem się epidemii. W całym mieście zmarło około 1 400 osób.

Od XIX wieku ewangelicki „St. Jerusalemfriedhof” stał się największą z malborskich nekropolii poprzez przyłączenie nowego terenu.. Opiekę nad cmentarzem sprawował superintendent kościoła św. Jerzego. Budynki cmentarne wybudowano przy Ziegelgasse 69 (ob. Armii Krajowej) i Feldweg (ob. Hallera). W jednym z budynków mieszkał kierownik cmentarza. Funkcję tę pełnił m.in. Otto Zeidler.

W roku 1914 wieczny spoczynek na tym cmentarzu znalazł lokalny pedagog i poeta Paul Felske (1838-1914). Jest on autorem wiersza „Westpreußen, mein lieb' Heimatland Wie bist du wunderschön” (Prusy Zachodnie moja ojczyzno, jaka jesteś cudowna), do którego muzykę napisał Hugo Hartmann. Pieśń ta szybko zdobywała popularność i została w końcu uznana za hymn Prus Zachodnich, i do dziś jest wykonywana na spotkaniach byłych mieszkańców tych ziem.

Wraz z rozpoczęciem pierwszej wojny światowej na cmentarzu wydzielono kwatery dla ofiar tejże wojny. Teren cmentarza wojennego wyznaczono na miejscu pierwotnego cmentarza. Wejście na niego flankowały dwa wielkie kamienie z wyrytymi datami 1914 i 1919 (jeszcze rok po zakończeniu wojny ostatni ranni umierali w malborskich lazaretach). Pośrodku ustawiono w 1919 roku wielki dębowy krzyż, a obok niego kolejny wielki kamień ku czci matek poległych żołnierzy. Wszystkie mogiły wojskowe były w kształ-



Jedyna malborska macewa pochodząca z cmentarza żydowskiego przy obecnej ulicy 500-lecia.

cie Krzyży Żelaznych. Wśród wszystkich wyróżniał się Grób Nieznanego Żołnierza – prosta, ziemna mogiła z nieco większym krzyżem. W dziewięciu rzędach pochowano 206 żołnierzy.

W 1929 roku w kwaterze wojskowej pochowano tragicznie zmarłego Bruno Kaisera (1898-1929), malborskiego lotnika, ucznia i przyjaciela rekordzisty świata w lotach szybowcowych Ferdinanda Schulza. Kaiser zginął wraz z Schulzem 16.06.1929 roku w Sztumie w czasie zrzucania wieńca z samolotu „Marienburg”.

Cmentarz stał się również miejscem pochówku jeńców ze Stalagu XX Marienburg-Willenberg oraz żołnierzy poległych w czasie II wojny światowej.

13 października 1943 roku pogrzebano tu także 200 ofiar amerykańskiego nalotu na zakłady lotnicze FW 190 w Królewie. Do końca 1945 roku na cmentarzu złożono ciała 273 zmarłych, których ostatni niemiecki ksiądz, Konrad Will, odnalazł w domach zniszczonych w czasie walk o miasto. W jednym z masowych grobów wykonanych przy dawnych kwaterach wojskowych pochowano 27 osób.

Ostatni oficjalny pogrzeb na cmentarzu ewangelickim nastąpił w roku 1944. Łącznie na cmentarzu znajdowało się 3 427 mogił.

Katolicki cmentarz

Mały cmentarz katolicki powstał w XIX wieku przy ówczesnej Golde-ner Ring (ob. H. Sienkiewicza) jako nowy teren dla cmentarza św. Ducha. Pośrodku umieszczono kaplicę cmentarną. Funkcję pełnił do ok. 1910 roku, kiedy to utworzono nowy cmentarz św. Jana. Do 1945 roku był nieczynną nekropolią, po wojnie mały plac z kilkoma drzewami. W 2002 roku rozpoczęto na tym miejscu prace pod markiet Minimal, rozkopano groby, wykopane szczątki wywieziono. Nigdy nie przeprowadzono ekshumacji.

Nowy cmentarz św. Jana

Kolejny katolicki cmentarz tym razem pod wezwaniem św. Jana został założony ok. 1910 roku przy powstającej ulicy Parkstrasse (ob. Ciepła). Podobnie jak na cmentarzu Jerozolimskim wyznaczono teren pod cmentarz wojenny. Od części cywilnej odgrodzono go żywopłotem. W dwunastu rzędach pochowano 118 żołnierzy, poległych w latach 1914-1918 (często występują nazwiska polskiego pochodzenia, tj. Kowalski, Wasielewski, Suchocki. W czternastu grobach pochowano osoby bezimiennie. Przy jednej ze ścian ogrodzenia pochowano wolontariuszki Czerwonego Krzyża. Pośrodku ustawiono drewniany krzyż. Cmentarz w 1945 roku posiadał powierzchnię 8 324 m² i 250 mogił. Ostatni pochówek w 1943 roku. Likwidacja cmentarza nastąpiła w 1976 roku, w miejscu tym urządzono park, w związku z przebudową wiaduktu, część cmentarza znalazła się pod nową ulicą. Do dnia dzisiejszego na terenie cmentarza zachowały się pozostałości licznych skrzynek.

Cmentarz żydowski

Żydzi w Malborku pojawili się w XIV i XV wieku, jednak ze względu na obowiązujący tu przywilej *de non tolerandis ludaeis* nie było to stałe osadnictwo. Po raz pierwszy Żydzi osiedlili się w Malborku w 1813 roku. W 1819 roku malborski kahał otrzymał od miasta grunt w celu założenia cmentarza. Był to plac znajdujący się na terenie zwanym Hoppenbruch w pobliżu ówczesnej wsi Wielbark, stanowiącej obecnie dzielnicę Malborka, przy dzisiejszej ulicy 500-lecia 71 (niem. Stuhmer Weg). Obszar cmentarza był w latach 1871, 1883, 1893 i 1927 sukcesywnie powiększany. Na cmentarzu znajdowały się zarówno kamienne, jak i drewniane macewy, w zależności od statusu społecznego zmarłego. Bractwo pogrzebowe Chewra Kadisza w Malborku powstało w 1852 roku. Cmentarz został zniszczony przez nazistów podczas drugiej wojny światowej. Po 1945 roku teren służył jako pole uprawne, w tym też okresie znikły nagrobki. Na części powiększonej w 1927 roku utworzono cmentarz Armii Czerwonej.

Cmentarz ewangelicko-katolicki

Cmentarz katolicko-ewangelicki powstał ok. 1920 roku przy ulicy Birkgasse (ob. Jagiellońska), gdzie do 1945 roku chowano mieszkańców pochodzenia niemieckiego, w latach 1945-1961 polskiego. Ostatni oficjalny pogrzeb odbył się w 1961 roku. Na powierzchni 19 324 m² znajdowało się 3 612 mogił. W roku 1943 pochowano w trzech rzędach 28 żołnierzy. Cmentarz pomimo dużych walorów estetycznych i zachowania wielu ciekawych nagrobków, decyzją władz od 2000 roku czeka na likwidację, natomiast teren po cmentarzu ma zostać przekształcony na park dla pensjonariusz z Domu Pomocy Społecznej.

Cmentarz belgijski

Pomnikiem I wojny światowej stał się cmentarz żołnierzy belgijskich założony na granicy z kirkutem przy ulicy Stuhmer Weg (ob. 500-lecia). Zawierał 50 mogił osób wziętych do niewoli i zmarłych na skutek odniesionych ran. Dowodem ich doczesnej obecności były półkoliście ułożone między drzewami cementowe płyty nagrobkowe z napisami. Obecnie teren znajduje się pod cmentarzem wspólnoty brytyjskiej.

Cmentarz wyznaniowy – baptystyczny

Dopiero w 1920 roku gmina baptystyczna zakupiła teren o powierzchni 1 850 m² pod cmentarz przy Stuhmer Weg (ob. 500-lecia). Od lat 70-tych XIX wieku wyznawcy grzebali swoich zmarłych na cmentarzu Jerozolimskim. Cmentarz został ogrodzony a na środku ustawiono krzyż. Ostatni pochówek odbył się 11.09.1954 roku.

Cmentarz ewangelicko-katolicki – Piaski

Cmentarz został założony najprawdopodobniej na początku XX wieku przy ulicy Elbinger Strasse (ob. Al. Wojska Polskiego), od 1912 roku przy włączeniu drugiej części Sandhof (Piaski) wszedł w granice Malborka stając się cmentarzem miejskim. Początkowo był to jeden cmentarz o łącznej powierzchni 11 237 m². Na skutek konfliktów między ewangelikami i katolikami utworzono dwa odrębne cmentarze, które rozdzielono specjalną bramą. Ewangelicy otrzymali teren o powierzchni 2 936 m². Na cmentarzu tym znajdował się pomnik poświęcony żołnierzom niemieckim poległym w czasie I wojny światowej. W 1945 roku naliczono 333 mogił na całym terenie. Ostatni oficjalny pochówek odbył się w 1944 roku, pięć grobów pochodziło z okresu czerwiec-sierpień 1945 roku. W 1974 roku Naczelnik Powiatu wystąpił o zgodę na użycie terenu cmentarza pod budowę Domu Młodego Robotnika. 25 września 1976 r., na dawnym cmentarzu oddano do użytku obiekt sportowo – rekreacyjny.

Cmentarz ewangelicki – Nowa Wieś

Cmentarz w dzielnicy Nowa Wieś (mniejszy) o powierzchni 2 300 m² zawierał 93 mogiły, zachował się w dobrym stanie, jak na nekropolie na terenie Malborka. Mając swoje miejsce poza miastem nie został decyzją władz zlikwidowany. Do dnia dzisiejszego pozostało wiele skrzyń, nieliczne napisy. Przed 1945 rokiem ogrodzony siatką na metalowych słupkach. Ostatni nagrobek pochodzi z 1949 roku.

Cmentarz ewangelicki – Nowa Wieś

Cmentarz w Nowej Wsi (tzw. drugi) znajduje się przy drodze na Iławę około 0,6 km za szkołą podstawową. Najprawdopodobniej założony po wypełnieniu pierwszego cmentarza, na co wskazują daty umieszczone na nagrobkach (1928, 1935, 1940). Silne zalesienie ukazuje bardzo ciekawe położenie na stromej skarpie, pierwsze groby znajdowały się przy centralnie umieszczonej bramie wjazdowej, po lewej i prawej stronie, a następnie wspinały się przy zachodnim skraju cmentarza. Najciekawszym elementem cmentarza jest półkolisty wykop w skarpie z obłożonym cokołem z kamienia polnego – pierwotna lokalizacja kaplicy. Cmentarz miał powierzchnię 1400 m² i zawierał 35 mogił. Ogródzony był siatką na betonowych wspornikach.

Cmentarz katolicki św. Józefa – Kałdowo

Cmentarz o powierzchni 6 000 m² założony został w roku 1931 roku wraz z erygowaniem kościoła katolickiego pw. św. Józefa w Kałdowie. Na tym cmentarzu pochowano 6 marca 1960 roku głównodowodzącego Powstania Wielkopolskiego gen. bryg. Stanisława Taczaka (1874 – 1960). Wśród przedwojennych nagrobków można odnaleźć grób proboszcza z Gnojewa Carla Thatera (1855-1935).

Wielka szkoda, że z przedwojennych nekropoli tak mało zostało. Nie spotkały się z akceptacją ludności napływowej po 1945 roku, katolicy nie okazali zrozumienia dla ewangelickich i żydowskiej nekropolii. Działalność władz Malborka i Gminy Malbork od 1945 roku spowodowała, iż po większości z nich nie ma śladu, zamknięto je decyzją Ministra Gospodarki Komunalnej z dnia 8 kwietnia 1961 roku a ewangelicki cmentarz w dzielnicy Piaski decyzją Wydziału Gospodarki Przestrzennej, Komunalnej, Geologii i Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku z dnia 30 kwietnia 1974 roku.

Z byłych nekropoli pozostały zaniedbane puste place, rzadko parki. Wyłaniające się spod ziemi fragmenty płyt przypominają o wcześniejszym zastosowaniu. Nikt do dzisiaj nie pokusił się o ustawienie chociaż małych płyt informacyjnych tak jak to zrobiono w pobliskim Elblągu, czy też o stworzeniu lapidarium (Gdańsk, Elbląg). - Życie tak szybko płynie, że wciąż zapominamy o przeszłości: Memento mori.

Maciej Krainński

O koprze popitym winem rose

Będzie o Rózi. W przedziale kolejowym byliśmy we dwoje. Pani z zapalem wystrzeliwała z siebie dziesiątki zdań mniej lub bardziej składnych, ciskając drapieżne spojrzenia lub też powłóczyście, ciągnięte niczem ciasto na pizzę. Zeszło na wina. Pani rzuciła się na wina z żarliwością konia kawalerskiego na poidło, po całodziennych manewrach. Mówiła o wspaniałym różanym z Francji. Noga lekko mi drżała. Moja rozmówczyni ciągnęła temat wynosząc pod niebiosa wspaniały smak, zapach i kolor tego cudownego różanego wina. Poczułem, że moja noga zaczęła żyć własnym życiem.

- A jak też oni fermentują płatki róży?

Pozwoliłem sobie na niewinne pytanko, wypowiedziane tonem przyjaznym i głosem słodziutkim. Osadziło ją jak konia przed rowem z wodą.

- A..., nie wiem - odparła.

- Ale Franuzi są mistrzami winiarstwa, to zapewne bardzo stara tradycja, receptura strzeżona zazdrośnie przechodzi z ojca na syna. - Wybrnęła z kłopotliwego pytania rezolutnie, przy okazji przekazując szereg istotnych uwag dotyczących francuskiej cywilizacji i kultury stołu. Na szczęście dotarłem do celu więc się pośpiesznie ewakuowałem.

Szanowna, a miła towarzyszeko podróży. Mam nadzieję, że sięgniesz do „Prowincji” i przeczytasz kilka słów komentujących naszą podróż z Koluszek do Serocka. Rose oznacza kolor, a nie sfermentowaną różę wciśniętą do butelki. Różowe można uzyskać mieszając czerwone z białym, ale zapewniam, nie jest to szczyt sztuki winiarskiej i zdecydowanie odradzam taki zabieg. Procedura właściwa wygląda następująco. Po wytłoczeniu dojrzałych czerwonych winogron otrzymujemy różowy sok, który poddajemy fermentacji. Skórki odrzucamy. To one dają winu czerwień i cierpkość taniny. Różowe pomijamy przy doborze win do obiadu, a szkoda, bywa złotym środkiem przy rozwiązywaniu dylemtu - białe czy czerwone? Schłodzone świetnie pasuje do ryb i owoców morza choćby takich jakie jedliśmy wraz z kuzynem Andre nad Zatoką Biskajską. Dwie butelki wspaniałego, schłodzonego w kubelku, Rose pękło przy scampi z patelni, skropionych koniakiem. Sięgnijcie do kanonu klasyków gatunku : Rose d’ Anjou, Rose de Loire czy Rose z Prowansji. Będziecie pili rześkie wytrawne lub półwytrawne winko i nikt wam nie zarzuci, że wałnęliście byka przy doborze. Rose jest dobre na wszystko, mogli by zaśpiewać Starsi Panowie.

A teraz do Pani z pociągu. Szanowna, elokwentna i miła towarzyszeko podróży z Koluszek do Serocka. Różaną wodą przemyci się nosek, a można i całe ciało, jak kto lubi. Jeżeli jednak chcesz trwać przy swoim. Na zdrowie! Jak demokracja to demokracja.

A'propos Andre. Jego matka, ciocia Maria de Castes, co w małym akwitańskim miasteczku Bazas mieszka, ilekroć do Polski zawita mówi: Matie w tym kraju wszystko pachnie koperkiem. Zauważ czytelniku, że nie użyłem francuskiej wersji słowa zapach, mianowicie „odor”, by nie obrazić twoich uczuć koperkowo-patriotycznych. W odruchu dobrze pojętej miłości ojczyzny daję odpór drogiej tantinie (po naszymu cioteczce) ripostując: A wasza Prowansja to cała w oparach lawendy się nurza.

Dziś będzie też o koprze. Dla odmiany o koprze włoskim (*Foeniculum capillaceum*). Pochodzi z rejonu Morza Śródziemnego i Azji Mniejszej, uprawiany jest w całej Europie. Roślina wieloletnia, w pierwszym roku wytwarza jąca długi wrzecionowaty korzeń oraz rozetę liści, charakteryzuje się silnym kamforowym zapachem przypominającym anyż. Koper to jedna z najstarszych roślin leczniczych, znana w medycynie chińskiej i staroegipskiej. Zaliczana do siedmiu roślin świętych. Słowiańska nazwa koper pochodzi od słowa „kopec”, co oznacza zapach. Używano go jako wykwintnej przyprawy, jak i wszechstronnie działającego leku. Marcin z Urzędowa pisze, że „kołaczki i chleby z nim czynić należy”. Anglicy nazywają koper „rybnym zieleń” i słusznie, bo my kochamy sandacza w sosie koperkowym. Można komponować z nim maselka koprowe, pichcić zupy rybne i warzywne. Doskonały jako dodatek do marynat. Dawniej koper solono, by go stosować zimą. A robiło się tak: „...nasolić jak kapustę, ucisnąć w kamiennym garnku, przyłożyć denkiem, przycisnąć ciężarkiem. Od czasu do czasu oczyścić z wierzchu z tworzącej się pleśni, dodać zimnej wody z niewielkim dodatkiem soli”. Mikołaj Rey radzi: „...w fasczkę ułożyć, ocetkiem przekroić, a solą potrosze potrząsnąć, a kamieniem przyłożyć”. I tak róbcie, a będziecie dobrze wiatry pędzić. Ku chwale Ojczyzny!

Uważny czytelnik w uszczypliwości swojej syknie: A co to wszystko ma wspólnego z Sierakowskimi z Waplewa? Ano ma, ma czytelniku kochany. Już wywodzę: Wspomniany Mikołaj Rey co to „Polacy nie gęsi” pisał, zrodził Krzysztofa, a ten zrodził Andrzeja, który zrodził Władysława, który zrodził Mikołaja, a ten Jana, który zrodził Jana, a ten też Jana, teraz idzie Kajetan, a po nim Dominik - co go w rabacji galicyjskiej ubili ale nim go ubili spłodził Stanisława, a ten Ludwika, którego syn Dominik wziął za żonę Jadwigę z hrabiów Sierakowską córkę Stanisława z Waplewa. I tu się sprawa komplikuje. Dominik z Jadwigą pomimo usilnych starań powili cztery Reyówny oczywiście „Ku chwale Ojczyzny!” Ale jednakowoż progenitury męskiej Pan Bozia nie dał i wszystko, za przeproszeniem, poszło się z wiatrem pędzić.

Ach ty koprze, koprze popity winem rose.

Radomir z Tiegenhofu

Co jest za tą kępą drzew?

Refleksje Żuławiaka

Żuławy to niewielki region, obejmujący deltę Wisły o powierzchni około 1700 kilometrów kwadratowych. Tu się urodziłem, tu żyję i z tą ziemią chciałbym łączyć swą przyszłość. Co takiego jest na Żuławach oprócz leżących odłogiem setek, a może nawet tysięcy hektarów ziemi i bezrobocia sięgającego w niektórych rejonach 30 % ludności w wieku produkcyjnym? Dla mnie i dla wielu innych jest to mała Ojczyzna o bogatej historii. To ziemia, na której jeszcze dzisiaj można odnaleźć ślady wielokulturowości i religijnej złożoności. Tę ziemię zagospodarowywali Słowianie, Prusowie, Krzyżacy, Prusacy i osadnicy z Holandii zwani mennonitami.

Po tych ostatnich pozostał dzisiaj tylko system melioracyjny. Dzieło równie gigantyczne, co zamek malborski, bowiem obejmujące trzecią część Żuław! Holenderscy osadnicy prześladowani w swej ojczyźnie z powodów religijnych przynieśli ze sobą ogromną wiedzę techniczną i wielowiekowe doświadczenie związane z odwadnianiem i osuszaniem bagnistych ziem i tych leżących pod wodą czy zalewanych przez wody morskie. Nadawali się do „mokrej roboty”, jako że Krzyżacy woleli gospodarować na ziemiach łatwiej dostępnych, łatwiejszych w uprawie.

Część „krzyżacka” - nawet krajobrazowo - różni się od części olęderskiej! Każdy zbłąkany turysta może się o tym przekonać na własne oczy, oglądając okolice wioski Tuja i okolice Markus. Wioski zakładane przez władców Pomorza, a potem przez krzyżackich mistrzów miały zwartą zabudowę, wyróżniał je centralny plac, na którym budowano kościół. Osady holenderskich osadników cechowały się często zabudową rozproszoną. Ich zwarte wioseczki marnie się prezentowały pod przeciwpowodziowymi wałami. Ot, kilka zagród przycupniętych przy wale, niepozornych, jakby niepewnych swego losu i istnienia... Wał przytłaczał chaty biednych osadników i górował nad osadą niczym cyklopowe mury obronne Ilionu, nad równiną, gdzie rozegrała się tragedia obrońców Troi. Osady składały się często z kilku zagród pobudowanych po jednej stronie drogi.

Wędrowiec zdążający do Elbląga od strony Markus i jeziora Drużno będzie widzieć często kolonie liczące parę zagród; trzy, cztery domy przy skrzyżowaniu, pojedyncze zagrody stojące kilkadziesiąt metrów od szosy, po obu jej stronach, kawałek szczyrego pola i znowu zagroda. I tak przez kilometry... Ujrzy też wielkie domy na niewielkich pagórkach, w których żyli niegdyś najbogatsi gospodarze. Często przy takiej chacie rosną potężne je-



Cemntarz mennonicki w Stogach Malborskich 2010 r., fot. A. Paprot.

siony, dęby lub kasztanowce. Owe pagórki, nie wyższe niż dwa, trzy metry, zabezpieczały siedlisko przed zalaniem. Nie są naturalnymi tworam natury... Sypano je rękami ludzi, gdyż teren był podmokły, bagnisty nawet i leżał niżej niż lustro wód jezior, rzek i kanałów. Pagórki czy też nasypy zwane „terpami” - oprócz sieci rowów i odwadniających kanałów stanowiły istotny element całego systemu zabezpieczeń siedlisk ludzkich przed zalaniem. I jakże były praktyczne! Nawet szeregi drzew przy rowach, kanałach i drogach miały służyć ludzkim celom! Biorąc pod uwagę transpirację (pobór wody i jej wyparowywanie) drzew i krzewów - olędrzy uzyskali kolejny mechanizm, kolejną pompę odwadniającą! Ich wiedza i doświadczenie zdumiewa, a zarazem budzi głęboki szacunek...

Różne, europejskie nacje zagospodarowywały Żuławy Wiślane. I gdy jedni Europejczycy prześladowali tych, z dawnych Niderlandów - drudzy, ze środkowej części Europy - udzielali prześladowanym schronienia i pozwalali zachować im swoje wierzenia. Stąd na Żuławach zachowane ślady po protestanckich uchodźcach. To nie są tylko stare zagrody, system rowów i kanałów melioracyjnych. Kępa zarośli, zbita i nieprzystępna, widoczna z dala, może skrywać cmentarzyk położony daleko poza wioskami, w szczyrim polu. Te kępy zieleni, grupy lip i głogów dopełniają krajobrazu Żuław

poprzecinanego rowami i kanałami. Ślady regularnej sieci ścieżek skrywanych w tym gąszczu upewnią wędrowca, że spogląda na resztki cmentarza dawnych mieszkańców regionu o nieco innej religii. To świadectwo dawnej tolerancji panującej na ziemiach Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Świadectwo tej ziemi, na której żyli Słowianie, Prusowie, Holendrzy i Niemcy.

Bardziej „dzika”, wschodnia część Żuław Wiślanych jest wspaniałym terenem moich rowerowych wycieczek. Zrozumie to rowerzysta, który zajędzie do Żelichowa i brzegiem rzeczki Tugi zechce udać się „betonką” aż na stary most zwodzony we wsi Stobiec. Jest też inne miejsce, kilka kilometrów na wschód za wsią Marzęcino. Pierwsze co rzuca się w oczy, to zarastający kanał... Za nim ujrzymy zielony gąszcz złożony z drzew i krzewów. Z pewnej odległości wydaje się być laskiem. Za kanałem i gąszczem zobaczymy drogę gruntową... Na prawo zobaczymy schowane w zieleni drzew zagrody. Gdy po raz pierwszy tamtędy jechałem nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że oto jadę poprzez leśną osadę!

Droga jest krótka ale wrażenie pozostaje! Do niedawna, nie wiedziałem, że żyją tam jacyś ludzie! Jadąc z Marzęcina w kierunku wschodnim, ku Nogatowi, mijamy kolonie i zagrody wioski Kępiny Małe. To najbardziej zielona i dzika część tej gminy. Kępy zieleni i szpalery drzew od razu obalą obiegową opinię o monotonii żuławskiego krajobrazu. Zaś przy pięknej pogodzie i doskonałej widoczności płaski i miejscami pozbawiony „przeszkód widokowych” teren umożliwia wgląd w głębię krajobrazu. Doskonale widoczna jest wtedy Wysoczyzna Elbląska, wznosząca się jakby tuż za Nogatem... Jej widok robi wrażenie! Przez lornetkę można wtedy zobaczyć wyraźnie wioski Próchnik i Łęcze, położone pośród wzniesień Wysoczyzny i porastających ją lasów. Kościoły osad wystrzelają spoza drzew i doskonale widać ich wieże. Niezapomniany widok! Można też zobaczyć zabudowania samego Elbląga. Osiedla położone wyżej i imponujący Kościół pod wezwaniem świętego Mikołaja na elbląskiej „starówce”. Jego wieża stanowi punkt orientacyjny.

Z wałów Wyspy Nowakowskiej można z kolei podziwiać Mierzeję Wiślaną i latarnię morską w Krynicy Morskiej, najmłodszym i najmniejszym mieście powiatu nowodworskiego. Rowerowa wycieczka na kresy Wyspy Nowakowskiej, tam gdzie wał przeciwpowodziowy dotyka Zalewu Wiślanego, stanowiąc granicę „żuławskich włości”, również dostarczy wielu wrażeń. A nic tak nie sprzyja poznaniu swej Małej Ojczyzny, jak wylany pot na rowerowej wycieczce i ciekawość poznania. Co znajduje się za tą kępą drzew? Co znajduje się na końcu tej gruntowej drogi, ginącej w gąszczu, rosnącym nad tym rowem, kanałem, stawem czy rzeczką? Co jest za tą zagrodą, chowającą się w cieniu wyniosłego jesionu, starej lipy, potężnego dębu? Co jest za tą aleją, za tym brzozowym zagajnikiem? Badałem każdy kąt, każdy zakamarek, każdą kępę drzew rosnącą na tej ziemi. A ilu rzeczy jeszcze nie widziałem? Czasem i rower stanowił zbyt „wielki” środek lokomocji, by brać

go w gąszcz, rosnący za rowem! Mogłem za to podziwiać nadrzeczne zarośla i zagajniki olchowe nad Nogatem albo nawet pojedyncze drzewa rosnące samotnie i wyglądające jak drzewka bonzai...

Mogłem rozkoszować się zapachem kwitnącego rzepaku oraz wsłuchiwać się w ptasie symfonie dobiegające mych uszu z pobliskich zarośli podczas odpoczynku. Mogłem też oglądać misterne wzory wykute ręką kamieniarza na stelach i płytach nagrobnych ludzi, którzy swą wiarą i pracowitością przyczynili się do powstania Żuław. Jakąż determinację musieli przejawiać, by się nie poddać słabościom i przeciwnościom losu i z uporem wydzierać tą ziemię morzu?!

To spuścizna godna szacunku i moje dziedzictwo. To ta determinacja tych osadników leży u podstaw powstania Żuław, jakie znamy obecnie! Przypomina wielkopolską pracę organiczną okresu pozytywizmu ale wyprzedza ją o stulecia! Zapobiegliwi, jak dzisiejsi Chińczycy i Japończycy, już wówczas swoim życiem promowali skromność, pracowitość, współdziałanie, odpowiedzialność i głęboką wiarę. Z niej wypływała cierpliwość niezbędna przy tej mozolnej „mokrej robocie”. Są to cechy, których współczesnym Polakom nazbyt często brakuje. Mam osobiste pytanie do czytelnika z Żuław, z kraju: - Czyż drzewo może rosnąć bez korzeni? Jak chcesz tu żyć nie znając specyfiki i historii tego regionu? Nie dbasz o system melioracyjny, zaorujesz rowy, nie ścinasz trzin i trawy a potem dziwisz i wściekasz, że woda zalega na Twojej ziemi. Żyjesz tutaj, a żyjesz jakby w obcym kraju... Jakbyś nie znał specyfiki tego regionu, jego wymagań... Chciwość każe ci zaorać rów, by mieć kawałek pola więcej! „Te rowy to marnowanie ziemi! Niczyje są! Po co one? - mówisz. Zważ zatem, iż ci, którzy żyli przed tobą po coś je kopali! Czy uważasz ich za głupców?!

Jeśli tak myślisz, to wyprowadź się z tej ziemi! Nie jesteś Żuławiakiem! Nie rozumiesz tej ziemi.

Janusz Ryszkowski

Tajemnice sztumskiej Strzelnicy

W miejscu, gdzie dziś stoi popiersie Feliksa Nowowiejskiego w Sztumie, znajdowała się dawniej Strzelnica. To właśnie tam dał swój koncert plebiscytowy, 9 maja 1920 roku, nasz wielki kompozytor. A i wcześniej działo się w niej немало.

Koncert w Strzelnicy? – zapyta ktoś ze zdziwieniem. Miejsce to po niemiecku nazwało się Schützenhaus, trafniej byłoby dosłownie przetłumaczyć jako „dom strzelecki”. Ale redaktorzy polskich gazet konsekwentnie przez lata całe używali określenia „strzelnica”, więc niech tak pozostanie.

W budynku tym zbierało się bractwo strzeleckie, stąd i nazwa, ale obiekt służył mieszkańcom jako miejsce kultury i rozrywki. W sali ze sceną organizowano koncerty i przedstawienia teatralne, a także bale, spotkania różnych organizacji. Była też z pewnością gospoda z wyszynkiem. W sztumskiej Strzelnicy znajdowała się jeszcze jedna atrakcja - kręgielnia. Budynek stał wśród drzew. To widać na starej pocztówce. A że pora letnia goście siedzą przy stolikach, spoglądając w stronę jeziora, po którym pływała łódka. Nie można jednak zobaczyć plenerowej sceny, która z pewnością była. A czy znajdowała się także strzelnica, gdzie co roku członkowie bractwa rywalizowali o tytuł króla? Być może. W 1884 roku kurkowym królem został sztumianin Przechowski, sekretarz prywatny.



Gospoda - strzelnica w Sztumie przed wojną, fot. archiwum.

Co o naszej Strzelnicy można dowiedzieć się z polskiej prasy wydawanej w Toruniu i Pelplinie? W roczniku „Pielgrzym” z 1883 roku znajdujemy informację, że kupił ją oberżysta Kowalski od niejakiego Stuhldreera. Redaktorzy nie mogli przeoczyć tak dobrej dla swoich czytelników wiadomości. To, że rodak kupił nieruchomość od Niemca miało ich podnosić na duchu.

Jednak ten kontekst pozostawmy nieco na uboczu. W Strzelnicy - jak wspomnieliśmy - organizowano przedstawienia teatralne. W karnawale 1883 roku, kiedy obiekt należał jeszcze do Niemca, polscy aktorzy - amatorzy zaprezentowali tu „dwie sztuczki” - „Wiesław” i „Werbel domowy”. „Gazeta Toruńska” podaje, że był to pierwszy występ polskiego teatru w Sztumie.

„Elbinger Zeitung” - co przytacza nasza „Torunianka” - miał wątpliwości, czy publiczność dopisze, bo ludność niemiecka z pewnością nie zechce potrząsnąć sakiewką, by dać coś na fundusz jakiegoś teatru polskiego. Tu konieczne będzie wyjaśnienie. Przedstawienie miało dwa cele charytatywne - zebranie pieniędzy dla ubogich w powiecie i wsparcie funduszu Teatru Polskiego w Poznaniu, który powstał w 1875 roku. Pełna jego nazwa brzmiała: Teatr Polski w ogrodzie Potockiego w Poznaniu i upamiętniała jednego z darczyńców. Hrabia Bolesław Potocki przekazał na rzecz spółki budującej teatr swój ogród, który następnie sprzedano. Pozyskane środki przeznaczone na zakup działki pod budowę teatralnego gmachu. Dodajmy jeszcze, że polscy ziemianie z powiatu sztumskiego (Sierakowscy, także mieszkający w Waplewie Adam Lew Sołtan, Donimirscy, Polidor Wałdowski z Michorowa) także dokładali się do corocznych zbiórek na rzecz teatru. Na jego frontonie umieszczono napis „Naród sobie”.

„Torunianka” pisze, że amatorzy odnieśli w Sztumie sukces. Zainteresowanie było duże: „Był taki natłok, iż jedni niedobrze mogli przypatrzeć się przedstawieniu - a drudzy wejść do sali nawet nie zdołali. Ubiory i tańce narodowe widoczne wrażenie zrobiły na tych, co docisnęli się, a mowa polska oraz śpiewki na znane melodie polskie jakoś sympatycznym echem odbijały się w masie widzów”.

Pora wyjaśnić, co wystawili amatorzy. „Wiesław” to popularna sielanka Kazimierza Brodzińskiego napisana w 1820 roku. Drugi utwór wyszedł spod pióra mało znanego dziś autora - Jana Kantego Gregorowicza (1818-1890), specjalizującego się w opowiadaniach i utworach scenicznych „dla ludu”. Takie przeznaczenie miał też „Werbel domowy - obrazek miejski ze śpiewkami w jednej odśłonie” (1861), chętnie grywany przez całe lata przez zespoły amatorskie. Doczekał się też kilkunastu wydań książkowych - ostatniego po II wojnie światowej.

Czas wreszcie na finał. Pozostało wymienienie aktorów tego przedstawienia. Tu będzie małe rozczarowanie. Musi nam wystarczyć, że byli to młodzi ludzie „z gminy waplewskiej” i „kilku synów gospodarzy z Ramut”.

Przygotowały zespół dwie panie z Waplewa – Maria Szremowiczowa i Stefania Łaszewska. Ta pierwsza była małżonką wieloletniego zarządcy dóbr Sierakowskich.

Może dziwić, że polski teatr amatorów zaistniał w Sztumie dopiero za sprawą waplewian. Ale to właśnie okolice Starego Targu zasłynęły z propagowania „teatrzyków ludowych”. Na pewno jedno z takich przedstawień odbyło się w dobrach buchwałdzkich (bukowskich) Teodora Donimirskiego już w 1868 roku. Tu urwę wątek, bo wiem, że Andrzej Lubiński pracuje nad obszernym artykułem na temat polskiego życia muzycznego i teatralnego na Powiślu. Trzeba więc na razie sprostować powielaną przez historyków opinię, że tego rodzaju działalność rozpoczęła się w naszym mieście dopiero po osiedleniu się doktora Feliksa Morawskiego. Jego zasługi na tym polu są niepodważalne, należał do założycieli „kółka śpiewu” (1891), które odgrywało także sztuki, ale nie jemu należy się palma pierwszeństwa.

Rok po występie amatorów kierowanych przez dwie panie z Waplewa, pokazano w Strzelnicy dwie kolejne „dwie sztuczki” – Stanisława Dobrzańskiego (1847-1880) „Podejrzana osoba” (bardziej znanego jako autora krotchwili „Żołnierz królowej Madagaskaru”) oraz „Janek spod Ojcowca” – obrazek wiejski ze śpiewami – znanego już nam Jana Kantego Gregorowicza i muzyką Oskara Kolberga. Czy na taki wybór mógł wpłynąć fakt, że ten wybitny folklorysta przebywał na Powiślu – u Sierakowskich w Waplewie oraz u Donimirskich w Buchwałdzie przez dwa tygodnie września 1875 roku. Kolberg zbierał materiały do swojego pomnikowego dzieła „Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni muzyka i tańce”? Dowodów na to, że znajomość naszych ziemian z kompozytorem tak też mogła zaowocować, nie mamy, ale to bardzo prawdopodobne.

W gazetach polskich można przeczytać, że przedstawienie sztumskie „dobrze się udało”, a „pochwała się należy po równo amatorom, jak szanowanej obywatelce B. D. z Z., która ideę tę pielęgnowała aż do jej urzeczywistnienia”. Za inicjałami kryje się Bogumiła Donimirska (1846-1885), żona Henryka Donimirskiego z Zajeziera.

Strzelnica służyła też jako miejsce zebrań. W 1883 roku spotkali się tu sztumscy rzemieślnicy, aby radzić nad założeniem cechu. Rok później, gdy odbywały się wybory na posła do parlamentu niemieckiego w okręgu kwidzyńsko-sztumskim, zorganizowano tu wiec polskiego kandydata Henryka Donimirskiego. Poprowadził spotkanie redaktor Ignacy Danielewski („Przyjaciół”, „Gazeta Toruńska”), wspierający kampanię pana na Zajezie-rzu. Głównym kontrkandydatem Donimirskiego do parlamentu przez lata był starosta kwidzyński Müller. Nie wygrał z nim i tym razem. W pierwszej turze Donimirski uzyskał najwięcej głosów – 6274, ale nie była to jeszcze

większość absolutna. W tzw. wyborach ściślejszych, gdy startowało już tylko dwóch kandydatów, Donimirski uzyskał jeszcze więcej, bo 7136 głosów, ale do zwycięstwa z kwidzyńskim starostą zabrakło ich ok. 450.

Strzelnica była także chętnie odwiedzanym lokalem w celach mniej wzniosłych. Zacytujmy jedną z informacji. „Niektórzy z młodzieńców, którzy się stawili (...) na wybiórkę wojskową, zabawili się na kręgielni strzelnicy, przy czym jeden z nich mocno raniony został”. Takie były zabawy w owych czasach, podobne są i dzisiaj.

Jacek Albrecht

Miasto i zamek w Malborku Wspólnota i sąsiedztwo

Nasz, Polaków stosunek emocjonalny do spuścizny Zakonu Krzyżackiego ma wciąż charakter ambiwalentny. Szczególnie dotyczy to obecnych mieszkańców obszaru dawnych Prus znajdującego się w dzisiejszych granicach Rzeczypospolitej. Rejon ten nie wytworzył w dawnych czasach własnej świadomości narodowej, a ślad po pierwotnych plemionach pruskich zaginął. Zmieniała się też jego przynależność państwowa, dłużej już jednak będąc w rękach polskich niż niemieckich. Przez wieki ludność napływowa mieszała się tu z miejscową zmieniając jedynie od czasu do czasu swój oficjalny język urzędowy. Niemniej kilkaset lat panowania Rzeczypospolitej nie uczyniło z mieszkańców tych ziem Polaków w dzisiejszym rozumieniu tego słowa. Nie sądzę też, żeby czasy pruskie uczyniły z tych ludzi Niemców. Kataklizm ostatniej wojny zamknął jednak ostatecznie ich dzieje. Pozostały zabytki, resztki architektury i cienie wśród których nie z własnej woli przyszło żyć nam, współczesnym Polakom. Czy ich historia może mieć dla nas jakiś pożytek?

W Malborku ideologia ubiegłego okresu chciała stopniowo zburzyć całą starą zabudowę miejską i na jej gruzach postawić pomnik nowych czasów. Praktyka zerwania ciągłości rozwoju miasta okazała się jednak jedynie ogromnym utrudnieniem życia nowym mieszkańcom. Co gorsze blokowanie dawnej siatki komunikacyjnej, wyburzenia i przypadkowe inwestycje psują to miasto do dzisiaj. Wydaje się, że choć najbardziej korzystne dla historycznych struktur jest dopisanie im nowych dziejów, to niemniej działa ciągle praktyka nadpisywania historii nad wyburzeniami z ubiegłego okresu. W takiej atmosferze mało jest też chętnych do badania przeszłości skazanych na zagładę obszarów. I właśnie przełamaniu nawyków z ubiegłego, szkodliwego okresu służyć chcą badania autorskie nad dziejami miasta jak i szkicująca ich wyniki ta praca.

Z własną tożsamością w Malborku mam też osobisty problem. Na nazwisko mam Albrecht co brzmi z niemiecka, jeden mój dziadek był Węgrem, drugi potomkiem osadników holenderskich. Jedna moja babcia była Rosjanką, a tylko jedna babcia rdzenną Polką. Niemniej czuję się, byłem, jestem i będę Polakiem. Jestem też mieszkańcem poniemieckich Prus i ich historycznej krzyżackiej stolicy. Na cmentarzu malborskim leżą trzy pokolenia mojej rodziny, a ja nie wiem do końca, czy już jestem stąd, czy ciągle trochę z Grodna...

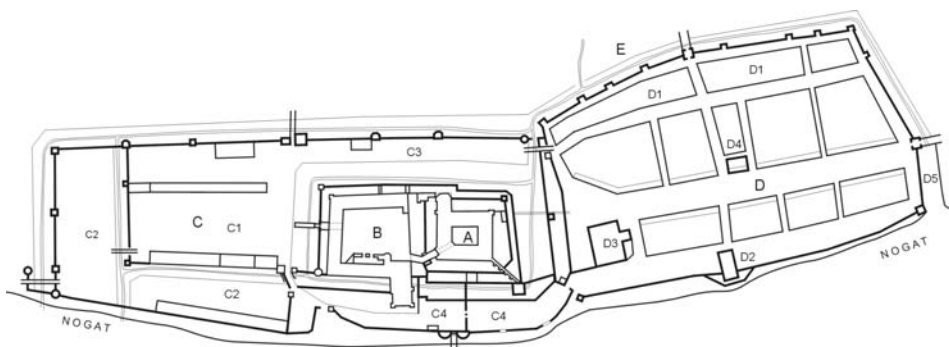
Zamek i miasto w Malborku są tworam i Zakonu Krzyżackiego w Prusach. Zakon ten był zakonem niemieckim. Germańskie resentymety doby romantycznej podniosły malborską warownię z upadku w końcu XIX-go wieku i zrobiły pomnikiem narodowym. Program państwowej propagandy uczynił ją miejscem patriotycznych pielgrzymek i zalecanym celem turystycznym. Dla uczuć Polaków ważniejsze jest jednak wielonarodowościowe i wyjątkowo tolerancyjne w swej historii miasto. Jego mieszkańców uznanych równo za Niemców i wypędzonych naprawdę mi szkoda. A przecież dłuższe od niemieckich czasy polskie pozwalały tym ludziom niegdyś szukać własnych dróg z wielką wyrozumiałością dla wszelkich przekonań i religii chroniących się w miejskich murach. Ilość chociażby zachowanych do dzisiaj kaplic różnych wyznań jest tu naprawdę wyjątkowa. I nie zmieniły tego porozbiorowe czasy pruskie.

Natomiast pamięć Zakonu wydaje się na tych terenach w sumie nieco smutna. Chociaż podziwiany za zmysł organizacyjny, służył on jednak złej sprawie, a porządek jaki starał się zaprowadzić był w gruncie rzeczy nieludzki. Pamiątki po nim też nie są, jak sądzę, tak naprawdę lubiane. A więc tylko nasze twórcze adaptacje spoić je mogą z kulturą polską. Adaptacje najlepiej gdy są oparte na badaniach ich pierwotnej roli w świecie swoich czasów. Ciekawym polem dla inicjatyw w tym zakresie stały się planowane inwestycje na Starym Mieście w Malborku. Wydają się mieć one na razie charakter miejscowy i nieco przypadkowy i nie obejmują koncepcją ogólną całego obszaru Starówki oraz kontekstu wynikającego z sąsiedztwa ogromnej warowni.

Utrwalony w tradycji historycznej jest pogląd o osobnym rozwoju organizmów miasta i zamku w Malborku i że tylko częściowo powiązane były one malejącą stopniowo wspólnotą interesów. Tak właśnie działo się zwykle z naturalnie powstającymi i rozwijającymi się przy średniowiecznych warowniach przedzamczami. Początkowo żyły tam wyłącznie grupy ludności usługowe wobec załogi zamku i stopniowo poszerzał się krąg ich mieszkańców z uwagi na bezpieczeństwo w cieniu warowni i możliwości zarobku. Powstawał system usług wzajemnych i handlu coraz mniej związany z samym zamkiem. Miasto zaczynało żyć własnym życiem, a zamek czasami tworzył kolejne przedzamcze do bezpośredniej obsługi załogi. Nie przy wszystkich zamkach rozwinęły się jednak miasta, wymagało to bowiem obiektywnie sprzyjających warunków ekonomicznych dla niezależnego rozwoju. Zdarzały się również wyjątki. Dla niektórych warowni przewidywano tak rozległe funkcje, że jedno z kilku tworzonych przedzamczy zamieniając się z czasem w miasto, dalej pełniło głównie usługową rolę wobec twierdzy.

I tak właśnie było w Malborku, gdzie zadania stolicy państwa zakonnego narzuciły konieczność wydzielenia wielu obszarów specjalistycznych o odpowiednich grupach ludności. Badaniom ich funkcji służy między innymi autorska Metoda Rekonstrukcji Funkcjonalnych (RF) szerzej omówiona w

książce „Tajemnice Malborka”¹. W tym konkretnym przypadku doprowadziła ona do bardzo zaskakujących odkryć i sugestii. Podstawowym jest tu stwierdzenie wspólnej, jednolitej koncepcji funkcjonalnej dla jednocześnie planowanych i wznoszonych zespołów zamku, Miasta Głównego (Starego) i Nowego w Malborku. Poszczególne obszary samej warowni i jej rozległych przedzamczy oraz miasta otrzymały konkretne, jasno zdefiniowane zadania i konieczne do ich realizacji obiekty oraz wyspecjalizowane grupy mieszkańców. Ta koncepcja nie podlegała też przypadkowej, naturalnej ewolucji, ale trwała niezmiennie przez cały czas realizowania funkcji podstawowej dla całego zespołu zamkowo-miejskiego jaką była rola najpierw siedziby władz głównych Zakonu, a wkrótce stolicy państwa zakonnego. To było największe i najbardziej skomplikowane zadanie jakie postawione zostało przed nowo wznoszonym założeniem.



ZAMEK I MIASTO MALBORK W POŁOWIE XIV w

Rys. Jacek Albrecht

A - Zamek Wysoki B - Zamek Średni C - przedzamcze: C1 - Podgrodzie (dawne przedzamcze) C2 - Zamek Niski C3 - Podzamcze wschodnie C4 - Podzamcze Zachodnie D - Główne Miasto D1 - dawne Nowe Miasto D2 - stary zamek D3 - kościół parafialny (dawna katedra) D4 - ratusz D5 - przystań miejska E - Nowe Miasto

Aby pokazać na czym polegała więc ta ścisła współpraca miasta i zamku w okresie ich świetności zacząć wypada od krótkiego rysu historycznego. Na omawianym obszarze obronny gród z osadą istniały na długo przed pojawieniem się tu Krzyżaków. Miejsce było w naturalny sposób szczególnie obronne i dominowało nad przeprawą, brodem na prastarym szlaku handlowym. Historycznie znane jest od momentu, gdy znajdował się tu gród pruski strzegący przeprawy. W pierwszej połowie XIII wieku zdobyty on został przez księcia pomorskiego Świętopełka, który wzniósł w jego miejsce własną drewniano-ziemną warownię. Przy niej ukształtowała się osada zamieszkała przez pozostałych tu Prusów i napływających Pomorzan. Miał to być dogodny punkt wypadowy ekspansji pomorskiej w głąb Prus jednocześnie skutecznie broniący własnego terytorium księstwa. Ponadto kontrolować on mógł stąd główny szlak handlowy, ubezpieczać jego przejście brodem i oczywiście pobierać opłaty.

¹ Jacek Albrecht, *Tajemnice Malborka*, Malbork 2010.

Nazywało się to miejsce Sącierz lub Santyr i możliwe że jest to przejęta nazwa pruska. Około roku 1230 gród w Santyrze otrzymał na swoją siedzibę biskup misyjny dla Prus, Chrystian. Lokalizacja przy szlaku handlowym wiodącym z Gdańska i jego rodzimej Oliwy w głąb terytorium pruskiego była szczególnie korzystna. Ponadto gród leżał wprawdzie już na terytorium pogańskim ale zabezpieczało go wojsko chrześcijańskiego księstwa pomorskiego. Tu więc wzniosł biskup Chrystian katedrę misyjną i założył swoją siedzibę zostając w końcu arcybiskupem Prus. Biskup Chrystian dostał się jednak wkrótce na całe lata do pruskiej niewoli, a jego misję upatrzyli sobie Krzyżacy na punkt etapowy w siatce własnych warowni. Siatka ta związana była z wymogiem Reguły Zakonu nakazującej nocować mnichom w domu zakonnym w czasie pokoju. Dzień marszu liczone wówczas jako „etap jeżdżca na grzbiecie konia” co wynosiło 30 do 35 km. W takiej więc odległości musiały powstawać zamki zgromadzenia. W pierwszym okresie chętnie też wykorzystywane były w tym celu przez Krzyżaków zdobyte warownie pruskie i do nich dostosowywano nowe lokalizacje. Misja biskupa Chrystiana idealnie nadawała się jako punkt etapowy w owej siatce, istniały już bowiem zamki w Kwidzynie, Elblągu i Dzierzgoniu. Do wszystkich było z biskupiego Santyru właśnie 30 do 35 km. Początkowo więc Krzyżacy wykorzystują misję nie obsadzając jej na razie własną załogą. Usilnie jednak od początku dążą do przejęcia tego miejsca na niepodzielną własność. Okazja nadarzyła się po pierwszym powstaniu pruskim, gdy biskup Chrystian zmarł wkrótce po wypuszczeniu z niewoli w roku 1245.

W roku 1247 przybył z Ziemi Świętej Wielki Mistrz Zakonu Henryk Hohenlohe. Zainicjował on budowę na istniejącej już siatce lokalizacyjnej pierwszych zamków murowanych, w miejsce dotychczasowych warowni drewniano-ziemnych. W Santyrze Krzyżacy wzniesli swoją siedzibę po przeciwnej stronie osady misyjnej, od południa, nad samą wodą, na wysuniętym niewielkim cyplu, z którego utworzono przez wykopanie fos sztuczną wyspę. Pozostałością po jej budynku głównym jest tzw. Szkoła Łacińska z terenu Starego Miasta w Malborku.

W tym czasie Santyr przewidziany był ciągle na siedzibę biskupa powołanej właśnie diecezji pomezańskiej oraz na siedzibę arcybiskupa całych Prus. Po śmierci mianowanego na te stanowiska biskupa Chrystiana powołano nowego arcybiskupa Prus i wysłano do objęcia archidiecezji. Intensywne zabiegi Krzyżaków sprawiły jednak że nigdy do niej nie dotarł. Udał się on od razu do Rygi gdzie jeszcze kilkanaście lat pełnił formalnie urząd arcybiskupa Prus, aż osobne arcybiskupstwo pruskie zlikwidowano a diecezję włączono do archidiecezji ryskiej. Udało się też Zakonowi spowodować przeniesienie stolicy diecezji pomezańskiej z Santyru do Kwidzyna a także około roku 1250 przekazanie warowni zgromadzeniu przez syna Świętopetka, Sambora. No i wreszcie w Santyrze Krzyżacy zostali sami.

Po drugim powstaniu pruskim nastąpiła kolejna fala wznoszenia zamków zakonnych. Zaczęto budować znacznie obszerniejsze siedziby wg wypracowanego już wzoru. Zmiany klimatyczne podniosły też wówczas poziom wód i warownie postawione nad samą wodą zaczęły być zagrożone. W Santyrze doprowadzono akurat do formalnej likwidacji misji oraz siedziby hierarchów kościelnych i postanowiono nową siedzibę krzyżacką wzniesć właśnie na ich terenie, czyli od północnej strony dawnej osady misyjnej. Zmieniono nazwę nowego zamku oraz całego miejsca na Marienburg i jak pisze Jan Długosz w swojej „Kronice”: „starą nazwę zniesiono”. Zantyr przestał więc pojawiać się w dokumentach Zakonu. Zniknęła też katedra misyjna. Nie rozebrano jej jednak, lecz zamieniono jedynie na kościół parafialny lokowanego właśnie miasta. Stary zamek stał również nadal i służył Zakonowi jako wysunięty w rzekę fort obronny na przedmurzu nowej warowni i w bezpośredniej obronie miasta. Opuszczony został dopiero w połowie XIV wieku i przekazany miastu na cele szkolne w postaci fundacji Wielkiego Mistrza. Wtedy też ostatecznie zasypano jego fosy i uzupełniono miejskie mury skarpowe, w sposób dość przypadkowy łącząc je z bryłą starego zamku. Poszerzono też obszar Głównego Miasta o dotychczasowe Nowe Miasto, dodano nowe mury miejskie, wzniesiono baszty i ratusz. I tak miasto oraz zamek osiągnęły swój klasyczny kształt z okresu świetności potem już tylko uzupełniany i modyfikowany jedynie w niewielkim stopniu.

Pokusić się można o stwierdzenie, że zarówno dzisiejsze Stare Miasto (Główne Miasto), jak i Nowe Miasto zaplanowane zostały pod względem funkcjonalnym jako kolejne przedzamcza wznoszonego kompleksu zamkowego. Miasto Główne połączone zostało z warownią wspólnym systemem obronnym i wspólną fosą podobnie do innych przedzamczy. Dopiero na wschód od niego lokowano nieufortyfikowane Nowe Miasto w charakterze typowego podzamcza cywilnego. To stawia pytanie, czemu miało służyć to kolejne przedzamcze zamkowe i dlaczego zaplanowano je już w pierwszej fazie budowy nowej warowni, a wkrótce nadano mu też chełmińskie prawo miejskie? Do użytku nowy zamek oddano w roku 1280 kiedy to przeniósł się do niego konwent z Zantyru. Miasta Główne i Nowe lokowano już wcześniej, bo w roku 1273, a więc równocześnie zapewne z lokacją samego zamku. Natomiast prawo chełmińskie uzyskuje Miasto Główne w roku 1284, bezpośrednio po objęciu przez Zakon nowej warowni. Widać z tego, że realizowano jednorodny plan zagospodarowania przestrzennego terenów wokół zamkowych z jednoczesnym przydzieleniem im docelowych funkcji w ramach ogólnej roli przewidzianej dla całego założenia. (Szczegółowo funkcje poszczególnych obszarów omawiam w książce „Tajemnice Malborka”).

Teren dzisiejszego Starego Miasta w Malborku zmieniał wielokrotnie w ciągu dziejów status, skład ludnościowy i przynależność państwową. Czasem odbywało się to drogą ewolucji, czasem gwałtownych migracji i przesie-

dleń. Najpierw był tu więc pruski gród obronny zamieszkały wyłącznie przez Prusów i pruska osada. Następnie osada owa stała się podgrodzem warowni księcia pomorskiego Świętopełka i do mieszkańców dołączyli Pomorzanie. Wkrótce została też osadą misyjną przy misji biskupa Chrystiana, a grupa mieszkańców powiększyła się o Polaków. Niedługo stała się jednak przedzamczem pierwszego zamku krzyżackiego – Zanturu i do mieszkańców dołączyli osadnicy z Niemiec, Czech i Śląska. Dla potrzeb nowego zamku wszystkich tych ludzi przeniesiono do Nowego Miasta, gdzie stanowili ważne dla funkcjonowania całości, otoczone szczególną opieką Zakonu podzámce cywilne. Obszar Głównego Miasta natomiast zaprojektowano jako jeszcze jedno zamkowe przedzámce o szczególnym przeznaczeniu. Rozlokowano tu zapewne początkowo zespoły budowniczych wznoszących całą twierdzę, ale wkrótce zaczęto sprowadzać właściwych nowych użytkowników. Byli to specjaliści z dziedziny dzisiaj powiedzielibyśmy hotelarskiej, taką bowiem funkcję przewidziano dla tego obszaru. Oberżysci wyższej kategorii jakich zaplanował Zakon dla nierycerskich gości swoich centralnych urzędów byli jednak już świadomymi swoich praw, zamożnymi mieszczanami i potrzebowali istotnej zachęty, żeby przenieść się na rubieże Europy. Dlatego prędko, bo już w roku 1284 nadano osadzie miejskie prawo chełmińskie, będące korzystniejszą formą prawa magdeburskiego i korzystniejsze od prawa polskiego. Dodatkowo było bezpieczeństwo i zapewnienie stałych, wysokich dochodów. Ściągnęło to oberżystów z Gdańska, Polski, Śląska i krajów niemieckich. Zabudowa-



KOŚCIÓŁ ŚW. JANA NA STARYM MIEŚCIE

Rys. Jacek Albrecht

li oni podcieniowymi zajazdami obie strony głównego traktu przez miasto i oberżami niższej kategorii pozostałe ulice. Zabudowę uzupełniały lokale handlowe i usługowe w stosunku do branży podstawowej.

Nie wiadomo od którego momentu Zakon zaczął marzyć o zdobyciu samodzielności państwowej na podbitych terytoriach. Warunki do pokuszenia się o nią uzyskał jednak dopiero w roku 1309 po zajęciu Pomorza Gdańskiego i poważnego portu morskiego jakim był wówczas Gdańsk. Dawało to podstawy do uzyskania samodzielności gospodarczej a za nią i politycznej Prus Krzyżackich.

Wtedy to w Malborku kolejny raz rozbudowano zespół zamkowo-miejski, już nie tylko na siedzibę Wielkiego Mistrza i władz Zakonu, ale pod kątem zwiększonych potrzeb stolicy samodzielnego państwa. Powiększono sam zamek mieszcząc w nim administrację państwową i zwiększoną liczbę rycerzy zakonnych i księży. Korzystając z ziemi wydobytej z nowych przekopów fos usypano wzdłuż rzeki sztuczny pas terenu przy całej wschodniej stronie zamku od miasta aż po basztę Maślankową tworząc podzamcza wschodnie i Zamek Niski. Pas podzamczy dodano też od zachodu i północy. Powiększono Miasto Główne o teren dotychczasowego Nowego Miasta i otoczono je nowymi murami i basztami. Wystawiono nowy ratusz z charakterystycznym podcieniem. Może wtedy też wyróżniono jedną stronę pasażu miejskiego jako Wysokie Podcienie lokując tu siedziby poselstw i zajazdy najwyższej klasy. Ostatecznie też zlikwidowano stary zamek zasypując jego fosy, uzupełniając mur skarpowy i wtapiając budynek główny w zabudowę miejską, by ostatecznie w roku 1352 podarować go miastu na cele szkolne w postaci fundacji Wielkiego Mistrza. Planowano nawet na jego bazie powołać uniwersytet. Nowe Miasto natomiast i jego mieszkańców przeniesiono dalej na wschód, za mury.

I tak ukształtował się ostatecznie klasyczny obraz zespołu miasta i zamku. Ich ściśle połączone organizmy podzielone zostały na wyraźnie określone obszary działań i usług. Było to możliwe do zrealizowania m.in. dlatego, że w Malborku nie powstało wcześniej samodzielne miasto jak w Elblągu. Uzyskano tu swobodę rozplanowania przestrzennego całego zespołu od podstaw w sposób najbardziej racjonalny z niewielką tylko koniecznością liczenia się z zastaną architekturą, czy ludnością. Tak zorganizowany stołeczny zespół zamkowo-miejski funkcjonował do opuszczenia malborskiego grodu przez Krzyżaków w roku 1457 i oddania go stronie polskiej.

Od tego momentu zaczęło się formalnie samodzielne funkcjonowanie obu tych połączonych dotąd ze sobą organizmów, chociaż konflikty i wzajemna niechęć narastały już od jakiegoś czasu. Wynikały one z samej istoty państwa zakonnego, gdzie mnisi-rycerze nie potrafili podzielić się władzą z rozwijającym się i zwiększającym swoje aspiracje mieszczaństwem – funkcjonowały odwrócone do siebie plecami: zamek popadał stopniowo w zapomnienie i ruinę, a miasto wiodło biedny żywot ubogiej prowincji.

Inga Murawska
Elżbieta Zwierzyńska

Żydowskim szlakiem

Wakacje na dwóch kółkach

Wzorem lat ubiegłych nasza grupa w nieco powiększonym składzie (3 panie i jeden pan)* wyruszyła na kolejną wyprawę rowerową na Podlasie, a dokładniej na środkową jego część. Celem naszej wyprawy jest Białowieża, docieramy do niej „szlakiem żydowskim” (w ubiegłym roku droga do Białowieży wiodła „szlakiem tatarskim”).

Wyruszamy w niedzielę 10 lipca br. pociągami z Malborka do Grajewa, a stąd dalej przez dziesięć dni wyłącznie na rowerach obciążonych bagażami podróżnymi. Odcinki przemierzane dziennie są różnej długości, od 40 do 80 km. Kolejne etapy naszej wędrówki to: Grajewo – Wizna – Tykocin – Wysokie Mazowieckie – Ciechanowiec – Drohiczyn – Kleszczele – Białowieża – Narew – Białystok. Nocujemy w hotelikach, pensjonatach, gospodarstwach agroturystycznych. Ceny noclegów kształtują się od 35 do 50 zł. Warunki



Uczestnicy wyprawy rowerowej.
Od prawej - Elżbieta Zwierzyńska, Maria Golembiewska, Inga Murawska,

na kwatery są dobre, z roku na rok ich standard poprawia się. Właściwie w każdej z tych miejscowości można bez problemu znaleźć nocleg. Rezerwujemy je z dnia na dzień, korzystając z adresów wcześniej wyszukanych w internecie.

W drodze z Grajewa do Wizny przejeżdżamy przez szereg miejscowości znanych z pogromu Żydów w czerwcu i lipcu 1941 roku, jak: Szczuczyn, Wąsosz, Ławsk. Na dłużej zatrzymujemy się w Jedwabnem - małym i jakby wyludnionym miasteczku. Udajemy się na miejsce zbrodni, kiedy to 10 lipca 1941 r. Polacy spalili żywcem około 300 okolicznych Żydów spędzonych do stodoły. Znajdowała się ona w polu w odległości 200-300 metrów od miasteczka. Zarys spalonej stodoły zaznaczony jest niezbyt wysokim kamiennym murem, wewnątrz którego postawiono pomnik-obelisk z napisem w języku hebrajskim i polskim. Wielkie wrażenie robi wkomponowana w pomnik nadpalona, szerniała deska. Wierzch obelisku pokryty jest kamieniami, gdyż zwyczajem żydowskim zmarłym zamiast kwiatów przynosi się kamyk. Jesteśmy tu dzień po uroczystościach upamiętniających 70 rocznicę mordu. Pod pomnikiem leżą świeże wieńce i wiązanki w barwach izraelskich i polskich, palą się jeszcze znicze. Od mieszkańca Wizny dowiadujemy się, że w obchodach rocznicowych nikt z mieszkańców Jedwabnego nie wziął udziału.

Jedziemy dalej do Wizny. To już tylko 12 km. Wizna zasłynęła podczas II wojny światowej. W dniach 8-10 września 1939 r. polska załoga pod dowództwem kpt. Władysława Raginisa (około 700 żołnierzy, 6 dział i 26 karabinów maszynowych) odparła ataki 19 niemieckiego korpusu pancernego dowodzonego przez gen. Heinza Guderiana (ok. 40 tys. żołnierzy).

Bój ten uznawany jest za jeden z najbardziej heroicznych epizodów wojny. Obrońcy odcinka Wizna opóźnili o przeszło 2 dni zaplanowane okrążenie głównych sił polskich na wschód od Wisły. Ich stanowiska znajdowały się na Górze Strękowej - po drugiej stronie Narwi w odległości kilku kilometrów od Wizny. Na tę górę wchodzimy wygodnymi dla turystów schodami, oglądamy fragmenty wysadzonych bunkrów. Na licznych tablicach znajdują się informacje o wrześniowych walkach i jej uczestnikach. Jak przekazuje miejscowa ludność z życiem uszło około 100 obrońców. Wszyscy zostali wzięci do niewoli. Patrzymy na przepiękny, rozpościerający się widok na dolinę Narwi. Po obfitych deszczach sprzed kilku dni rzeka wróciła do swego koryta, tylko gdzieś tam widać jej malownicze rozlewiska. Wracając na trasę przystajemy przy grobie kpt. Raginisa przy szosie Łomża - Białystok i skręcamy na „szlak bociani” biegnący wzdłuż Narwi.

Kolejny nasz przystanek to położony na uboczu Tykocin. W centrum nastrojowego rynku o niskiej małomiasteczkowej zabudowie stoi wspaniały pomnik Stefana Czarnieckiego z 1763 r. Wschodnią pierzeję zajmuje barokowy kościół pw. Trójcy Świętej wzniesiony w latach 1740-1750. Piękną białą

fasadę zdobią dwie wieże usytuowane po bokach i połączone arkadami z bryłą świątyni. Obok kościoła, tuż nad Narwią znajduje się alumnat wojskowy - dom dla weteranów wojennych. Obecnie mieści się w nim hotel i restauracja. Na północnym brzegu Narwi stoi replika zamku z XV w. Za czasów Zygmunta Augusta mieścił się w nim arsenał królewski. Był to jeden z najpotężniejszych zamków nizinnych w Polsce. Z postacią Zygmunta Augusta wiąże się jeszcze jeden obiekt - pomnik Orła Białego, upamiętniający ustanowienie tego odznaczenia właśnie w Tykocinie w roku 1705.

Tykocin był jednym z głównych skupisk ludności żydowskiej, wymordowanej prawie całkowicie w 1941 roku. Według informacji mieszkańców w miasteczku nie ma dziś żadnego Żyda. W zachodniej części miasta natrafiamy na okazałą barokowa synagogę z 1642 r. Jest ona drugą co do wielkości w Polsce (większa jest w Krakowie). W odrestaurowanym wnętrzu można zobaczyć stojącą pośrodku Sali Wielkiej bimę - służącą do odczytywania Tory. Na wschodniej ścianie znajduje się aron-ha-kadesz - wnęka do przechowywania zwojów Tory. Obejrząc też można liczne świeczniki, naczynia i szaty liturgiczne. Na ścianach widnieją częściowo odtworzone hebrajskie inskrypcje. W Sali Wielkiej i w pomieszczeniach dla kobiet wystawione są plansze z fotografiami przedstawiającymi przedwojenne życie Żydów z różnych wsi i miasteczek Podlasia. Wystawa nosi tytuł „I ciągle widzę ich twarze”. Obok synagogi, w dawnym domu talmudycznym mieści się filia Muzeum Okręgowego w Białymstoku z dużymi zbiorami judaików. Znajduje się tu wystrój apteki, salony bogatych Żydów z pięknymi meblami i przedmiotami je zdobiącymi. Przy tej samej ulicy Koziej mieści się restauracja żydowska „Tejsza” (co znaczy koza), niestety niekoszerna. Zachodzimy do niej dwukrotnie: po południu na kawę i wspaniały domowy sernik, a wieczorem na obiadokolację. Zamawiamy dania żydowskie: kugel (rodzaj babki ziemniaczane), cymes (kasza z marchwią i rodzynkami), wątróbkę po żydowsku. Wszystkie dania są na słodko i z dodatkiem cynamonu.

Potem jedziemy do oddalonej o 4 km od Tykocina wsi Pentowo, która otrzymała tytuł Europejskiej Wsi Bocianie przyznany przez Unię Europejską w ramach projektu „Natura 2000”. Tutaj w jednym z gospodarstw na zabudowaniach i okalających je drzewach znajduje się ponad 20 bocianich gniazd. Wraz z przychówkiem jest to spora gromada dziobów do nakarmienia, ale okoliczne łąki i rozlewiska Narwi dostarczają dosyć pokarmu. Warto jeszcze wspomnieć, że w Tykocinie kręcono sceny do serialu „U Pana Boga w ogródku.”

Dalszy etap naszej podróży to Wysokie Mazowieckie - małe miasto powiatowe. Niewiele tu obiektów godnych obejrzenia. Mieszkańcy są dumni z zakładów Mlekowity. Oglądamy jedynie kościół katolicki i cerkiew. Zaczynają się tu tereny, które zamieszkuje wiele ludzi wyznania prawosławnego.

Na trasie wzbudzają nasze zainteresowanie wiejskie kościoły, przeważnie neogotyckie i z dwiema wieżami, zadbane i odnowione zewnątrz i wewnątrz, z kolorowymi posadzkami z marmuru i granitu, wyszlifowanymi i błyszczącymi jak lustro. Księża katolicy są nam przychylni, zagadują i na życzenie otwierają kościół. Nie można tego powiedzieć o duchownych prawosławnych - odnieśliśmy wrażenie, że popi nie bardzo lubią nieprawosławnych turystów. Cerkwie są na ogół zamknięte, czasami tylko można zajrzeć do nich przez kratę. Udało nam się wejść jedynie do jednej z cerkwi w Hajnówce i na Górze Grabarce.

Za to warty jest obejrzenia Ciechanowiec położony nad rzeką Nurzec, dopływem Bugu. Miasto szczyci się XV-wiecznym rodowodem i leży przy dawnym trakcie handlowym z Moskwy przez Grodno do Warszawy. W rynku stoi skromny, z wytwornym barokowym wnętrzem, kościół pw. Świętej Trójcy z XVII w. Przed świątynią ustawiono, przeniesiony z rynku, pomnik księdza Jana Krzysztofa Kluka (1739 – 1796), wybitnego przyrodnika doby Oświecenia. Jego imieniem nazwane jest Muzeum Rolnictwa, oddalone od centrum miasta około 2 km. W ładnym pałacu z portykiem zgromadzono zbiory obrazujące historię rolnictwa w północno-wschodniej Polsce. Wokół muzeum jest skansen ludowego budownictwa drewnianego. Można tu obejrzeć spichlerze dworskie, dwór myśliwski, proste chałupy kryte strzechą, zabudowania gospodarcze, kuźnię, wiatrak i młyn. W zagrodach wiejskich żyją zwierzęta: owce, kozy, kury, kaczki a nawet pies. W części dworskiej zobaczyć można pawie i koronnika szarego. Na etapie montażu jest drewniany kościół, dzwonnica i plebania. Na terenie skansenu złapał nas jedyny w czasie naszej 10-dniowej wyprawy rześisty deszcz, na szczęście było gdzie się skryć. Deszcze a nawet burze z błyskawicami i piorunami zdarzały się kilkakrotnie, szczęśliwie zawsze nocą. Ciechanowiec wspominamy także dobrze z powodu noclegu w bardzo dobrych warunkach na skraju miasta. Właściciele przebudowali dawne szklarnie (po ustaniu koniunktury na warzywa i kwiat) na salę bankietową na 500 osób wraz z hotelem dla 70 gości.

Dalsza nasza trasa wiedzie do Drohiczyna, dawnej stolicy Podlasia, miasta o bogatej i długiej historii, dziś pozostającego na uboczu spraw wielkiego świata, ale może dzięki temu jest to miejsce niezwykle i pełne czaru. Drohiczyn leży na wysokim brzegu Bugu. Z wysokości wzgórza zamkowego roztacza się rozległy widok na zakole Bugu i nadrzeczne łąki. Zwiedzamy barokowy kościół Wniebowzięcia NMP wraz z klasztorem franciszkańskim. Obecnie w budynkach byłego klasztoru franciszkańskiego mieści się Muzeum Diecezjalne, gdyż Drohiczyn od czasów po 1945 r. jest siedzibą biskupa. Wcześniej biskup rezydował w Pińsku. Po muzeum oprowadza nas miła siostra zakonna, udzielająca obszernych objaśnień i żałująca bardzo utraconych zbiorów z Pińska. Muzeum eksponuje w kilku salach księgi, naczynia i szaty liturgiczne zebrane po wojnie z terenu Podlasia. W jednej z sal zgro-

madzono pamiątki po wizycie papieża Jana Pawła II w Drohiczynie w 1999 r. Zwiedzenie kościoła i muzeum warto polecić wszystkim wybierającym się w te strony turystom. Następnie oglądamy (niestety tylko z zewnątrz) stojący na wysokiej skarpie nad Bugiem kościół katedralny Świętej Trójcy z 1709 r. i klasztor jezuitów (1661-1710) wraz z barokowym Collegium Nobilium. Miejsce klasztoru zajmuje obecnie Wyższe Seminarium Duchowne, a w dawnym Collegium mieści się kuria biskupia. W niewielkiej odległości od wzgórza katedralnego stoi kościół Wszystkich Świętych i klasztor benedyktynek. Przechodzimy jeszcze obok restaurowanej obecnie synagogi mającej służyć jako dom kultury. Przed II wojną światową 1/3 mieszkańców Drohiczyna była wyznania mojżeszowego.

Wyruszamy dalej przez Siemiatycze i Grabarkę do Kleszczeli. W Siemiatyczach oglądamy, znów tylko z zewnątrz, renesansowo-barokowy kościół Wniebowzięcia NMP powstały w latach 1626-1637 z fundacji Lwa Sapiehy wraz z zespołem klasztornym reformatów oraz położoną na sąsiednim wzgórzu cerkiew Świętego Mikołaja Cudotwórcy.

W odległości 9 km od Siemiatycz docieramy do „Częstochowy prawosławia” – niewielkiej wsi Grabarka. W pobliżu Grabarki wznosi się Święte Wzgórze, na którym przez setki lat ustawiano różnej wielkości krzyże wotywnie z drewna, metalu i kamieni. Jest ich około 10 tysięcy. Na szczycie wzgórza stoi cerkiew odbudowana w 1990 r. po umyślnym podpaleniu oraz jedyny w Polsce żeński klasztor prawosławny. Legenda głosi, że w 1710 r. podczas wielkiej epidemii dżumy ocalili jedynie ci, którzy udali się za świętym starcem na wzgórze, u stóp którego tryskało źródło. Każdy z ocalałych wbił wtedy w ziemię krzyż. Źródło bije do dziś u podnóża Świętej Góry i pątnicy i turyści tłoczą się wokół nabierając wodę do różnych pojemników.

Na trasie z Grabarki do Kleszczeli znajdujemy kilka okazałych kani, z których na kwaterze, dzięki życzliwości gospodyni przyrządzamy pyszny posiłek. Kleszczele to małe miasteczko w powiecie hajnowskim, znajdują się tu trzy cerkwie - dwie małe drewniane i jedna duża murowana, pobielana z niebieskimi kopułkami.

Zbliżamy się do celu naszej wyprawy - do Białowieży. Tu pozostajemy przez dwa dni, kwaterujemy u tych samych, miłych gospodarzy co w roku ubiegłym. Nazajutrz, o godzinie 4 rano wyruszamy rowerami w głąb puszczy, około 20 km leśnymi i ledwie przejezdnymi duktami do osady Topiło. Są tu dwa duże stawy, w których woda swe brązowe zabarwienie zawdzięcza temu, że nadmiar nie zagospodarowanego przez hajnowskie tartaki drewna wrzucano na okres zimowy do wody. Oczywiście było to w czasach, gdy drzewa w puszczy można było wycinać. Miejsce jest urokliwe: krystaliczne powietrze, piękne widoki, błogi spokój, cisza, że aż w uszach dźwięczy. Nikogo wokół, w pobliskiej osadzie wszyscy jeszcze śpią. Za to dokuczają chmary komarów i tnące niemiłosiernie gzy, zwane tu ślepakami. Niestety,

nie udało nam się spotkać żubra ani żadnego innego zwierzęcia. W drodze powrotnej zatrzymujemy się w Miejscu Mocy, gdzie wśród dębów i sosen znajduje się krąg kamienny. Radiesteci twierdzą, że wytwarza się tu pole magnetyczne oddziałujące pozytywnie na człowieka.

Tego dnia udajemy się jeszcze na 3-godzinną pieszą wędrówkę po puszczy, rzecz jasna z przewodnikiem, bo do ścisłego rezerwatu nikomu nie wolno wchodzić samemu. Po drodze spotykamy kilka grup, jest więc „tłoczno”, nie ten spokój, co przy porannej wyprawie do Topiła. Przewodnik prowadzi ściśle wytyczoną trasą i udziela obszernych objaśnień na temat puszczańskiej flory i fauny. Puszcza Białowieska zajmuje obszar 150 tys. hektarów z czego 62,5 tys. leży na terenie Polski. Z polskiej części 10,5 tys. ha objętych jest ochroną w ramach Białostockiego Parku Narodowego. I tym razem nie spotykamy żubra. Przewodnik pociesza nas mówiąc, że on sam spotyka go na wolności 1 – 2 razy w roku. Żubrów jest w polskiej części puszczy blisko 500 sztuk, chowają się jednak w głębi kniei. Możemy je za to oglądać w Rezerwacie Pokazowym Zwierząt. Jest tu ich kilka sztuk, poza tym są tarpany, łosie, żubronie (krzyżówka żubra z bydłem domowym), wilki i inne zwierzęta.

W samej Białowieży - w parku, na miejscu myśliwskiego pałacu carskiego rozebranego po wojnie, zbudowano nowoczesne multimedialne Muzeum Przyrodniczo-Leśne Białostockiego Parku Narodowego. Muzeum godne jest polecenia, jest szczególnie atrakcyjne dla dzieci i młodzieży. W pobliżu parku pałacowego wznosi się czerwona ceglana cerkiew Świętego Mikołaja Cudotwórcy. Najcenniejsze wyposażenie cerkwi to unikatowy ikonostas z chińskiej porcelany i ołtarze zdobione japońską majoliką. Dla potrzeb cara i jego gości, przyjeżdżających na polowanie do Puszczy Białowieskiej, zbudowano stację kolejową - Białowieża Towarowa. Dziś stacja jest nieczynna i służy jako atrakcja turystyczna. Drewniany budynek dworcowy odnowiono i przekształcono w piękną stylową restaurację, poszczególne pomieszczenia wyposażono w meble, obrazy i sprzęty z epoki. Jedziemy na herbatę z samowara. Herbata dobra, ale ceny, że ho, ho!

Nasza wędrówka zmierza ku końcowi, przejeżdżamy jeszcze raz przez puszcę, zaliczając po drodze Szlak Dębów Królewskich oraz skansen zagród wiejskich w Budach. Docieramy do Narewki, gdzie przy kościele katolickim stoi pomnik poświęcony pamięci Danuty Siedzikówny „Inki”, sanitariuszki mjr Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”, rozstrzelanej przez komunistów w więzieniu w Gdańsku 28.08.1946 r. w wieku 18 lat.

Po 10 dniach pedałowania szczęśliwie docieramy do domów, zadowoleni, zdrowi i pełni wrażeń. Nieliczne siniaki i ślady po ukąszeniach złośliwych owadów znikną szybko. Teraz trzeba tylko wywołać zdjęcia, sporządzić albumy i wspominać pięknie przeżyte dni, a zimową porą przygotować plany na następną wyprawę.

Andrzej Lubiński

Życie teatralne i muzyczne na ziemi sztumskiej w latach 1868 - 1892

W połowie XIX wieku popularną formą rozrywki było wystawianie amatorskich sztuk teatralnych. Uważano, że obejrzenie przedstawienia teatralnego zachęci młodych ludzi do sięgnięcia po literaturę piękną lub poezję. Takie spędzenia czasu jest znacznie lepsze niż taniec, udział w polowaniach, wyścigach różnego rodzaju oraz podróżach. Autor artykułu w „Nadwiślaninie” z roku 1866 nr 11 gorąco zachęcał by zakładać amatorskie towarzystwa, które będą mogły wystawiać sztuki teatralne. Takie działania wpłyną korzystnie na polską myśl narodową oraz przyniosą korzyści moralne i umysłowe.

Wzrost wystawianych przedstawień amatorskich zaobserwowano w latach pięćdziesiątych XIX wieku. Najpierw był to Poznań, Gniezno, Chełmno wkrótce dołączy Toruń, Chełmża, Brodnica, Kościerzyna. Wystawiane komedie według autora z „Nadwiślanina” nie są trafnie i właściwie dobranymi jak na pierwsze przedstawienia. Uważa on, że sztuki Józefa Korzeniewskiego są tendencyjne jak np. „Doktor medycyny”, „Chłop”, „Szlachectwo duszy”. Należy częściej wystawiać sztuki Aleksandra Fredro, bo jest on najlepszą i jedyną szkołą gry dla amatorów a dla widzów smaku i sądu. W amatorskim teatrze nie aktorzy podnoszą sztukę ale sztuka aktorów. Grający nie mogą zbawić autora grą ale autor zbawia grających. Więcej się słucha, co mówią mniej, jak mówią. Dopiero po wystawieniu wszystkich sztuk polskich można sięgnąć po zagraniczne, kończy swoje uwagi autor podpisując się J. z M. Można przypuszczać że jest to Ignacy Łyskowski z Mieszew (był to brat mojego prapradziadka Józefa) mieszkający niedaleko Brodnicy.

Na ziemi sztumskiej pierwsze przedstawienie zostało wystawione 8 czerwca 1868 roku. Był to pierwszy dzień Zielonych Świątek. Tego dnia w Buchwaldzie (dzisiejsze Bukowo) Teodor Donimirski z żoną Zofią w bukowym lasku zorganizował zabawę wiejską dla dzieci. Wieczorem dla swoich gości i okolicznej ludności z najbliższych wsi przygotowana została niespodzianka. Dzieci z Bukowa odegrały teatr. Za kulisy starczały plandeki, podłogą była świeża murawa, dachem konary dębów. Na odgłos dzwonka ucichęł szmer i podniosła się kurtyna. Widzowie zobaczyli izbę wieśniaczą.

Wystawiona komedijka była specjalnie napisana dla dzieci i podobała się publiczności. Treść była wzięta z życia wiejskiego. Wojtek swoim pijaństwem, nieuszanowaniem rodziców, samolubstwem ściąga na siebie pogardę ludzi i karę Bożą. Jego brat Janek doznaje przyjaźni, szacunku wszystkich,

Swoją postawą wpływa na poprawę swego brata. Dzieci ze zrozumieniem odegrały swą sztukę. Na zakończenie dzieci przedstawiły obraz wesela wiejskiego, który rozpoczął się na odgłos skrzypiec i basetli przechodzących w skoczne hołubce i krakowiaki. Pokazane przedstawienia dały możliwość rozwijania się młodych ludzi poprzez ćwiczenia pamięci i języka. Nie raziła w ustach aktorów malborska wymowa. Przedstawione przez młodych aktorów problemy ukazywały odbiorcom piękno dobrego i brzydotę złego postępowania. Takie działania wpływają na moralność ludzi.

Autor korespondencji pt. Z ziemi malborskiej do „Gazety Toruńskiej” z 14 czerwca 1868 roku nr 136 podaje informację, że oprócz zabaw dzieci wiejskie mają styczność z dworem buchwałdzkim. W środy i soboty przychodzą do ogrodu państwa Donimirskich na roboty ręczne, które prowadzi pani Zofia. Podobne rzeczy mają miejsce w Zajezierzu u Henryka i Bogumity Donimirskich. Podczas spotkań w dworze czyta się głośno powieści lub opowiada się coś z dziejów świata lub tłumaczy się rzeczy niezrozumiałe a użyteczne. Oprócz Bukowa na ziemi sztumskiej było bibliotek ludowych w Waplewie, Podstolinie dziś (Postolinie), Trzcianie, a właściciele mający szkoły w swoich wioskach utrzymują własnym sumptem czytelnie ludowe. Mimo że korespondencja do gazety nie była podpisana to można uznać, że autorem był Adam Lew Sołtan szwagier Alfonsa Sierakowskiego. Pisywał on korespondencje również do gazet poznańskich.

Prawie rok później, bo 30 maja 1869 roku jest zamieszczona w „Gazecie Toruńskiej” nr 122 kolejna korespondencja tego samego autora. Píše on, że Bukowo odwiedził poseł z Krakowa do Sejmu Galicyjskiego we Lwowie dr Mikołaj Zyblikiewicz. Na usilne jego prośby dzieci odegrały pod gołym niebem sztukę dramatyczną ze śpiewami. Można przypuszczać, że była to ta sama, co wystawiona rok wcześniej. Píše on, że serce się radowało widząc działwę tak wyuczoną i z poświęceniem odegraną. Takie przedstawienia kształcą umysł umoralnia się język oczyszczając go z niemczyzny. To co robi się w Buchwaldzie w sprawie oświaty działwy wiejskiej powinno znaleźć naśladowców. Dodał, że w niedługim czasie będą otwarte dwie ochronki w Buchwaldzie i Waplewie. Jest to początek działania na ziemi sztumskiej Towarzystwa Moralnych Interesów, którego jednym z założycieli był Teodor Donimirski.

„Gazeta Toruńska” z 1872 nr 84 podaje, że 7 kwietnia zrealizowane zostało przedstawienie amatorskie jakie zapowiadano w roku 1871. Po wielu trudnościach i przesunięciach doszło w końcu do skutku w Starym Targu. Publiczność obejrzała komedię Władysława Ludwika Anczyca „Oryl”. W widzowie byli zadowoleni, niektórzy nie spodziewali się, że przedstawienie tak dobrze wypadnie, tym bardziej, że było to pierwsze przedstawienie w tej wsi. Główną rolę kochanki Joasi odgrywała dość pojętnie pani E. Neumann ze Sztumu. Pozostałym aktorom cała okolica powinna wyrazić swoje po-

dziękowanie. Jedyna uwaga to ta, że lokal gdzie wystawiono sztukę był mały. W 86 numerze „Gazeta Toruńska” podaje więcej szczegółów. Na przedstawienie wystawione w niedzielę przybyło wielu mieszkańców z okolicy, która jak informowano była w dużej części zamieszkała przez Niemców, co powodowało, że język polski mocno ucierpiał. „Przyjaciół Ludu” wydawany w Chełmnie zapowiadał wystawienie żywych obrazów. Wybrano ostatecznie sztuki W.L. Anczyca „Oryl” oraz „Berek zapieczętowany”. Aktorami byli wyłącznie mniejsi właściciele ziemscy jacy rzadko mają sposobność odwiedzania teatrów a przedstawień polskich prawie wcale nie widzieli. W grze aktorów nie było sztywności i przesady w jaką często niektórzy popadają. Na pochwałę zasłużyły chóry w Orylach i Berku. Dobrze wypadło rozdzielenie ról pomiędzy poszczególnych aktorów zarówno kobiet i mężczyzn. Obok pani Neumann słowa uznania należą się pannom Z i D w rolach przyjaciółek. Na pochwałę zasłużyły też role męskie pan Ch jako Kopa, bracia W jako Franek i Staś oraz panowie P grający ojca i syna, dobry był pan R jako kupiec. Recenzent pisze, że cieszy się słysząc pochlebne opinie usłyszane od osób oglądających przedstawienia. Życzyłby sobie aby teatry amatorskie na ziemi malborskiej (sztumskiej) jak najczęściej się powtarzały. Ma nadzieję, że wielu właścicieli ziemskich widząc jak piękna jest mowa ojczysta, zaprzestanie używania języka obcego. Pod względem uczuć narodowych ludność wiejska nie ustępuje innym a pod względem dobrobytu inne okolice przewyższa. Przedstawienia tak się cieszyły zainteresowaniem, że postanowiono je powtórzyć w niedzielę 21 kwietnia.

Pięć lat później doszło do kolejnej premiery jak podała „Gazeta Toruńska” z 1877 nr 38. Było to przedstawienie domowe przygotowane 11 lutego 1877 roku w Waplewie. Amatorzy jacy wystąpili na scenie składali się z koła oficjalistów, służby dworskiej i włościan. Reżyserką przedstawienia była Maria Szremowicz żona zarządcy dóbr waplewskich Władysława. Wystawiono „Łobzowian” W. L. Anczyca. Przed właściwym przedstawieniem pokazano żywy obóz cygański. Do obozowiska włączono dzieci włościańskie. Po przyspiewkach chóru wróżki i wróżbici wierszem napisanym przez Marię Szremowicz wróżyli małżonkom Adamowi i Marii Sierakowskim oraz proboszczowi. Po przedstawieniu rozpoczęła się zabawa z tańcami.

Ten sam korespondent pisząc do „Dziennika Poznańskiego” z 1877 nr 36 o waplewskim przedstawieniu, podaje informację o wystawieniu w roku 1876 w Starym Targu sztuki „Wiesław”. Chętnych do wystąpienia w każdej roli było po kilka osób. W tej wsi wcześniej wystawiono „Krakowiaków i górali”. Piszący uważa, że teatry amatorskie mogą dużo zdziałać ku pożytkowi mowy ojczystej. Jako przykład podaje pięcioaktową sztukę W. L. Anczyca „Emigracja chłopska”. Takie inicjatywy powinny być popierane przez Towar-

rzystwo Moralnych Interesów. Ta „cicha praca” może przynieść wymierne efekty a zarząd Towarzystwa ze swoich składek powinien kupować książeczki z repertuarem dla amatorskich zespołów teatralnych.

Na korespondencję zawartą w „Gazecie Poznańskiej” ostro odpowiedział w „Gazecie Toruńskiej” w numerze 51 i 59 z lutego 1877 redaktor Ignacy Danielewski. W numerze 61 jeszcze raz ustosunkował się Adam Lew Sołtan w sprawie teatrów amatorskich. Zarzucił polemiście, że ten ujawnił jego personalia. Korespondencje do „Gazety Poznańskiej” i „Gazety Toruńskiej” tytułował jedynie „Z ziemi malborskiej”. Polemika między dyskutantami pokazała jak ważną sprawą jest prowadzenie teatrów amatorskich.

Dwa miesiące później jak donosiła „Gazeta Toruńska” nr 96 w niedzielę 22 kwietnia 1877 roku w Starym Targu odegrano dwa przedstawienia. Grano sztukę „Łobzowanie” i wodewil „Chłopi arystokraci”. Organizatorami byli dwaj urzędnicy dworscy jeden z Waplewa drugi z Telkwic. Przedstawienia obejrzało 400 widzów. Przybyli nawet widzowie z niziny żuławskiej, bo o przedstawieniach dowiedzieli się z gazet niemieckich. Aktorami byli ludzie z Telkwic, Waplewa i Starego Targu. Największe brawa otrzymała aktorka grająca Zosię w „Łobzowianach” a w „Chłopach arystokratów” Kogucińską. Do gustu przypadł aktor grający Protazego, który publiczność zabawiał mimiką i tuszą w „Łobzowianach” a ex wojaka w „Chłopach arystokratów”. Na pochwałę zasłużyli też aktorzy grający role drugoplanowe kończył korespondencję „Z ziemi malborskiej” ALS.

Pelpliński „Pielgrzym” w numerach 14 i 21 z roku 1878 informował o sztukach „Marcowy kawaler”, „Owoc zakazany” oraz „Błązek opętany” granych w Starym Targu i Pierzchowicach.

W Niedzielę dnia 3 Lutego 1878 roku
na sali pana Włelssa
 odegrają amatorzy
 w Starym Targu
Marcowy Kawaler.
 Komedya w 1 akcie J. Blizniskiego
Błązek opętany.
 Komedya ludowa ze śpiewami w 1 akcie
 W L. Anczyca.
 Początek o godzinie 7.

 Tylko jedno przedstawienie. 
Teatr w Pierzchowicach.
 Na sali p. Hartmana, (58)
 We wtorek dnia 19 Lutego 1878
Marcowy Kawaler,
 Komedya 1 akcie J. Blizniskiego.
Owoc zakazany
 Komedya ze śpiewami w 2 odsłonach.
 Początek o godz. 7½ wieczorem.

Po pięciu latach przerwy „Gazeta Toruńska” z roku 1883 nr 20 podała, że 21 stycznia w niedzielę miała miejsce pierwsza premiera teatru amatorskiego w Sztumie w sali Strzelnicy. Jej właścicielem był restaurator Kowalski, który obiekt wykupił za 15300 marek. Zainteresowanie przedstawieniem przeszło wszelkie oczekiwania zarówno ze strony polskiej jak i niemieckiej. Wcześniej gazeta „Elbinger Zeitung” wyrażała sceptycyzm, żeby mogła pojawić się jakakolwiek publiczność polska w Sztumie na polskim przedstawieniu.

Natomiast ludność niemiecka nie zechce uszczuplić swoich sakiewek na rzecz teatru polskiego. Pieniądże zebrane ze sprzedaży biletów były przeznaczone na cel dobroczynny na rzecz biednych w Sztumie i fundusz żelazny na teatr w Poznaniu. Ujemną stroną był fakt, że jedni nie mogli dobrze się przypatrzeć przedstawieniom, drudzy nie mogli dostać się do środka sali. Ubiory, śpiewy i tańce narodowe wywarły duże wrażenie na słuchaczach. Grano dwie sztuki „Wiesław i Halina” oraz „Werbel domowy”. W numerze 22 „Gazeta Toruńska” zamieszcza większe refleksje. Aktorzy zrobili wszystko co było w ich mocy, dobrze odegrali swe role, byli też wynagrodzeni nie tylko hucznymi oklaskami ale również objawami sympatii. Rzewne nuty śpiewek w Wiesławie wywoływały łzy, dowcipki z Werbla głośne śmiechy budziły, a Krakowiak i Mazur ochotę do tańca rozniecał pomimo ścisku. Mylne były przewidywania elbląskiej gazety. Polaków musi być nie tak mało, albo nie wszyscy Niemcy są zapatrywań „Elbinger Zeitung” i wiedzą, że marka lub 50 fenigów nie jest wspieraniem polskośći. 100 marek przeznaczono na teatr poznański, 50 marek na biednych w Sztumie pomiędzy którymi większa część to Niemcy. Na życzenie ogólne powtórzenie przedstawienia odbędzie się w niedzielę 4 lutego w Starym Targu.

W roku 1885 pelpliński „Pielgrzym” nr 14 z 31 stycznia powołując się na gazetę „Danziger Post” podał, że pierwszego lutego przybędzie do Sztumu amatorski teatr z Poznania i da przedstawienie w sali Strzelnica. Gazeta powoływała się również na polskie pisma wydawane w Poznaniu. Nie podano tytułu sztuki jaki miano zagrać. Można przypuszczać, że była to forma rewanżu amatorów poznańskich za przekazanie pieniędzy na budowę polskiego teatru w Poznaniu.

Następne przedstawienie w Sztumie było prezentowane w roku 1892. „Gazeta Toruńska” nr 40 z 19 lutego informowała, że Koło śpiewu przygotowało na niedzielę 21 lutego jednoaktówki „Adam i Ewa”, „Podejrzana osoba” oraz „Janek z pod Ojcowa”.

Teatr amatorski w Sztumie
na sali w Strzelnicy
w niedzielę dnia 24 lutego
na cel dobroczynny.
Odegrane będą:
Podejrzana Osoba
i
Janek z pod Ojcowa.
Obrazek wiejski ze śpiewami i tańcami.
Po teatrze zabawa z tańcami. — Po-
czątek przedstawienia o godz. 7 wierz. 93

Bilety można było kupić u panów Blocka i Kowalskiego. Cztery numery dalej korespondent ze Sztumu pisze: Przed rozpoczęciem teatru odśpiewano pieśni „Na dole zawierucha”, „Jak się macie Bartłomieju”, „Chłopak ci ja chłopak”. Śpiewano je podczas pauz i na zakończenie. Po opłaceniu Sali, muzykantów zostało 90 marek i przeznaczono je na cel dobroczynny. Młode aktorki i aktorzy świetnie odegrali swoje role. Ewa to urodzona aktorka i jej gra się najbardziej podobała. Dziebko dobrze wyglądał w pysznej liberii i połowym fraku. Sala Strzelnicy była wypełniona do ostatniego miejsca obywatelstwem z okolicy i miasta. Przybyli też goście z Kongresówki, Gdańska, Grudziądza, Malborka, Kwidzyna.

Na początku lat 80 XIX wieku na ziemi sztumskiej zaczęto zakładać Towarzystwa śpiewu św. Cecylii. Celem działalności było podniesienie śpiewu kościelnego. Władze niemieckie chciały, aby śpiewano po łacinie lub niemiecku. Ludność polska uważała, że teksty polskich pieśni są melodyjne i głębokie w treści, dlatego powinien być również polski śpiew. Pierwsze Towarzystwo powstało w Kalwie w roku 1880 dzięki staraniom nauczyciela Pohla i proboszcza Pawła Herholza, który został jego prezesem, jak to podała „Gazeta Toruńska” z 1880 nr 290. W Sztumie Towarzystwo powstaje w tym samym roku co w Kalwie z inicjatywy nauczyciela i organisty Laskowskiego i kapelana Ferdynanda Spiringa. W roku 1881 podczas uroczystości 50-lecia pracy nauczyciela Gołębiewskiego w kościele w Starym Targu śpiewał chór cecyliński ze Sztumu. Trzecie koło śpiewu działa w Starym Targu pod kierownictwem nauczyciela i organisty Henryka Pawłowskiego. Podczas mszy żałobnej za poległych w roku 1830 w kościele starotarskim tutejsze koło śpiewu zaśpiewało na cztery głosy trzy pieśni „U podnóżka Twych ołtarzy Panie”, „Requiem”, „Przez czyścicowe upalenia”. Na początku 1881 roku „Gazeta Toruńska” powołując się na korespondenta ze Sztumu i niemieckie gazety podała informację o rozwiązaniu Towarzystwa św. Cecylii w Starym Targu. Przyczyną miał być udział w obchodach powstania listopadowego, co władze niemieckie uznały za agitację polityczną. Pelpliński „Pielgrzym” 1881 w nr 26 z 3 marca otrzymał korespondencję ze Starego Targu. W liście do redakcji sztumski korespondent odwołał 20 lutego w niemieckich gazetach to oszczerstwo zamieszczone w toruńskiej gazecie. Towarzystwo śpiewu w Starym Targu i innych miejscowościach nie wdaje się w demonstracje narodowe szczególnie w tak poważnym dniu jak 50 rocznica powstania listopadowego. Rząd znając dokładnie Stary Targ nie przeszkadza spokojnemu rozwojowi śpiewu.

Jednak niemiecka władza regencyjna w Kwidzynie 22 stycznia 1882 roku wystosowała rozporządzenie do wszystkich landratów (starostów) następującej treści: „W niektórych okolicach naszego obwodu z przeważnie polską ludnością powstały w nowszym czasie stowarzyszenia śpiewu kościelnego, które pod tow. św. Cecylii rzekomo mają na celu pielęgnowanie i podźwi-

gnięcie śpiewu kościelnego. Dopóki ten cel zostanie zachowany nie trzeba kontroli policyjnej nad tymi stowarzyszeniami, jak też w pojedynczym przypadku orzekliśmy. Skoro przecież gazety polskie przyniosły doniesienie, że przy okazji 50-letniej rocznicy rewolucji polskiej 29 listopada, także to, jak wszystkie inne stowarzyszenia polskie, mają na oku cele publiczne i narodowo polityczne, zatem polskie. Wzywamy wielmożnego pana, aby istniejące lub mogące powstać w jego powiecie tow. św. Cecylii wziął pod nadzór policyjny i najprzód zażądał statutów tychże z spisem członków." To rozporządzenie ogłosiła „Gazeta Toruńska” w 1881 nr 71. Odpowiedzią było wezwanie nauczyciela Laskowskiego, będącego przewodniczącym Towarzystwa św. Cecylii w Sztumie, o nadesłanie statutów celem kontroli, podała gazeta w numerze 40. Rok później „Gazeta Toruńska” w 38 numerze informuje czytelników o wizytacji klasy, gdzie pracował organista nauczyciel Laskowski. Inspektor szkolny dr Zint nie był zadowolony z jego pracy, ponieważ dzieci nie znały pieśni na cześć Marii Panny. Na podaną informację przyszła odpowiedź inspektora 3 czerwca 1882 nr 127. Tłumaczył on, że zbyt ostre wnioski wyciągnęła toruńska redakcja wobec nauczyciela. Nieznajomość pieśni wiązała się z tym, że nie była wyuczona na czas do którego odnosiła się wizytacja, a nie z powodu, iż nauczyciel nie był w stanie spełnić wymaganiom jakie stawiał inspektor.

Na działania władz wobec Towarzystwa św. Cecylii w Sztumie złożył zażalenie do biskupa warmińskiego i władz regencyjnych w Kwidzynie E. Osiński - przewodniczący dozoru kościelnego. Uzyskał odpowiedź odmowną - dozór kościelny nie ma prawa troszczyć się o śpiew kościelny. 105 numer „Gazety Toruńskiej” z 1882 podaje informację jaką zamieścił korespondent ze Sztumu do grudziądzkiej gazety „Gesellige”, który pisze z przekąsem, że gdyby śpiewano po łacinie bardziej by się uszy słuchaczy cieszyły niż po polsku. Komentarz redakcji był następujący. Są tu dwie denuncjacje: jedna na śpiew śpiewaków św. Cecylii, bo tworzą stowarzyszenie, druga, bo dozór kościelny rozkoszuje się polskim śpiewem co przynosi honor panu Osińskiemu. Miesiąc później 9 czerwca 1882 roku „Gazeta Toruńska” powołując się na grudziądzką „Gesellige” do której napisano ze Sztumu cytuje: „skoro tutejsi Cecylianie przestali tymczasowo śpiewać w kościele katolickim zebrało się kilku przeciwników tego stowarzyszenia i śpiewają po polsku przybrawszy nazwę Stowarzyszenie polskie. Krytyka ich popisów da się ująć w słowa. Dobrzy Polacy lecz nędzni muzykanci. Większa część reprezentantów gminy katolickiej wniosła już we właściwym miejscu o złożenie z urzędu kościelnego urzędnika, który jest dyrygentem tzw. Stowarzyszenia polskiego”. W połowie roku 1884 koło śpiewaków św. Cecylii w Kiszporku (Dzierzgoniu) pożegnało swego prezesa księdza kanonika augusta Herbarta, który przeniesiony został do Fromborka

„Gazeta Toruńska” 1888 nr 21 z 26 stycznia napisała, że w sobotę 23 stycznia w hotelu Królewski Dwór należącym do pana Grasnica (niekiedy podawano Krasnicka) odbył się koncert amatorski i zabawa karnawałowa. Organizowały go panie ze Sztumu i okolic. Udział był wielki, sala była szczelnie zapelniona. Z dochodu wynoszącego kilkaset marek skorzystają nasi najbiedniejsi. W środę 25 stycznia był bal w Strzelnicy. W czwartek urządzony będzie koncert dla łyżwiarzy na jeziorze zajezierskim. Ma przybyć orkiestra z Malborka. Ta ostatnia informacja wskazywałaby, że organizatorem są niemieckie władze Sztumu.

17 czerwca 1890 roku w „Gazecie Toruńskiej” zamieszczono ogłoszenie. W Sztumie osiedlił się i mieszka przy rynku w kamienicy pana Pohlenza dr Morawski. Przybycie do tego miasta Feliksa Morawskiego jeszcze bardziej ożywiło środowisko ludności polskiej. W drugiej połowie 1891 roku założył on koło śpiewu polsko-katolickiego. „Gazeta Toruńska” z 12 grudnia 1891 roku zapowiadała, że „20 grudnia w hotelu Grasnica o 4 po południu odbędzie się gwiazdka dla dzieci ubogich. Wstęp wolny organizatorzy spodziewają się liczego udziału.” Sprawozdanie w tej samej gazecie ukazało się 30 grudnia. Zanim rozpoczęło się zebranie odśpiewano pieśń „Kto się w opiekę”. Sekretarz towarzystwa pan Jurkiewicz objaśnił cel gwiazdki. Rozdano mniejsze i znaczniejsze podarunki dzięki hojności wielu pań wśród których znalazła się pani Magdalena Donimirska z Zajezierza. Na ich cześć wzniesiono okrzyk Niech żyją. Pieśnią „Wszystkie nasze codzienne sprawy” zakończono uroczystość. Następnie rozpoczęły się popisy członków koła śpiewu. Wybrano komitet mający przygotować zabawę w lutym 1892 roku. Nadzwyczajne zebranie zapowiadano na trzecią sobotę stycznia.

24 kwietnia 1892 roku miało się odbyć walne zebranie kółka śpiewu w restauracji państwa Block o czym informowało pismo „Przyjaciół pismo dla ludu” nr 32. To samo pismo w 62 numerze zamieściło informację o nadzwyczajnym zebraniu kółka śpiewu jakie miało się odbyć 31 lipca o godzinie 5 po południu w lokalu Wojciechowskiego. Zapraszano zarówno czynnych jak i nieczynnych członków. Sztumscy śpiewacy organizowali 29 czerwca zabawę letnią w lesie waplewskim. Wspólny wyjazd ze Sztumu o wpół do drugiej od pana Wojciechowskiego, ze Starego Targu o godzinie 3 spod lokalu pana Martewicza. Zostało też zaproszone koło śpiewu na pierwszy Zjazd Przemysłowców i Śpiewaków jaki odbył się 10 lipca 1892 roku. Zaśpiewano tam pieśń ludową „Pieśń nieszczęśliwych”. Do komitetu zjazdowego wszedł dr F. Morawski jako prezes kółka śpiewu.

„Przyjaciół” 1892 nr 98 podał informację o uchwaleniu przez koło śpiewu rozdania pomiędzy ubogich 18 grudnia gwiazdki o godzinie 5 w Strzelnicy. O poparcie szlachetnego czynu uprasza się na ręce prezesa Morawskiego. Numer 103 tego pisma podaje więcej szczegółów. Po odśpiewaniu „Zdrowaś Marya” przemówił dr Morawski. Obdarowano przeszło 100 osób. Na podar-

ki składały się ubranka, obuwie, wiktuały, rozdzielono książeczki do nabożeństwa i elementarze polskie. Na zakończenie gwiazdki zaśpiewano „Nie opuszczaj nas”. Członkowie koła śpiewu jeszcze kilka godzin wspólnie się bawili. Rozmowy były urozmaicane częstymi śpiewami. Mimo, że koło śpiewu liczy ponad sto osób na regularne ćwiczenia przychodzi około 15 osób, ponieważ śpiewy odbywały się w środy o wpół do ósmej. Zapowiadano na styczeń zorganizowanie kolejnego przedstawienia amatorskiego.

Najaktywniejsze miejscowości, gdzie urządzano wiele przedstawień w XIX wieku to Stary Targ i Sztum. Dniem wystawiania sztuk była najczęściej niedziela.

Przybycie dr Morawskiego do Sztumu jeszcze bardziej zaktywizowało ludność polską, chociaż wcześniej organizowano koncerty, przedstawienia teatralne. Największy wkład w rozwój teatrów amatorskich w pierwszym okresie na ziemi sztumskiej miała rodzina Donimirskich z Bukowa oraz zarządca dóbr waplewskich Władysław Szremowicz i jego żona Maria oraz oficjalista z Telkwic, którego nazwiska nie udało się ustalić. Autorem korespondencji był Adam Lew Sołtan. Imiona członków rodzin Donimirskich i Sierakowskich, ustalono korzystając z biogramów zawartych w Słowniku Biograficznym Warmii Mazur i Powiśla autorstwa Tadeusza Orackiego.

Źródła

„Gazeta Toruńska” 1868-1892

„Nadwiślanin” 1866

„Pielgrzym” 1878-1885

„Przyjaciół” 1882- 1892

Tomasz Gliniecki

Ostatnie chwile wojny na mierzei

U ujścia Wisły i na mierzei II wojna światowa zakończyła się później, niż w Berlinie. Opóźnieniu zakończenia walk winne były inaczej ustawione zegarki i wzajemna nienawiść. Wcześniej, na tym skrawku lądu między wodami morza i zalewu, przez trzy miesiące trwały ciężkie walki. Dziesiątki tysięcy niemieckich żołnierzy biły się tu dla osłony ewakuacji ludności cywilnej i dla szansy własnego odwrotu. Sowietci atakowali ich bez pardonu aż do 9 maja 1945 roku.

Udało mi się zlokalizować w archiwach dzisiejszej Rosji dwie serie zdjęć z poddania się jednostek niemieckich z mierzei. Część jednej z nich chcę tu pokazać jako namacalny dowód bliskości wojny w miejscu, gdzie dziś chętnie wypoczywamy na plażach. Wykonane przez Michaiła Sawina, zaczerpnięte zostały z waralbumu. Z kilkunastu wybieram kilka ujęć.



Na początek jedna z fotek, pokazujących rozmowy o warunkach poddania części oddziałów. Tak wynika z opisu, jaki mają foty w archiwum. Na zdjęciu uchwycony jest tylko jeden sowiecki oficer w otoczeniu kilku Niemców. Kolumny żołnierzy stoją po obu stronach leśnej drogi. Jest w tym zdjęciu coś nieznośnie ciekawego, co sugeruje, że sytuacja nie była aranżowana do wykonania zdjęć - Sowietci nie zostawiliby jeńcom broni. Tymczasem,

niemieccy oficerowie mają przypasaną broń osobistą. Obrócony tyłem major w skórzanym płaszczu ma i kaburę od pistoletu, i bagnet szturmowy. Pistolet, bo widać, że kabura nie jest pusta, ma też oficer niemiecki stojący najbardziej na prawo. On też odpowiedział mi, że zdjęcia mogły być robione w momencie poddawania się ostatnich, zdziesiątkowanych oddziałów Dywizji Grenadierów Pancernych Grossdeutschland, która walczyła wcześniej i osłaniała odwrót innych jednostek z Pillau (Piławy). Elitarna dywizja grenadierska Wehrmachtu wycofała się na Frisches Nehrung (Mierzeję Wiślaną) bez sprzętu, wykorzystując do przepłynięcia na mierzeję wszystko, na czym dało się płynąć - włącznie z drzwiami okolicznych stodół. Około tysiąca z nich ewakuowało się dalej - na Halbinsel Hela (Hel), ale część została. Myślę, że właśnie oddają się do niewoli. Skąd taka myśl? Z opaski dywizyjnej na rękawie munduru - ma on na niej wyhaftowany znak przynależności do najlepiej niegdyś wyposażonej dywizji niemieckich wojsk lądowych. Może dlatego oficerowie mają jeszcze broń - w uznaniu za ich odwagę i waleczność. W momencie kapitulacji Sowieci mogli sobie pozwolić na taki chwilowy, rycerski gest.



Tymczasem, stojący obok major jest i na kolejnym zdjęciu. Teraz jest odwrotnie, czyli tylko jeden niemiecki oficer w towarzystwie kilku Sowieców. Zaś krajobraz zupełnie inny, bo zamiast rzędów oddających się do niewoli niemieckich żołnierzy, mamy kolumnę wozów taborowych. Nie wiadomo, czyje były niedawno, w każdym razie teraz są na nich czerwonoarmiści. Więc albo to ich wozy, albo przechwycone zapasy niedawnych obrońców mierzei.

Dwóch z tych ludzi widzieliśmy już na poprzednim zdjęciu. Jednym z nich jest niemiecki major, który był tam ustawiony profilem do fotoreportera. Jest w towarzystwie będącego po prawej oficera sowieckiego, który prowadził rozmowę na poprzedniej fotce. Choć tak naprawdę nie wiem, jaka była kolejność wykonywania tych zdjęć, po ich numeracji wnoszę, że taka, jak i ja je umieszczam. Na pewno zaś obaj oficerowie są parlamentariuszami. Teraz rozmówcami Niemca są stojący po lewej stronie dwaj wyżsi oficerowie - będący bliżej jest podpułkownikiem Armii Czerwonej. Być może teraz major ma wrócić i zanieść współtowarzyszom warunki kapitulacyjne.



Jeszcze wczoraj walczyli. Oberleutnant Hans Schäufler z 4 Panzer-Division wspomina: „Na szerokim na około 800 metrów pasku lądu, bębnił wciąż sowiecie ze swojej lekkiej artylerii, ochrzczonej przez naszych „grzmącą grzechotką”, ponieważ słyszać było jak te małe armatki strzelają. Tuziny salw armatnich zwanych „organami Stalina”, setki pocisków z moździerzcy wszelkich kalibrów, biły z niewielkiej odległości w mierzę, a my nie mogliśmy nic na to poradzić. Przez Zalew Wiślany strzelały jakieś ciężkie działa - około 12,5 cm średnicy, na wprost. Z morza, w regularnych odstępach czasu, radzieckie łodzie artyleryjskie. Niezliczone, wrogie czołgi - T-34, Józef Stalin, amerykańskie Shermany, działa samobieżne o wzmocnionym opancerzeniu, nazywane „taranującymi kozłami”, czyniły nasze życie bardzo ciężkim.”

Jeśli wierzyć opisowi zdjęcia, na pojazdach jadą oddać się do niewoli żołnierze tej właśnie - 4. Dywizji Pancerniej. Dwaj oficerowie sowieccy przyglądają się rozbrojeniu. To chyba ci sami dwaj, którzy na poprzednim zdjęciu pertraktowali z niemieckim majorem. Niemcy są już bez broni ręcznej. Jadą, korzystając z transportu wozów pancernych, do punktu zbornego. Obsiedli, w ilu się dało, korpusy „pancerów”, by nie iść pieszo piaszczystą drogą. Załogi pancerne jadą zdać sprzęt. Właśnie - ci w ciemnych mundurach to też pancerniacy, a nie esesmani. Wojska pancerne miały też na patkach kołnierza trupa czaszkę, ale o zupełnie innym kroju. Często jednak to podobieństwo było przekleństwem pancerniaków - brani za żołnierzy SS byli nie raz rozstrzeliwani bez sądu.

I może przy okazji dwa słowa wyjaśnienia z datami. 7 maja w Reims Niemcy podpisali przed sojusznikami akt bezwarunkowej kapitulacji. Ceremonię podpisania kapitulacji powtórzono 8 maja w Berlinie, by Sowietci mieli w nim odpowiednią rangę w reprezentacji marszałka Żukowa (i wiadomo, kto miał być zwycięzcą na fotografiach i w kronikach filmowych!). Walki miały ustać 8 maja. W dokumencie kapitulacyjnym ujęto to dosłownie tak: „Niemieckie Naczelne Dowództwo zobowiązuje się do wydania rozkazów dla dowódców wszystkich sił lądowych, morskich i powietrznych znajdujących się pod kontrolą III Rzeszy Niemieckiej, aby przerwali akcje zbrojne do godziny 23:01 czasu Środkowo-Europejskiego dnia 8 maja 1945 roku, aby pozostali na swoich pozycjach i rozbroili się, składając broń do najbliższego Dowództwa armii sprzymierzonych albo oficerów wyznaczonych na Reprezentantów Dowództwa Armii Sprzymierzonych. Żaden okręt, czołg, samolot i inne uzbrojenie nie może być zniszczone, ani uszkodzone. Dotyczy to również aparatury radiowej, narzędzi, amunicji i każdej innej maszyny służącej armiom III Rzeszy Niemieckiej.”

Oberleutnant Manfred Nase, dowódca kompanii z 12 Panzergrenadier Regiment zapamiętał te chwile na mierzei: „Kiedy około godziny 23.00 major von Heyden, dowódca naszego pułku, otworzył zalakowaną kopertę, mieliśmy już czarno na białym dowód, że nasz los został ostatecznie przypieczętowany. Dla większości naszych ludzi oznaczało to sowiecką niewolę, jeśli nie bezsensowną śmierć.”



Być może inny oddział z mierzei uchwycił Michał Iwanowicz na zdjęciu następnego poranka, kiedy niemieccy żołnierze – już jako jeńcy – idą kolumną bez broni. Ci ze zdjęcia należeli do bowiem do wojsk powietrznych Luftwaffe – może to być obsługa dział przeciwlotniczych lub personel jednego na mierzei lotniska wojskowego – Neutief.



Kolejne zdjęcie Sawina to pięknie skadrowana scena z ostatnich dni walk o mierzęję. Oczywiście, Sowieci znów musieli robić wszystko po swojemu - u nich obowiązywał czas nie środkowoeuropejski, lecz moskiewski – przesunięty o dwie godziny do przodu. A to oznacza, że zakończyli działania według swojego czasu nie 8, lecz 9 maja. Ten wieczór wspomina starszy sierżant Nikołaj Małowickij, walczący w oddziałach 48 Armii, uczestnik desantu na Frisches Nehrung, który zaczął się 26 kwietnia i spychał Niemców ku nasadzie „kosy”. Jak wynika z opowieści, obie strony miały inaczej ustawione zegarki.

„Przed wieczorem wystrzały zaczęły cichnąć. Ale około dziesiątej zaczęła się taka kanonada! Z naszej strony doszli widać do wniosku, że na koniec trzeba frycom solidnie przyładować. A tamtym, jak sądzę, chciało się, póki jeszcze można, wyrzucić z siebie złość z powodu szybkiego i niesławnego końca „tysiącletniej rzeszy”. Odpowiedzieli ogniem i walili do nas ze wszelkiej broni, jaką tam posiadali, nie żałując już nabojów. Wiecie, byłem na foncie od września 1943 roku, ale takiej nawały ogniowej nigdy wcześniej nie widziałem.

Z naszej strony strzelanina zakończyła się o 23.00. Z tamtej strony przestali około północy. I gdy ucichły, na koniec, wszystkie działa, w uszach pojawiła się dzwoniąca cisza. A potem, ogłuchli od wystrzałów, po kolei usłyszeliśmy: szum wiatru w lesie, plusk morskich fal...



Michaił Iwanowicz Sawin

Sowiecki fotoreporter. Rocznik 1915. Zmarł w 2006 roku. Przeszedł z aparatem fotograficznym całą wojnę. Najpierw jako korespondent „Krasno-armiejskiej Prawdy”. Potem pracował dla „Ogonioka”. W 1943 r. za zdjęcia z wyzwolenia Smoleńska dostał medal „Za odwagę”, a po walkach w 1945 r., więc również za fotki z mierzei Frisches Nehrung przypiął do munduru medal „Za zwycięstwo nad Niemcami”. Miał też Sawin niezłe poczucie humoru jak widać na zdjęciu, skoro dał się sfotografować pod tablicą dla odważnych - „Kto śmiały, ten cały”.

Leszek Sarnowski

Represje wobec konspiracji niepodległościowej w powiecie sztumskim

Z szacunkowych danych wynika, że po 1945 roku na terenie Polski działało około 1500 różnego rodzaju organizacji i oddziałów, które zaliczane są do tak zwanej drugiej konspiracji. Były to organizacje, które rozpoczęły swoją działalność po zakończeniu wojny i funkcjonowały w latach 1945 - 1956, albo takie które swoją działalność, tym razem już nie antyhitlerowską, ale antykomunistyczną, kontynuowały. Na Pomorzu Gdańskim było około stu takich organizacji, grup, oddziałów partyzanckich, związków, kół i sprzysiężeń. Partyzanci działali w ramach struktury Ośrodka Mobilizacyjnego Wileńskiego Okręgu AK, a grupy terenowe w WiN-ie.¹



Żołnierze 4 Szwadronu 5 Brygady Wileńskiej AK na Białostocczyźnie w 1945 roku
- u góry - pierwszy z prawej Zdzisław Badocha „Żelazny”, u dołu- pierwsza z lewej
Danuta Siedzikówna „Inka”, fot. archiwum.

¹ Opracowano na podstawie: Bogdan Rusinek, Zbigniew Szczurek, *Dzieje drugiej konspiracji niepodległościowej na Pomorzu Gdańskim w latach 1945 - 1956*, Gdańsk 1999 r.; *Aparat bezpieczeństwa w Polsce. Kadra kierownicza, t. 1.2 - 1944 - 1975*, red. Krzysztof Szwaagrzyk, IPN, Warszawa 2005; „Sztumska Solidarność 1981”, nr 216 - Tekst jest fragmentem przygotowywanej przez autora publikacji poświęconej dziejom sztumskiej „Solidarności”.

„Łupaszko” i inni

Na terenie powiatu sztumskiego najbardziej spektakularnym przedsięwzięciem antykomunistycznej konspiracji była działalność partyzantów V Wileńskiej Brygady AK, pod dowództwem majora Zygmunta Szendzielarza pseudonim „Łupaszko”. Jego brygada pojawiła się na Pomorzu jesienią 1945 roku. Pierwsza koncentracja oddziałów odbyła się 12 kwietnia 1946 roku pod Malborkiem, skąd „Łupaszko” poprowadził swój oddział w Bory Tucholskie. W Malborku powstał punkt kontaktowy dla chętnych, którzy chcieli zaangażować się w działania partyzanckie. Powstały wówczas dwa szwadrony pod dowództwem Zdzisława Badochy („Żelazny”) i Henryka Wieliczko („Lufa”). To pod ich dowództwem doszło na Kaszubach i Kociewiu do kilkunastu starć z oddziałami wojska, UB i MO. Druga koncentracja brygady, z powstałym nowym szwadronem pod dowództwem Leona Smoleńskiego („Zeus”), miała miejsce na początku czerwca 1946 roku pod Dzierzgoniem. Wkrótce, po starciu z UB i MO pod Tulicami w dniu 10 czerwca ranny został „Żelazny”. Dowództwo jego oddziału przejął najpierw Olgierd Christa („Leszek”), a od lipca Robert Nakwas Pugaczewski („Okoń”). „Żelazny” w tym czasie przebywał na rekonwalescencji w konspiracyjnym szpitalu, który znajdował się w dworze Donimirskich w Czerninie. Zginął tam 28.06.1946 w trakcie obławy UB. Pamiętam, kiedy kilka lat temu realizowałem dla TVP reportaż o żołnierzach „Łupaszki”, najstarsi mieszkańcy Czernina ciepło wypowiadali się o Jego żołnierzach, że byli „tacy eleganccy, w oficerkach, grzeczni i za jedzenie płacili”, co w obliczu wieloletniej propagandy antyłupaszkowskiej i odsądzania od czci „band reakcyjnego podziemia”, zasługuje mimo wszystko na wiarę.

Oddziały „Łupaszki” działały w tym czasie w województwach – bydgoskim, gdańskim, koszalińskim i olsztyńskim. Przeprowadziły kilkadziesiąt akcji zbrojnych – między innymi rozbrajano placówki MO i UB, kontrolowano transporty kolejowe, przeprowadzano konfiskaty, a także wykonywano wyroki śmierci na funkcjonariuszach UB i NKWD. Trzecia i ostatnia koncentracja oddziałów majora odbyła się w okolicach Nowego w połowie sierpnia 1946 roku. W wyniku zaostżenia działań UB oddziały „Łupaszki” straciły ze sobą kontakt, a jesienią major Olechnowicz wydał rozkaz o rozwiązywaniu oddziałów zbrojnych. Wielu partyzantów na wieść o czekającej ich amnestii ujawniło się, choć jak się później okazało, większość trafiła do więzień, niektórzy z nich, tak jak na przykład Józef Bandzo („Jastrząb”) część kary odbywał w zakładzie karnym w Sztumie. W maju „Łupaszko” opuścił Pomorze, najpierw ukrywał się na Śląsku, a potem w okolicach Zakopanego, gdzie 30 czerwca 1948 roku został aresztowany.

Konspiracja przed sądem

Proces Komendy Ośrodka Mobilizacyjnego Wileńskiego Okręgu AK rozpoczął się 23 października 1950 roku przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie. Dowódców Antoniego Olechnowicza, Henryka Borowskiego, Zygmunta Szendzielarza i Lucjana Minkiewicza skazano na karę śmierci, Lidie Lwow na dożywocie, a Wandę Minkiewicz na 12 lat więzienia. Najwyższy Sąd Wojskowy utrzymał wyroki w mocy, a wobec skazanych na śmierć Prezydent Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Wyroki wykonano w więzieniu mokotowskim w dniu 8 lutego 1951 roku. W 1956 roku Sąd Wojewódzki w Warszawie zmienił karę dożywocia dla Lidii Lwow na 10 lat więzienia, a Wandzie Minkiewicz z 12 lat na 4 lata. W 1957 roku Izba Karna Sądu Najwyższego zmniejszyła karę dla Lidii Lwow do 5 lat więzienia.

Dramatyczny finał miał proces siedemnastoletniej Danuty Siedzikówny („Inka”). Schwytała została w Gdańsku, gdzie trafiła po akcji pod Tulicami w pobliżu Sztumu. Oskarżono ją między innymi o to, że kazała partyzantom „Żelaznego” rozstrzeliwać funkcjonariuszy UB, których schwytano w czasie akcji. Jednym ze świadków w jej procesie był Eugeniusz Adamski, wartownik powiatowego UB w Sztumie. Rozprawa „Inki” odbyła się 3 sierpnia 1946 roku i trwała zaledwie trzy godziny. Wyrok śmierci wykonano 28 sierpnia 1946 roku, po tym jak prezydent Bierut nie skorzystał z prawa łaski, o które „Inka” zresztą nie zabiegała. Za ten sądowy mord, według ustaleń historyków IPN, odpowiedzialność ponoszą: prokurator chor. Wacław Krzyżanowski, szef gdańskiej prokuratury ppłk Wiktor Suchocki, naczelnik wydziału śledczego UB w Gdańsku Józef Bik, oficer śledczy Andrzej Stawicki oraz sędzia prowadzący rozprawę mjr Adam Gajewski. Razem z „Inką” zamordowany został również inny żołnierz „Łupaszki”, Feliks Selmanowicz („Zagańczyk”).

O współpracę z oddziałami „Łupaszki” oskarżono również administratorów majątków ziemskich w powiecie sztumskim. Administratora majątku rolnego Zieleniec Ottomara Zielke aresztowano 28 czerwca 1946 roku, zaraz po zamordowaniu przez UB w Czerninie porucznika „Żelaznego”. Wyszedł na wolność przed świętami Bożego Narodzenia 1946 roku. Pod koniec lipca 1948 roku aresztowano go ponownie, w obawie, że majątek przez niego administrowany może znów stać się bazą dla oddziałów partyzanckich. Tym razem aresztowano także innych administratorów z powiatu sztumskiego, zarzucając wszystkim prowadzenie wywrotowej działalności politycznej - Józefa Preussa, administratora zespołu rolnego w Watkowicach, Antoniego Kuraszkiewicza, administratora z Czernina i Floriana Mellerę, rządcę majątku w Czerninie. Wszyscy trafili do więzienia w Sztumie.

Rozprawa przed WSR w Gdańsku, na sesji wyjazdowej w Sztumie trwała od 18 listopada do 4 grudnia 1948 roku. Sąd któremu przewodniczył sędzia kpt Kazimierz Jankowski, na wniosek prokuratora kpt Andrzeja Wójtowicza, skazał Ottomara Zielke na karę śmierci, utratę praw obywatelskich na

zawsze i przepadek mienia. Uznano go za winnego usiłowania zmiany przemocą ustroju Polski, poprzez udział w nielegalnej, terrorystyczno-dywersyjnej organizacji majora „Łupaszki”, że zorganizował w pałacu w Czerninie szpital polowy dla rannych partyzantów, zorganizował dla nich opiekę medyczną, a jako administrator dopuścił się sabotażu przez „nieprawidłową i szkodliwą gospodarkę rolną. Wadliwe prowadzenie gospodarki rolnej, techniczne zaniedbanie upraw, niszczenie mienia państwowego, dopuszczanie do masowego gnicia i wymarzania produktów rolnych, nieumiejętne prowadzenie gospodarki hodowlanej”. Prezydent nie skorzystał z prawa łaski i wyrok śmierci wykonano 21 kwietnia 1949 roku.

Na karę śmierci skazano również Józefa Preussa, za to że „dopuścił się aktów sabotażu przez utrudnianie prawidłowego działania gospodarstwa. Dezorganizował siłę roboczą majątku przez rozsiewanie fałszywych wiadomości o sytuacji politycznej kraju”. Najwyższy Sąd Wojskowy zmniejszył mu karę do 15 lat więzienia, utratę praw na 5 lat i przepadek mienia, a na podsatwie amnestii zmniejszono karę do 10 lat. Z więzienia wyszedł z powodu choroby w lutym 1955 roku. Antoniego Kuraszkiewicza skazano na 5 lat więzienia, utratę praw na 2 lata i przepadek mienia, za „akty sabotażu przez utrudnianie prawidłowego prowadzenia gospodarstwa rolnego”. Najwyższy Sąd Wojskowy zmniejszył mu karę do 3 lat więzienia. Na wolność wyszedł w lutym 1951 roku. Floriana Mellera skazano na 2 lata więzienia, utartę praw na 2 lata i przepadek mienia. Sąd zawiesił na 2 lata wykonanie kary i wyszedł na wolność tuż po rozprawie.

W oddzielnym procesie sądzono również Mariana Romantowskiego, który pochodził z województwa białostockiego, działał w wileńskiej AK, a po wojnie osiedlił się w Sztumie. Pracował w Urzędzie Ziemskim w Sztumie jako komisarz ziemski. Za pośrednictwem majątku w Zajezierzu pod Sztumem pomagał partyzantom majora „Łupaszki”, udzielał schronienia, organizował lekarstwa i żywność. To u niego przez pewien czas mieszkał major „Łupaszko”. Romantowskiego aresztowano w połowie 1946 roku. Sąd Marynarki Wojennej zarzucił mu współpracę z oddziałami mjr „Łupaszki” i skazał na 2 lata więzienia. Najwyższy Sąd Wojskowy wyrok uchylił. W sierpniu 1948 roku aresztowano go ponownie. Tym razem, podobnie jak w przypadku administratorów ziemskich, zarzucono mu, że od marca 1945 do sierpnia 1948 na terenie Sztumu usiłował przemocą zmienić ustrój Polski. Rozprawa sądowa odbyła się dopiero po dwóch i pół roku pobytu Romantowskiego w więzieniu w dniu 23 stycznia 1951 roku. Sędzia kpt Kazimierz Jankowski, na wniosek prokuratora Andrzeja Wojtowicza, skazał Mariana Romantowskiego na 8 lat więzienia, utratę praw obywatelskich na 3 lata i przepadek mienia. Dzięki amnestii karę zmniejszono do czterech lat, z zaliczeniem pobytu w

więzieniu od czasu aresztowania. Najwyższy Sąd Wojskowy utrzymał karę w mocy. Romantowski wyszedł na wolność z więzienia w Potulicach dokładnie w czwartą rocznicę aresztowania, pod koniec sierpnia 1952 roku.

Przy przeprowadzaniu aresztowań i rewizji, prowadzeniu dochodzeń i oskarżaniu w procesach politycznych członków Ośrodka Mobilizacyjnego Wileńskiego Okręgu AK w latach 1946 - 1951 zaangażowani byli następujący funkcjonariusze Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Sztumie - Mieczysław Anastaziak, Kazimierz Bednarek, por. A. Filipiak, Józef Matyja, Stefan Miechówka, Lucjan Możdżyński, Tadeusz Pindor, Eligiusz Rotkiewicz, Mieczysław Spychalski i szef Urzędu - ppor. W. Złotogorski.

Kryptonim 248

Innym przykładem działań kspiracyjnych była działalność organizacji oznaczonej kryptonimem „248”. Powstała ona w grudniu 1946 roku, a działała do dnia 25 marca 1950 roku. Założył ją Julian Pociask, pracownik Centralnego Więzienia Karnego w Sztumie, w porozumieniu z więźniami. Konspiratorzy spotkali się w lutym 1950 roku w więziennej świetlicy - Julian Pociask, pseudonim „Żbik” i więźniowie - Jerzy Kowalski, pseudonim „Zawisza Czarny” i Józef Śliwka, pseudonim „Warta”. Głównym celem miała być walka z istniejącym ustrojem komunistycznym. W pierwszej kolejności miano zorganizować ucieczkę więźniów z zakładu karnego w Sztumie. Pociask, współpracując z więźniami chciał uciec również z służby więziennej i docelowo przedostać się na zachód. Dowódcą organizacji, która przyjęła tajemniczy kryptonim „248” został Jerzy Kowalski. Pociask miał zajmować się werbowaniem nowych członków organizacji i prowadzić ich ewidencję, a Śliwka sprawami zaopatrzenia, między innymi ubrań i fałszywych dokumentów. Do organizacji dokooptowano innego więźnia Tadeusza Tenderendę, który został dowódcą bojówki, czyli grupy wypadowej.

Ucieczka miała być zorganizowana po ataku na więzienie z zewnątrz. Mieli w tym pomóc partyzanci działający w okolicach Sztumu z grupy „Chmury” i „Wilka”. To dla nich Pociask przygotowywał informacje na temat stanu liczebnego i uzbrojenia żołnierzy KBW ochraniających więzienie. W dniu 25 marca 1950 roku doszło do próby uwolnienia więźniów. Pociask próbował wyprowadzić przez więzienną bramę Kowalskiego, Śliwkę i Tenderendę, pod przybranymi nazwiskami oraz trzech innych więźniów, którzy mieli prawo do wychodzenia poza teren zakładu karnego do pracy. Na bramie rozpoznano jednak, podszywających się pod innych więźniów, kospiratorów i aresztowano. Za kraty, tym razem z drugiej ich strony trafił również inicjator konspiracji, pracownik więzienia Julian Pociask. Na rozprawie w dniu 20 lipca 1950 roku przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Gdańsku, na sesji wyjazdowej w Sztumie Juliana Pociaska skazano na 15 lat więzienia, utratę praw obywatelskich na cztery lata i przepadek mienia. Oskarżycielem był

prokurator Kazimierz Białkowski, sędzią mjr Marian Brzoziński, a śledztwo prowadzili między innymi kpt A. Belczyk, naczelnik więzienia w Sztumie, ppor W. Maciejowski, zastępca naczelnika sztumskiego więzienia oraz chor. Wł. Birecki, oficer śledczy sztumskiego więzienia. Pociąg odsiedział karę w więzieniu w Knurowie i wyszedł na wolność w dniu 28 maja 1956 roku.

Grupa Sałka

Od końca listopada 1945 roku do końca kwietnia 1946 roku na terenie powiatu sztumskiego działała grupa konspiracyjna pod dowództwem Franciszka Sałka, pseudonim „Jawor” i „Jeleń”. W czasie okupacji działał on w Armii Krajowej, w oddziale „Ojca Jana”, a od maja 1945 roku w grupie „Welwarda” w Narodowych Siłach Zbrojnych w województwie rzeszowskim. Po rozwiązaniu grupy Sałek w lipcu trafia na Pomorze. W listopadzie bierze udział w udanym zamachu na sekretarza PPR w jednej z gmin pod Brodnicą. Po akcji trafia na teren powiatu sztumskiego, gdzie w Bukowie mieszkał jego ojciec. Grupie Sałka pomagają miejscowi działacze PSL - Jacenty Sałek, Mieczysław Sałek, Stanisław Skucha, Tadeusz Sycz i Bronisław Trawiński. Partyzanci biorą udział w kilku potyczkach z miejscowymi siłami UB i MO, między innymi we wsi Jordanki, Budzisz i Igły.

Z powodu małej skuteczności lub w obawie przed dekonspiracją Grupa Sałka po tych akcjach przenosi się z powrotem w okolice Brodnicy. Od maja do lipca 1946 roku biorą udział w kilku akcjach przeciwko działaczom PPR, posterunkom MO i spółdzielniom gminnym w powiecie brodnickim, nowomiejskim i morąskim, między innymi w miejscowości Stary Dziergoń. Rozbrojono wówczas cztery posterunki MO. W lipcu chory Sałek wraca na rekonwalescencję do ojca do Bukowa. Pod koniec sierpnia 1946 roku wyjeżdża na Śląsk. Nie udaje mu się nawiązać kontaktu ze swoim oddziałem i po kilku miesiącach ukrywania się, w marcu 1947 roku ujawnia się przed komisją amnestijną w Krakowie. Krótko po ujawnieniu zostaje jednak aresztowany i trafia do UB do Gdańska. Od maja do grudnia 1949 roku aresztowano również kilku członków Grupy Sałka.

Dochodzenie przeciwko Grupie Sałka w czasie ich działań na terenie powiatu sztumskiego prowadzili funkcjonariusze Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Sztumie - szef PUBP ppor A. Głuchowski, Jan Kolczyński, st.sierż. Tadeusz Krawczyk, chor. Stefan Miechówka, St. Muchowski, Henryk Wnuk. Rozprawa przed sądem w Gdańsku odbyła się w dniu 13 marca 1950 roku. Na wniosek prokuratora kpt Andrzeja Wojtowicza, sędzia ppłk Edward Rataj skazał Franciszka Sałka na karę śmierci, utratę praw obywatelskich na zawsze i przepadek mienia, Jego brata Mieczysława Sałka na karę 6 lat więzienia, utratę praw na 3 lata i przepadek mienia, kuzyna Sałka, Bronisława Trawińskiego na 6 lat więzienia, utratę praw na 3 lata i przepadek mienia, kuzyna Jacentego Sałka na 3 lata więzienia, Stanisława Skuchę na 3

lata więzienia, Jana Katę na 6 lat więzienia. Kuzynowi Sałka Tadeuszowi Syczowi po zastosowaniu przepisów o amnestii karę darowano. Adwokat sałka Józef Winnicki złożył apelację o złagodzenie kary śmierci do Najwyższego Sądu Wojskowego. Gdański sąd wydał opinię podtrzymującą swój wyrok, bo „sąd nie dopatrywał się żadnych okoliczności łagodzących, uważając skazanego Sałka Franciszka za jednostkę wybitnie aspołeczną i na ułaskawienie nie zasługującego”. Najwyższy Sąd Wojskowy zmienił Franciszkowi Sałkowi karę śmierci na dożywocie, utratę praw na 5 lat i przepadek mienia. Mieczysławowi Sałkowi zmniejszono karę więzienia do pięciu lat, z utratą praw na 3 lata i przepadkiem mienia. Apelacji wobec pozostałych skazanych nie uwzględniono. Franciszek Sałek wyszedł z więzienia we Wronkach w maju 1957 roku, Jacenty Sałek i Stanisław Skuch wyszli na wolność w kwietniu 1952 roku, Bronisław Trawiński w marcu 1953 roku, Jan Kata i Mieczysław Sałek w maju 1953 roku.

Aparat bezpieczeństwa w Sztumie

Bardzo istotną rolę w utrwalaniu nowej władzy, szczególnie w kontekście aktywnej konspiracji antykomunistycznej odgrywał aparat bezpieczeństwa. Z punktu widzenia władzy było to szczególnie ważne, w tak trudnym miejscu jak Sztum, gdzie znajdowało się ciężkie więzienie i gdzie przy wsparciu miejscowej ludności działali partyzanci podziemia niepodległościowego. Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego powstał w Sztumie już w połowie 1945 roku. Jak pilna była to kwestia świadczy choćby fakt, że UB zorganizowano w prywatnym domu, przy obecnej ulicy Nowowiejskiego, naprzeciwko więzienia. Przy przebudowie piwnic na więzienne cele pracowali więźniowie. Miejscowy Urząd Bezpieczeństwa, jako „zbrojne ramię partii”, co w tych latach nie było jedynie przenośnią czy propagandowym sloganem, bardzo „zasłużył” się w walce z niepodległościowym podziemiem. Delegaturą Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (PUBP), w tych najtrudniejszych latach powojennych w Sztumie kierowali zaufani ludzie partii. Większość tych nazwisk, dzięki dokumentom zgromadzonym w Instytucie Pamięci Narodowej, jest znana.

Pierwszym szefem UB w Sztumie był Zygmunt Ratajczak, który kierował Urzędem kilka dni, bo od 12 do 17 VII 1945, ale od 13 VIII 1945 do 17 IV 1946 był zastępcą szefa delegatury. Jego następcą, choć w charakterze pełniącego obowiązki, był ppor. Wacław Złotogórski. Rządził Urzędem od 17 VII 1945 do 1 VII 1946. Następnym był por. Aleksy Pilipczuk – 1 VII 1946 - 15 IV 1950 (zwolniony dyscyplinarnie), po nim ppor. Andrzej Głuchowski (p.o. szefa delegatury) – 1 V 1949 - 26 V 1950, który zginął w akcji przeciwko partyzantom mjr „Łupaszk”. Zastąpił go por. Michał Szachterski - 1 I 1951 - 1 VI 1954, który wcześniej w latach 1 VI 1950 - 1 I 1951 był zastępcą szefa UB. Od 1 VI 1954 do 30 VIII 1955 Urzędem kierował por. Władysław Leman, który

w latach 1 I 1957 - 30 VI 1967 był zastępcą komendanta KP MO do spraw bezpieczeństwa, a później SB. Jego następcą na tym stanowisku w latach 1 X 1967 - 31 V 1975 był kpt Adam Banaś. Zastępcami szefów delegatury sztumskiego UB byli również - ppor. Lucjan Moździeński - 1 IX 1947 - 31 III 1949, chor. Zygmunt Pieńkowski - 15 I 1951 - 15 I 1952.

Ważną rolę w pacyfikacji niepodległościowej konspiracji odgrywały również władze sztumskiego zakładu karnego. Naczelnikami byli - Mieczysław Butwiłowicz - 7 VII - 30 IX 1945, Roman Pietruszewski - 11 III 1946 - ?, kpt Andrzej Belczyk - 1 XI 1946 - 1 VII 1950, por. Henryk Nowicki - 1949, por. Piotr Kowalski - 1 VI 1950 - 17 I 1953, kpt Jerzy Groszewski - 1 IV 1953 - VIII 1954.

Politrucy z POMET-u

Józef Tymiec w artykule „Echa minionych dni, czyli sztumskie «Zakazane Piosenki»”, („Sztumska Solidarność” nr 216 z dnia 17 maja 1981 roku) pisał też o represjach jakie dotknęły wielu robotników w 1970 i 1976 roku. Jak się okazało dotknęły one także pracowników sztumskiego zakładu POMET, czyli Przedsiębiorstwa Obróbki Metali. Powodem był wierszyk „Dzieśięć przykazań”: „Działo się to wszystko po wydarzeniach czerwcowych 1976 roku, więc i poezja ludowa miała swoje zabarwienie. Czym zatem jest dyskryminowany Dekalog? Przede wszystkim, wisielczym wieszczeniem o spełnionej, niestety, treści. Licząc się bowiem z wolnymi sobotami w górnictwie i związanym z tym spadkiem wydobywania węgla, nakazuje: „w wole soboty wal do roboty”. Przewiduje kryzys w rolnictwie i upomina „szanuj rolnika polskiego jak siebie samego, bo twoje żarcie zależy tylko od niego”. Dekalog nie zapomina również o stronie moralno-kulinarnej obywateli. Daje temu wyraz 6 przykazanie – „nie porządkaj żony bliźniego swego, nie ugotuje ci nic lepszego, no bo i z czego”. Co więcej dyskryminowany utwór, nawołując do dyscypliny i spokoju: „nie rozrabiaj jak Ursus i Radom, bo będziesz jadł chleb z marmoladą” - został źle zrozumiany przez ówczesnych decydentów życia politycznego. Ostatnie „przykazanie” to już czystej wody prorocstwo, które tak szybko, niestety, się spełniło – „nie żądaj od kraju szynki i bekonu bo nawet cukru nie kupisz bez talonu”.

Ten oto „polityczny” pamflet stał się przyczyną szykan pracowników ze strony wiadomych organów i dyrekcji przedsiębiorstwa. Efektem rozpowszechniania wierszyka było wyrzucenie z pracy trzech pracowników „za... ciężkie naruszenie obowiązków pracowniczych, innymi słowy, czytanie „bibuły” zakwalifikowano jako wykroczenie z art. 52 § 1 pkt. 1 Kodeksu Pracy, dające podstawę do rozwiązania z pracownikiem umowy o pracę ze skutkiem natychmiastowym. Ukarano też kilku innych pracowników „za współudział

w przekazywaniu współpracownikom w miejscu pracy, w formie pisemnej, treści niezgodnej z interesami i polityką Państwa” – pozbawieniem premii za miesiąc wrzesień 1976 roku.

Zdaniem autora tekstu szacunek dla wolności słowa obcy był kierownictwu zakładu, bo nawet po Sierpniu 1980 próbowano szykanować ludzi inaczej niż władza myślących, co przedstawia treść skierowanego do nich pisma: „W wyniku ustaleń organów SB Komendy Wojewódzkiej MO w Elblągu, stwierdzono, że uczestniczył obywatel czynnie w przekazywaniu wśród niektórych pracowników przedsiębiorstwa ulotki szkalującej naczelne władze PRL i ZSRR. W warunkach specyfiki zatrudnienia w POM-et nr 4 w Sztumie, tego rodzaju działanie dyskwalifikuje Ob. do zajmowania kierowniczego stanowiska w przedsiębiorstwie.”

Represje aparatu bezpieczeństwa wobec antykomunistycznej opozycji to także fragment naszej lokalnej historii, może nieco wstydlivej dla niektórych, skrywanej i przemilczanej. To ten smutniejszy i bardziej dramatyczny obraz PRL – u, który nieco burzy sentymentalny wizerunek tego okresu, lansowany przez niektóre środowiska. Trzeba się z nim zmierzyć także na poziomie lokalnym, choć może się okazać, że schorowany sąsiad w podeszłym wieku, właśnie ten fragment swego życiorysu chciałby wykreślić z pamięci, bo niegdysiejszy oprawca dziś jest przecież takim miłym dziadkiem, był uroczym wujkiem, przemiłym kompanem i na koniec gorliwym katolikiem. To problem jego sumienia, ale też prawdy, odkrywanej po latach jej fałszowania. Bo, jak powiedział jeden z najwybitniejszych i najbardziej bezkompromisowych polskich pisarzy XX wieku Józef Mackiewicz – „jedynie prawda jest ciekawa”.

Powyższe opracowanie to zaledwie niewielki fragment powojennej rzeczywistości ziemi sztumskiej. To poważne wyzwanie badawcze dla historyków, którzy na szczęście mają już dziś znacznie więcej możliwości, by opisać ten trudny czas przełomu. Osobnym problemem są też dzieje działaczy opozycji demokratycznej, którzy część swoich wyroków odsiadywali w zakładzie karnym w Sztumie, a także działaczy lokalnej “Solidarności” prześladowanych w okresie stanu wojennego. Mam nadzieję, że w kolejnych numerach naszego pisma będziemy wracać do tych tematów.

Marta Chmieleńska

Zdrajcy będą ich zwać bandytami

Nieznani bohaterowie na Zajezierzu

Można rzec, że na terenach, gdzie królują średniowieczne zamki, a klamki są starsze niż niejedno miasto w innych częściach Polski, wiele jest historii ważnych i głośnych, a ta zajezierska to mały drobiazg. Jednak drobiazg ten jest elementem polskiej historii najnowszej i fragmentem zapisu walki o niepodległość. Z historią tej walki do dziś nie potrafimy się uporać i bezmyślnie nazywamy kontrowersyjną.

Kolonia pod Sztumem

Zajezierze to mała miejscowość w powiecie sztumskim, mała a jednak z ciekawą historią. W drewnianym domu na skraju wsi na przełomie 1945 i 1946 roku mieszkał jeden z najśłynniejszych dowódców polskiego podziemia niepodległościowego. Mowa tu o Zygmuncie Szendzielarzu „Łupaszce”, który wraz ze swymi żołnierzami w kolonii pod Sztumem znalazł schro-



Lidia Lwow-Eberle ps. „Lala” i Adam Poćwiardowski, sołtys Zajezierza, fot. M. Chmieleńska.

nienie na kilka miesięcy. Dzięki pomocy komisarza ziemskiego Mariana Romantowskiego na początku listopada 1945 roku Zygmunt Szendzielarz znalazł schronienie w gospodarstwie oddalonym od Sztumu o 1,5 km. W tamtym czasie dom stał samotnie i doskonale nadawał się na konspiracyjną kryjówkę.

Z całą pewnością można stwierdzić, że to właśnie w Zajezerzu powstawały plany odtworzenia V Brygady i wyjścia w pole szwadronów, o których wkrótce stało się bardzo głośno w całej Polsce. Przez kilka miesięcy w pokoiku na górze mieszkania schronienie znajdowali partyzanci V Wileńskiej Brygady AK. Bywał tu Marian Pluciński „Mścislaw”, Zdzisław Badocha „Żelazny”, Henryk Wieliczko „Lufa” a także Regina Żylińska- Mordas „Regina”, która zastąpiła późniejszą współpracą z Urzędem Bezpieczeństwa i wydawaniem na śmierć przyjaciół. W historii okupowanej Polski osoby te zasłynęły nieugiętą walką o niepodległość, niestety do dziś odzywają się głosy powtarzające propagandowe hasła o bandach i morderstwach, a wypowiadający je nie zadają sobie trudu zweryfikowania swojej wiedzy na temat pochodzenia powojennego polskiego rządu.

Pamiątkowy głąz

Mieszkańcy Zajezerza postanowili upamiętnić fragment swojej historii i nieopodal domu, w którym niegdyś mieszkali „łupaszkowcy” ustawili głąz z tablicą mówiącą o tym wydarzeniu. Całość pod nazwą „Nieznani Bohaterowie - Żołnierze Wyklęci na Zajezerzu” zorganizowali sołtys Zajezerza Adam Poćwiardowski i Andrzej Węclawowicz. Uroczystość zgromadziła bardzo wielu ludzi, na zaproszenie organizatorów przyjechała również Lidia Lwow-Eberle „Lala” - sanitariuszka i towarzyszka życia majora Szendzielarza, która również mieszkała w tym miejscu. Drobną, ponad dziewięćdziesięcioletnią kobietą ze wzruszeniem dziękowała za ten gest pamięci.

- To bardzo wzruszająca chwila - mówiła przy pomniku Lidia Lwow-Eberle. Kiedy tu byliśmy nikt z nas nie myślał, że kiedyś nas upamiętnią. Wtedy byliśmy młodzi i postępowaliśmy zgodnie z naszym sumieniem i wychowaniem, walczyliśmy o wolną Polskę, bo tak nas wychowano. To wspinałe, że ktoś o nas pamięta. Bardzo wszystkim dziękuję.

Po oficjalnych uroczystościach rozpoczął się piknik historyczny połączony z prezentacją wystawy Instytutu Pamięci Narodowej „Za świętą sprawę - żołnierze Łupaszki”. Grupa rekonstrukcyjna „Szwadron Powiśle” z Mikołajek Pomorskich zapewniła typowo wojskowe atrakcje - wraz opiekunem Arkadiuszem Dzikowskim prowadzili strzelanie do tarcz z broni krótkiej i długiej i rzut granatem, ze swojego wyposażenia zbudowali mini obóz wojskowy i uczyli techniki wkładania masek przeciwgazowych. Grupa ta powstała w wyniku fascynacji partyzantką niepodległościową i zaintereso-

wania młodzieży Rajdem Pieszym Śladami Żołnierzy V Wileńskiej Brygady AK. Piknik zakończył się późnym wieczorem wspólnym śpiewaniem pieśni patriotycznych i wojskowych przy ognisku.

Sanitariuszka „Lala”

Lidia Lwow-Eberle urodziła się w okolicach Moskwy w 1920 roku, wraz z rodzicami przeniosła się do Polski, ponieważ w bolszewickiej Rosji nie było miejsca dla rodziny z książęcym tytułem. Lidia skończyła polską szkołę i gimnazjum w Święcianach i rozpoczęła studia prawnicze na Uniwersytecie im. Stefana Batorego w Wilnie. Wojna zastała ją w Kobylniku. Do partyzantki trafiła w 1943 roku, jest jednym z ostatnich żyjących żołnierzy Antoniego Burzyńskiego „Kmicica”. Po wymordowaniu dowództwa i części oddziału przez sowieckich partyzantów, trafiła do tworzonej przez Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” V Brygady. Za postawę w czasie walk na Wileńszczyźnie i wyniesienie rannego z pola walki odznaczona została Krzyżem Walecznych. Jest podporucznikiem czasu wojny. Aresztowana została wraz z „Łupaszka” w 1948 roku i trzy lata później skazana na dożywotnie pozbawienie wolności. Z więzienia wyszła w 1956 roku, ukończyła archeologię i do emerytury pracowała w Muzeum Historii Miasta Warszawy.

Przyjazd Lidii Lwow stał się okazją do objazdu terenu wokół Sztumu. Robert Jamroz pasjonujący się tematem wileńskiej partyzantki kilka lat temu wraz z historykiem prof. Piotrem Niwińskim zjeździł te tereny w poszukiwaniu śladów historii. Dzięki relacjom Stanisława Szczykno „Stacha” odkryli wiele miejsc opisywanych przez partyzantów w zeznaniach i relacjach. Udało im się odnaleźć dom, w którym mieszkał „Łupaszka” na Zajezerzu, głąz przy fermie w Czerninie, gdzie dziś stoi pomnik, odwiedzili także majątki: Jodłówkę, Kojty i Zielenice. Dzięki tej wiedzy mógł wraz z Arkadiuszem Dzikowskim „oprowadzać” Lidię Lwow po miejscach, w których „Lala” była przed ponad sześćdziesięciu laty.

- Z prawdziwą przyjemnością gościliśmy panią Lidię - opowiada Robert Jamroz. Była tu po raz pierwszy od 1946 roku. Zawieźliśmy ją do majątków Zielenice i Jodłówka, gdzie mieszkała z majorem „Łupaszka”. Niestety wiele się w tych miejscach zmieniło i „Lala” nie poznawała ich. Wspólnie odwiedziliśmy też dwór w Czerninie, gdzie zginął Zdzisław Badocha „Żelazny”, a także miejsca, które kilka lat temu udało nam się upamiętnić. To było moje kolejne spotkanie z panią Lidią i za każdym razem jest to niesamowite przeżycie.

Zdraycy będą ich zwać bandytami

Schyłek roku 1944 to trudny czas dla wileńskiej konspiracji, żołnierze walczący do tej pory z okupantem w swoich rodzinnych stronach, pod naporem Sowietów zmuszeni byli wyruszyć w głąb kraju, żołnierze przebyli drogę

z Wileńszczyzny przez Podlasie na Pomorze. Ci, nierzadko bardzo młodzi ludzie, ścigani byli jak przestępcy a Pomorze stało się dla wielu schronieniem.

- Żołnierze „Łupaszki” mieli po dwadzieścia - dwadzieścia parę lat, większość była przedwojennymi harcerzami, ludźmi honoru o jakim dziś już nie mamy pojęcia – mówi Robert Jamroz, członek Stowarzyszenia Historycznego im. V Wileńskiej Brygady AK. Ludzie, którzy dziś zarzucają im bandytyzm są po prostu niedouczeni i nie umieją sobie wyobrazić jak taki przedwojenny honor wyglądał. To wstyd, że sami Polacy nie umieją docenić żołnierzy, którzy przelewali za nich swoją krew.

Polska usiana jest pomnikami upamiętniającymi „utrwalaczy władzy”, w wielu miejscach dochodzi do kuriozalnych przypadków, gdy szkoły i ulice wciąż noszą imiona konfidentów i agentów sowieckich, natomiast Żołnierzy Wyklętych nazywa się kontrowersyjnymi. Wiele osób, mniej lub bardziej świadomie, dyskredytuje żołnierzy podziemia niepodległościowego, często w grę wchodzi wtedy wątki rodzinne a także nie do końca prawdziwe, zasłyszane przed laty historie i wieloletnia propaganda. Warto jednak zdać sobie sprawę z tego, że ludzie tacy jak „Łupaszka” zdecydowali się podjąć walkę nie dla rozrywki ani pod przymusem. Szli do lasu, żyli i walczyli w skrajnie trudnych warunkach. W partyzantce nie było „tyłów” gdzie można było odpocząć po walce, nie było kwatermistrzostwa, nie było koszar. Byli cały czas w stanie gotowości, niektórzy walczyli tak przez 7 lat. Żołnierze ci, drogę swą wybierali, bo jak mówi Lidia Lwow „tak ich wychowano”, po drugiej stronie zaś stali ludzie, którzy często w wyjątkowo okrutny sposób przesłuchiwali i bili aresztowanych.

- Pamiętajmy, że funkcjonariusze komunistycznego aparatu represji z reguły świadomie wybierali swoją drogę – mówi prof. Piotr Niwiński, znawca tematu i autor książek na temat partyzantki wileńskiej. Jednak oni, w przeciwieństwie do Żołnierzy Wyklętych, bardzo rzadko wybierali ją z przekonania. Z reguły była to chęć awansu społecznego, polepszenia sytuacji materialnej czy też, wcale nie rzadko w tym pierwszym powojennym okresie, chęć ścigania zbrodniarzy hitlerowskich. Jednak ci ostatni bardzo szybko zorientowali się, że wykorzystywani są do innych celów i rezygnowali ze służby w MO czy Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego. Pozostali służyli dalej komunistycznej władzy. Tłumaczyli się przed bliskimi, że choć podlegali rozkazom oficerów sowieckich, to „polska służba”, że bronią demokratycznej Polski. Do tego dochodziła niesłychana propaganda, ułatwiająca ich pozostanie w szeregach komunistycznego aparatu represji.

Dziś możemy śmiało powiedzieć, iż żołnierze podziemia niepodległościowego zachowali się z honorem, zaś ich przeciwnicy służyli jednemu z najbardziej okrutnych systemów politycznych

Jedni będą ich zwać bandytami
Inni będą w nich widzieć rycerzy
Za trzydzieści srebrników sprzedanych
Któż w historię ich dzisiaj uwierzy
Kto im odda należne honory,
Kto im pomnik w pamięci zbuduje
Kto postawi ich dzieciom, za wzory
A kto pamięć w gazecie opluje
Wywlekali ich z celi nad ranem
Szarzy ludzie bez nazwisk i twarzy
Wywlekali z nich duszę odbierali im życie
Lecz nie można odebrać im marzeń
A marzyli, że kiedyś się stanie
Będzie Polska po Lwów i po Wilno
I rzucali swe życie na szaniec
Bo do celu tak było im pilno
Zanim okrzyk się spotkał ze strzałem
Zanim kula się w piersi zaryła
Jak modlitwę ostatnią szeptali,
Że nie zginie, że będzie wciąż żyła
Zostawili swym wnukom testament
Krwią pisany na murze kamiennym
Żeby stali gdy wszyscy upadną
By świecili gdy stanie się ciemność
Zdrajcy będą ich zwać bandytami
My musimy w nich widzieć rycerzy

Andrzej Kołakowski „Trzydzieści srebrników”

Jan Kulas

Ksiądz Władysław Łęga rodem z Powiśla

Władysław Jan Łęga urodził się 4 czerwca 1889 roku w Miranach w powiecie sztumskim (ówczesne Prusy Wschodnie). Wyjaśnijmy, że wedle spisu z 1910 roku Polacy w tym powiecie stanowili ponad 42 % ogółu ludności. Władysław był najstarszym synem wiejskiego nauczyciela Izydora i Franciszki z Frankiewiczów. Wychowywał się w tradycjach patriotyczno-narodowych. To wychowanie miało istotny wpływ na jego drogę życiową i sprawowanie misji w życiu publicznym.

Z domu rodzinnego wyniósł młodociany Władysław znajomość i umiłowanie języka ojczystego. Oficjalną edukację rozpoczął się w szkole powszechnej w Miranach. Następnie uczył się w Gimnazjum w Rogoźnie, w województwie poznańskim. Tutaj dał wyraz swojemu patriotycznemu wychowaniu. Podczas nauki w Gimnazjum należał do tajnego Koła Filomatów.

Po zdaniu matury w roku 1910, Władysław Łęga wybrał drogę służby Bożej. W latach 1910-1914 studiował filozofię i teologię w Seminarium Duchownym w Pelplinie. Tutaj zetknął się z znakomitym historykiem prof. ks. Stanisławem Kujotem i etnografem z zamiłowania ks. Edmundem Majkowskim. Dnia 29 marca 1914 wyświęcono W. Łęgę na kapłana. Na jego mszy świętej prymicyjnej w Grucie pod Grudziądzem obecny był ks. Alfons Mańkowski, uczony i sztandarowa postać w Towarzystwie Naukowym w Toruniu.



Pomnik ks. Łęgi w Postolinie z 2010 r., fot. W. Bielecki.

W początkach kwietnia 1914 r. ks. Władysław Łęga został mianowany wikarym w Szczuce pod Brodnicą. Z przekazów źródłowych wiadomo, że po kryjomu uczył języka polskiego i uświadamiał młodzież. Pierwsza wojna światowa przerwała pierwszy okres życia młodego kapłana. Jako obywatel Rzeszy Niemieckiej został powołany do armii niemieckiej. Po przeszkoleniu był sanitariuszem w szpitalu garnizonowym w Gdańsku. Kolejno został wysłany na front wschodni, gdzie był sanitariuszem przy X Armii. Następnie objął obowiązki kapelana wojskowego. Wiosną 1916 r. został zdemobilizowany. Ks. W. Łęga objął jako wikary parafię w Grucznie pod Świeciem. W tym czasie rozwijał swoje zainteresowania naukowe. Wiosną 1917 r. ponownie powołano ks. W. Łęgę do armii niemieckiej. Początkowo pełnił obowiązki kapelana w szpitalu garnizonowym w Grudziądzu, a następnie jako sanitariusz przebywał na froncie francuskim, gdzie latem 1918 r. dostał się do niewoli amerykańskiej.

W obozie jenieckim we Francji ks. Władysław Łęga nieustannie podkreślał swoją polskość. W rezultacie w maju 1919 roku został przyjęty do Armii Hallera. Ponownie objął obowiązki kapelana wojskowego. Jeszcze w 1919 r. wziął udział w szlaku bojowym 49 Pułku Piechoty Strzelców Kresowych na froncie ukraińskim.

Wiosną 1920 r. ks. Władysław Łęga na własną prośbę został przeniesiony na Pomorze w związku z zbliżającym się terminem Plebiscytu na Warmii, Mazurach i Powiślu. O jego osobę zabiegał Warmiński Komitet Plebiscytowy. Został szefem działu statystycznego przy Komitecie Plebiscytowym w Sztumie. Brał także udział w działalności agitacyjnej. Przemawiał na wiecach w Cygusach, Koźlinku, Nowym Targu, Postolinie i w Sztumie. Plebiscyt z 11 lipca 1920 roku, jak wiadomo, zakończył się klęską Polaków. Wtedy to wojska bolszewickie podchodziły już pod Warszawę. Jedynie lepsze wyniki w Plebiscycie uzyskano na Ziemi Sztumskiej. Do końca lipca 1920 r. ks. W. Łęga pozostał w Sztumie.

Klęska Polaków w Plebiscycie na Warmii, Mazurach i Powiślu, odcięła ks. Władysława Łęgę kordonem od stron rodzinnych. Warto podkreślić, że w okolicach Sztumu podjął on badania etnograficzne. Po powrocie z Powiśla zdążył na krótko powrócić w szeregi Wojska Polskiego. Na stałe otrzymał przydział kapelana wojskowego na Pomorze.

Okres II Rzeczypospolitej ks. Władysław Łęga spędził głównie w Grudziądzu. Był starszym kapelanem w Centrum Wyszkożenia Kawalerii i został również proboszczem parafii wojskowej. Przechodził kolejne szczeble awansów wojskowych, dochodzących nawet do rangi podpułkownika. Udzielał się na rzecz społeczności lokalnej w Grudziądzu. M.in. był wieloletnim prezesem Pomorskiego Towarzystwa Krajoznawczego oraz współzałożycielem Towarzystwa Historycznego w Grudziądzu.

W okresie międzywojennym ks. Władysław Łęga rozwinął swoje zainteresowania i pasję naukowe w dziedzinach archeologii, historii i etnografii. Już w 1920 r. zapisał się na studia w Uniwersytecie Poznańskim. Pod kierunkiem prof. Józefa Kostrzewskiego studiował archeologię, a u prof. Jerzego Bystronia etnografię z etnologią. W 1928 r. ks. W. Łęga uzyskał doktorat filozofii przedstawiając dysertację pt. „Kultura Pomorza we wczesnym średniowieczu na podstawie wykopalisk”. Pracę tę określa się jako jego największe dzieło życia. To pionierskie dzieło zostało wysoko ocenione przez specjalistów. Potwierdziło ono rodzimy, słowiański rodowód kultury materialnej na Pomorzu.

Ksiądz Władysław Łęga już w 1912 r. nawiązał bliską współpracę z Towarzystwem Naukowym w Toruniu (TNT). W 1923 r. wybrano go do nowego zarządu TNT jako redaktora wydawnictw. Wygłaszał też okolicznościowe wykłady. W sumie do r. 1939 r. ks. dr W. Łęga zaliczał się do elity Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Sumiennie wywiązywał się z obowiązków redaktorskich. Wiele jemu zawdzięczają „Zapiski” TNT. Miał duży udział w reaktywowaniu i umocnieniu Wydziału Historyczno-Archeologicznego TNT. W 1936 r. objął obowiązki wiceprezesa Rady tego Wydziału. Ks. W. Łęga nawiązał też współpracę z Instytutem Bałtyckim. Dodajmy, iż Instytut odegrał kapitalną rolę w badaniach pomoroznawczych i popularyzacji wizji Polski Morskiej.

W latach 30. XX wieku ks. dr Władysław Łęga kontynuował swoje zainteresowania krajoznawcze i naukowe. Na terenie Pomorza Gdańskiego, Powiśla i Kociewia, przebadał ok. 80 wsi. Wykazał w nich słowiańskość i polskość Pomorza. Wyniki swoich badań publikował w czasopismach naukowych i bardziej popularnych. W 1933 r. opublikował pracę etnograficzną pt. „Ziemia Malborska”. W ramach zainteresowań krajoznawczych wydał dwa przewodniki po Grudziądzu. Opublikował też tomik wierszy pt. „Z pomorskich łąnów”, który zadeedykował swoim rodzicom!

W 1939 r. ks. dr Władysław Łęga jako kapelan wojskowy wziął udział w walkach obronnych Armii Pomorze. Okres wojny i okupacji (niemieckiej i radzieckiej) przeżył pomiędzy Lwowem i Tarnowem. W podziemiu kontynuował prace nad historią gospodarczą Pomorza.

Po zakończeniu wojny, ks. dr Władysław Łęga powrócił na Pomorze. Po krótkim pobycie w Radzynie Chełmińskim, od listopada 1945 roku na stałe osiadł w Sopocie. Został administratorem parafii Najświętszej Marii Panny „Gwiazda Morza” w Sopocie. Był także od 1947 r. dziekanem gdańskim. Aż do śmierci pełnił funkcję konsultanta diecezjalnego.

W latach 1945-1960 ks. dr Władysław Łęga kontynuował swoje prace naukowo-badawcze. Dużo w tym czasie też pisał. Nie stronił od publikacji naukowych i popularnych, także w prasie codziennej. Działal w towarzystwach naukowych Trójmiasta. W 1949 r. ogłosił znakomitą pracę pt. „Obraz

gospodarczy Pomorza Gdańskiego w XII i XIII wieku”. Jej rozwinięciem i dopełnieniem była praca wydana w 1956 r. pt. „Społeczeństwo i państwo gdańsko-pomorskie w XII i XIII wieku”. W publikacjach tych autor udowadnia słowiański charakter Pomorza Gdańskiego i polski charakter administracji państwowej tych ziem. W 1958 r. ks. dr W. Łęga zdążył opublikować „Legendy Pomorza”. Po śmierci autora ukazały się dwie kolejne ważne i twórcze publikacje: „Okolice Świecia – Materiały etnograficzne” (1960) i „Ziemia Chełmińska” (1961), stanowiące podsumowanie jego dotychczasowych wieloletnich badań terenowych. W pracach tych ukazywał opis całokształtu kultury materialnej, społecznej i duchowej. Ks. dr. W. Łęga pozostawił również po sobie „Materiały do paleoetnografii ziem polskich” oraz „Obrazki z Powiśla i Warmii”. Pierwszą z tych prac zdążył on zreferować na posiedzeniu Gdańskiego Towarzystwa Naukowego (GTN).

W 1959 r. w Gdańsku uroczystość obchodzono 70-lecie urodzin i 40-lecie pracy naukowej ks. dr Władysława Łęgi. Z tej okazji m.in. dedykowano jemu tom I publikacji archeologicznej pt. „Gdańsk wczesnośredniowieczny”. W tym czasie pełnił on funkcję prezesa Oddziału Gdańskiego Polskiego Towarzystwa Archeologicznego i wiceprezesa Oddziału Gdańskiego Polskiego Towarzystwa Historycznego. Przewodniczył też Komisji Archeologicznej GTN.

Władysław Łęga zmarł 2 sierpnia 1960 r. w Sopocie w wieku 71 lat. Dane mu było żyć w trzech różnych epokach historycznych (zabór pruski, II Rzeczpospolita, PRL). Prawie całe swoje życie poświęcił archeologii, etnografii i historii Pomorza. Położył kapitalne zasługi dla dziedzictwa kulturowego Pomorza! Niewątpliwie ks. dr. W. Łęga zaliczany jest do najwybitniejszych znawców średniowiecznego Pomorza.

Jerzy Kosacz

Franek

Oni są wśród nas. Codziennie mijamy ich, rozmawiamy z nimi, lecz nie każdy z nas wyczuwa ich pobłażliwość wobec naszej gonitwy za codziennym byle czym. Zazwyczaj przyjaźnie uśmiechają się ustępując nam miejsca, które jest im należne choćby z racji wieku. Bywa, że pospiesznie mijamy ich niczym przeszkody na naszym trakcie. Oczywiście, wszyscy żyjemy w tym samym jedynym przypisanym nam realnym świecie, jednak nie mam już takiej samej pewności, czy towarzyszące nam poczucie upływającego czasu dotyka nas jednakowo. Moje znajomości i przyjaźnie niekiedy przenoszą mnie w dość odległe rejony. Bywa, że te podróże wielce mnie wzbogacają. Zwłaszcza w bliższych kontaktach, niekiedy wielce niespodziewanych.

Żaden film nie zastąpi osobistych świadectw przeżyć, i wspomnień przekazywanych twarzą w twarz. Dostałem tego w skromnej kuchni w mieszkaniu pegeerowskiego bloku w Zajeździe, gdzie nie raz podejmowała mnie tam rzeczywiście niebywała para.

Wśród swych rozlicznych zainteresowań mam szczególne hobby wnikania w świat innych ciekawych ludzi i zbierania ich losów. Mam już ich całą kolekcję. Codziennie spotykamy, lub tylko mijamy zwykłych szarych ludzi, którzy swym życiorysem mogliby wypełnić scenariusz niejednego przy-



Pan Franek, fot. J. Kosacz.

godowego serialu, a na pewno obdzieliliby swymi przygodami wielu. Żyją wśród nas ludzie o niebywałych życiorysach. Nie zawsze jednak udaje nam się wejść do ich świata.

Pod koniec lat osiemdziesiątych, szukając sobie nowego miejsca na Ziemi, trafiłem tu, gdzie dotąd mieszkam. Zmierzając piechotą z Elbląga napotkałem na poboczu drogi stado owiec wiedzione przez starego pastucha. Zanim życzliwie wskazał mi dalszą drogę, uprzejmie poinformował mnie jeszcze o najbliższym geesowskim punkcie zaopatrzenia tutejszej ludności, w to co jej tu najbardziej potrzebne czyli: „piwo sprzedają do szesnastej”. Z tego spotkania utrwaliłem sobie przyjazne odnośnienie się i imię pegeerowskiego pastucha – Franek.

Dziś na tym obgryzionym przez „frankowe” owce polu stoi willowe osiedle, a ja mieszkam trochę dalej, w lesie na wzgórzu.

Franek mieszka z rodziną w zupełnie przyzwoitym pegeerowskim bloku z końca lat 70-tych, a ja w zabytkowej ruinie z późnego baroku, na odległość znaków świetlnych, jak to osiedlano się tu za czasów krzyżackich.

Gdy już nadchodzi jesienny opad liści (listopad), to mając pomiędzy sobą odsoniętą przestrzeń, już po zmroku, z odległości ok. 200 m dajemy sobie z Frankiem umówione znaki, gasząc i zapalając światło. Rzecz w tym, że zaprzyjaźniłem się z nim, który jeszcze przed emeryturą awansował z pastucha na palacza w kotłowni, którą opalał głównie zabytkową stolarką wyrąbywaną z mojego przyszłego domostwa, co czynił na wyraźne polecenie dyrekcji.

To nie ten awans, ale nasza komitywa pozostała solą w oku pozostałych aborygenów nawet po tylu latach. Do dziś mają mi za złe, jako miejscowemu „wykształciuchowi”, moje spoufalanie się ze starym pastuchem.

Pan Franek jest niezwykle grzecznym i uczynnym sąsiadem na pegeerowskim osiedlu. Zanim przed osiemdziesiątką przeszedł na emeryturę, jego uporczywą pasją było zmienianie przyblokowych wysypisk śmieci w kwitnące ogródki. Taką przybrał sobie powinność wraz ze swoją cudzoziemską żoną.

Dzięki ciężkiej pracy tej pary starych, niestety często lekceważonych przez otoczenie ludzi, teraz wokół bloków są kwietniki, rabatki i grilowiska, gdzie palą kielbasy ci, których śmiecie uprzątnął pan Franek.

Już na początku wielkiej wojny w 1939 pana Franka wziął do niewoli pan Hitler. Wsadził go do obozu w Austrii, gdzie wprawdzie było znośnie, ale to Frankowi nie pasowało. Uciekał przez zasieki, góry, wąwozy, strumienie i inne atrakcje krajobrazowe do najbliższej Szwajcarii. Uciekał kilka razy i zawsze neutralni Szwajcarzy ciupasem go odstawiali z powrotem na esesmański odwach.

Na Szwajcarów nie narzeka, bo za każdym razem karmili do syta, dawali ciepłe ciuchy i papierosy. Żartuje sobie, że to tylko z powodu papierosów robił te ucieczki. Wyzwolony służył w wojsku polskim na Zachodzie, a po wojnie, gdy jego rodzinne strony upodobał sobie pan Stalin, to z desperacji wstąpił do Legii Cudzoziemskiej.

Po straceńczej marszrucie przez Afrykę trafił do Wietnamu, gdy jeszcze przed Amerykanami, w latach 50-tych, swoje interesy załatwiali tam Francuzi. Walczył pod Dien Bien Phu. Prawie nie do wiary, ale w tym obcym azjatyckim kraju, Polak samotnie dezerteruje z Legii i podejmuje straceńczą opiekę nad gromadą bestialsko traktowanych tubylców. Pan Franek nie jest człowiekiem skorym do zwierzeń i w otoczeniu swym uchodzi wręcz za niemowę. Z Legii wyniósł jednak nawyk „parlowania” przy kielichu, czemu wypadało mi tylko sprostać. Moja zachłanność na jego opowieści kończyła się wspólnym śpiewaniem niepoprawnych pieśni z Legii, których mnie nauczył. Siedzieliśmy więc w przepięknym bujnym wiekowym parku, którego przyszło mi być czasowym włodarzem i straszyliśmy tamtejsze ptactwo wcale nie pięknym śpiewem np. „Avanti popolo, bandera rosa”. Nasze żony, aczkolwiek „niekompatybilne” strzegły nas w tym czasie solidarnie przed zaskoczoną publicznością podglądającą nas zza krzaków.

W Wietnamie, nad Mekongiem Franek opiekował się grupą wietnamskich starców, kobiet i dzieci. Całą tą bandę żywił i bronił przed prawdziwymi bandami i przed Francuzami. Nie podejmuję się zrelacjonowania tej epopei w całym jej dramatyzmie.

Drogą dookoła świata wrócił do Polski z wietnamską żoną – panią Thien. Dzisiaj są parą cichych staruszków, schodzących każdemu z drogi. Nikt, nawet z najbliższych sąsiadów nie zna ich historii, a młodzież jak to na takich osiedlach bywa, nie znajduje dla nich szacunku. Okoliczni dziwią się tylko, że pomykam tam co jakiś czas i długo gadam

ze starym pastuchem, a nie z nimi, choć jak mnie zapewniają, niektórzy z nich mają nawet maturę.

Pan Franek zbliża się do dziewięćdziesiątki. W tych dniach zabrano go do szpitala.

W oczekiwaniu na to co nieuniknione notuję te zapiski o nim i myślę o listopadzie. Jesień odsłoni nam widok na nasze odległe okna. Choć będę wypatrywał, mogę już nie zobaczyć zapraszających mnie znaków świetlnych czynionych przez Franka.

Wiesława Rynkiewicz-Domino

Baśniowy świat Katarzyny Smeji-Skulimowskiej

Droga artystyczna Katarzyny Smeji-Skulimowskiej to krzepiący przykład na to, iż w każdym momencie życia można rozpocząć realizację młodościowych marzeń. Po latach pracy, jako tzw. plastyk na etacie (m.in. w Teatrze Miniatura w Gdańsku, Teatrze Muzycznym w Gdyni, w Galerii EL w Elblągu), pani Katarzyna postanowiła rzucić to wszystko i zająć się tym, o czym marzyła od dziecięcych lat – własną twórczością plastyczną. I tak kilkanaście lat temu powzięty zamiar realizowany jest z imponującą konsekwencją, w czym wspiera ją mąż Piotr, pierwszy odbiorca, krytyk oraz zachłanny kolekcjoner prac żony. Katarzyna Smeja-Skulimowska uprawia techniki malarskie: temperę i olej, sięga także do pasteli. Niezależnie od tematyki, obrazy artystki zawierają charakterystyczny klimat. Przedstawiają nieco surrealistyczny świat ludzi, odrealniony pejzaż, baśniowe impresje. To co niemożliwe staje się realne. Jako osoba o zdecydowanej zmysłowej wrażliwości i bogatej wyobraźni poszukuje natchnienia poprzez obserwacje świata, zarówno tego odnajdywanego w naturze, jak i odbieranych ulotnych wrażeń.

Prace artystki pozwala ją scharakteryzować jako mistrzynię komponowania nastroju, niespiesznie snutej opowieści na temat własnego, wyimaginowanego świata. We wczesnych pracach są to głównie tempery i pastele. Zapełniające je postacie powtarzają się w kolejnych kompozycjach, ujęte w nowych sytuacjach, stale kręcą się po jakimś małym miasteczku, pobliskich łąkach, zadowolone z siebie i otoczenia. Bardzo łatwo większość wczesnych obrazów sklasyfikować można jako ilustracje do baśni. Ale jakich? Zapomnianych, może zasłyszanych, ale najpewniej nigdy nie napisanych. Ilustracje sprawiają wrażenie łapanych od niechcienia impresji, powidoków gdzieś spod powiek snu i leniwych rozmarzeń. Wydaje się, że znamy te opowieści, a właściwie znaliśmy je kiedyś – przed wielu laty. To tylko wrażenie. Artystka w tych niby-ilustracjach przywołuje świat dzieciństwa (bohaterami są mali ludzie – stąd wrażenie rozpoznania), który tak naprawdę nigdy i nigdzie nie istniał, ale do jakiego, marząc o nim, chciałoby się na chwilę powrócić. Polegiwanie na łące, spacerowanie księżycową nocą po oswojonym mieście – pewnie tak na nowo urządzilibyśmy dzieciństwo, gdyby było nam to dane.

W olejnych obrazach dziecięcych bohaterów, zastępują dorośli. Ich postaci są jednak także odrealnione. Dorośli – niedojrzali, niezbyt urodziwi, ale ich brzydota nie razi, taka jest swojska i krzepka. Zajęci są ważnymi,

małymi sprawami. Np. w kompozycjach: „Nauczyciel”, „Mędrcy” bohaterowie nad czymś tam deliberują, jednakże patrząc na nich, mamy pewność: prochu nie wymyślą. Może dziurę w płocie trzeba naprawić? „Anioł” przysiadł na chwilę wśród licznej gawiedzi. Koloryt tytułowego obrazu czerwony. Apokaliptyczny? A skądże, to Anioł Stróż przyszedł pogadać o zwyczajnych sprawach. W niebo mierzą drabiny. Nie wiadomo, czy mają służyć zastępom niebieskim – skrzydła nieco wyliniałe nie niosą tak lekko jak kiedyś, a może to jest ten prosty sposób wejścia do nieba, po ludzku, po drabinie, o czym się teologom nie śniło?

Artystka przyznaje się do fascynacji malarstwem Hieronima Boscha, Petera Breughla, ale jej malarstwo zmierza ku innym emocjom: wyciszenia, łagodności, spokoju. W malarstwie Holendrów kipi od znaczeń ostatecznych i refleksji na temat kondycji człowieczej przygnębiających. Nasza bohaterka nie chce straszyć i chyba jej kompozycje nikogo nie przerażają. Malarstwo Smeji-Skulimowskiej pełne podtekstów ma raczej przywiązać widza do siebie akceptacją świata, afirmacją urody jego najprostszych elementów, wreszcie zmysłowym ciepłem formy, jak ukochany fotel: trochę *démodé*, ale tylko w nim można wygodnie odpocząć po trudach codzienności. „Bardzo bym chciała - mówi Pani Katarzyna, aby moje obrazy nie tylko się podobały, ale żeby ich emocjonalny ładunek zawarty w formie, kolorze i temacie przywijał. Żeby osoba posiadająca mój obraz, zmieniająca mieszkanie lub wyjeżdżająca gdzieś, chciała go ze sobą zabrać”. Niech jednak nikogo nie zwodzi wielokrotnie tu podkreślana tkliwość autorki dla świata ludzi, architektury oraz pewna łatwość odbioru jej prac. Wynika ona z posiadanych przez nią dużych umiejętności rysunkowych, jej wyczulenia na kolor i klasycznie pojmowaną kompozycję.

Prace Katarzyny Smeji-Skulimowskiej mają już swoich wielbicieli i wiele z nich znalazło się w zbiorach prywatnych w Polsce, Szwecji, Finlandii, Niemczech i na Ukrainie, kilka - w kolekcjach muzealnych oraz w galeriach w kraju i zagranicą. Pochodzi ze Sztumu, ale od wielu lat mieszka i tworzy w Elblągu. Jest absolwentką Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Gdyni-Orłowie, studiów pedagogicznych w Elbląskiej Uczelni Humanistyczno-Ekonomicznej oraz edukacji plastycznej na wydziale sztuki Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Zajmuje się arteterapią, scenografią młodzieżowych teatrów plastycznych, projektowaniem wnętrz i reklamą. Jest komisarzem wystaw plastycznych, w tym integracyjnych, które łączą środowisko artystów z osobami niepełnosprawnymi. Od wielu lat prowadzi zawodowo warsztaty malarskie na Uniwersytecie Trzeciego Wieku w Elblągu oraz zajęcia plastyczne dla młodzieży w Młodzieżowym Domu Kultury w Elblągu, gdzie przygotowuje młodych ludzi do podjęcia studiów na ASP. Wspomaga działalność klubów charytatywnych, przekazując własne prace na aukcje charytatywne, organizowane przez Elbląski Klub Rotary,

Lions Club, oraz na aukcje organizowane przez Młodzieżowy Dom Kultury w Elblągu. Uczestniczy w plenerach malarskich, a ostatnio nawet zajęła się ich organizowaniem. Plenery, niektóre tak egzotyczne – jak na Krymie – to artystyczne podróże, z których po powrocie z ulotnych wrażeń, intensywnie wówczas oglądanego świata, szkiców – powstają te piękne, przepojone łagodnym nastrojem i akceptacją świata obrazy. Swoje obrazy prezentowała na wielu wystawach indywidualnych (Elbląg, Olsztyn, Sopot, Płock, Warszawa, Krym) i zbiorowych w kraju i zagranicą (Düsseldorf, Leer, Płock, Stare Jabłonki, Chorzów, Kadyny, Elbląg).

Andrzej Wiłun

„Celuloza” z pamięci cz. III

O betonowaniu i co ma klin do tego

Przystępując do kolejnego odcinka moich wspomnień z Budowy Zakładów Celulozowo-Papierniczych, zwanych dalej skrótowo „Celulozą”, w Kwidzynie, znalazłem się w pewnym punkcie mej opowieści, w którym nieodzowne staje się podanie czytelnikowi nieco informacji ogólnych, dotyczących budownictwa w ówczesnej Polsce, jego struktur organizacyjnych, fachowej nomenklatury itp. Będę czynił to poprzez dygresje, wkomponowane w treść mego opracowania. Jest to konieczne dla lepszego zrozumienia opisywanych przeze mnie wydarzeń.

Każde betonowanie na budowie stanowi zwieńczenie kolejnego etapu wznoszenia obiektu budowlanego. Spotkałem się z powiedzeniem, że każdy dzień na budowie bez betonowania jest dniem straconym. Jest to prawdą, bo dopiero wylanie betonu, w przygotowane wcześniej szalunki, umożliwia przystąpienie do wznoszenia kolejnej konstrukcji obiektu, wspierającej się na tej już zabetonowanej. Jednocześnie pozwala to na zwolnienie elementów szalunkowych, które można już wykorzystywać do konstrukcji następnych. Ilość i częstotliwość przyjmowanego betonu na budowie stanowi pewien wyznacznik dla określenia jej postępu, jak również wszelkich wskaźników ekonomicznych. Stąd każde kierownictwo budowy dąży do tego, by przyspieszać wszelkie roboty, poprzedzające betonowanie, jeśli chodzi o wznoszenie tzw. stanów surowych obiektów. Gdy szalunki gotowe, każdy dzień zwłoki w betonowaniu znajduje odbicie w kształtowaniu się parametrów ekonomicznych obiektu budowlanego.

Na budowie „Celulozy” w Kwidzynie, gdzie kooperowało ze sobą niemal 40 przedsiębiorstw budowlanych, został stworzony centralny tzw. „węzeł betoniarski”, którego właścicielem było Gdańskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego, jako generalny wykonawca zadania inwestycyjnego. Generalny wykonawca na tak dużym placu budowy, to takie przedsiębiorstwo, które oprócz wykonawstwa własnymi siłami, koordynuje pracę pozostałych firm podwykonawczych, w porozumieniu z inwestorem, czyli najczęściej zleciennodawcą. Mogą być też generalni wykonawcy bez sił własnych i to są tacy, którzy nie dysponują środkami dla bezpośredniego wykonawstwa (siła robocza, sprzęt i środki transportu, materiały) i ich rolą jest wyłącznie koordynacja wykonawstwa, ale na budowie „Celulozy” z takim przypadkiem nie mieliśmy do czynienia.

Jeśli chodzi o węzeł betoniarski, to istniał jeszcze taki przy Gdyńskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego, ale ten był praktycznie tylko dla potrzeb tej firmy i sporadycznie mógł wspomagać ten centralny. Tutaj muszę nadmienić, że gdyńska „Przemysłówka” była tzw. kompleksowym wykonawcą, czyli o jeden szczebel niżej w hierarchii w stosunku do generalnego wykonawcy. W praktyce polegało to na tym, że ów „generalny” podzielił obszar całego przedsięwzięcia inwestycyjnego na jakby działki i koordynujący robotami na nich byli mianowani kompleksowymi. Wszystko po to, by można było łatwiej ogarniać całość zadania. Oprócz gdyńskiej „Przemysłówki”, na placu budowy było jeszcze kilku innych takich kompleksowych.

Niewiele mogę poświęcić tutaj miejsca samej specyfice pracy na wspomnianym węźle betoniarskim, bo na co dzień nie byłem zmuszony do głębszego wnikania w jej problematykę, ponieważ znajdowałem się zawsze po stronie odbiorcy produktów. Mogę tylko wspomnieć, że okazjonalne pobyty na owym węźle wprawiały mnie w stan przygnębienia. Potworne zapylenie. Resztki rozpylonego cementu wraz z rozjeżdżonym kruszywem na placu tworzyły swoistą mieszaninę, w okresie bezdeszczowym wdzierającą się we wszelkie zakamarki ludzkiego ciała, wraz z drogami oddechowymi, a po opadach przybierającą postać wszechobecnej błotnisto-cementowej mazi. Konstrukcje urządzeń samego węzła obrosnięte były wielowarstwową powłoką pyłu cementowego. W tym wszystkim pojazdy i sprzęt, krążące wokół silosów z cementem i hałd kruszywa, podążające z „ukręconym” betonem w kierunku obiektów budowlanych, mieszające się z tymi powracającymi, by podstawić się pod leje urządzeń po następnej porcję „urobku”. Wspomniany stan mojego przygnębienia mieszał się z doznaniem, jakich może dostarczać krajobraz z księżycą.

Transport betonu odbywał się w zdecydowanej większości pojazdami marki „Jelcz”. Były to samochody tzw. „łamane”, nienajlepiej spisujące się w ciężkich warunkach terenowych. Trudne do manewrowania na prowizorycznych podjazdach do wyładunku. Silniki słabe, co negatywnie odbijało się na ich sprawności, zwłaszcza w tej najwcześniejszej fazie budowy, gdy tymczasowe i kiepskie drogi w większości stanowiły wielką niewiadomą dla kierowcy. Nominalnie mogły one zabrać jednorazowo 6 m³ betonu, ale to była złudna teoria. Pamiętam awantury, jakie odbywały się pomiędzy kierownictwem węzła betoniarskiego i kierownictwami budów. Ci drudzy twierdzili, że nie otrzymują pełnych 6 m³, bo pojemność nominalna zbiorników do betonu została na wskutek pozostawiania w nich resztek po niedomyciu jego wnętrza już tylko wartością teoretyczną. Poza tym stan dróg był taki, że w trakcie dojazdów część betonu była najzwyczajniej gubiona. Po wielkich kłótniach zawarto kompromis i ustalono ich zdolność ładunkową na 5,75 m³. Były jeszcze betoniarki na podwoziu „Stara”, ale te były zdecy-

dowanie słabsze, mimo że na podwoziu sztywnym. Te jednorazowo mogły zabrać nominalnie z m³, lecz pomniejszano tą zdolność ładunkową z tych samych powodów, co „Jelczom”.

Powszechnie wszystkie te pojazdy nazywano potocznie w nomenklaturze budowlanej „gruszkami” i pod taką nazwą przeszły one do slangu budowlanego niemal oficjalnie. Należy tutaj dodać, że stan techniczny tych pojazdów, jak i ich wygląd estetyczny, prezentował się katastrofalnie i ich poruszanie się było możliwe w praktyce po wewnętrznych drogach zakładowych, na których milicyjne służby ruchu nie ingerowały.

Przypominam sobie taką anegdotyczną historię, opowiadaną mi przez byłego pracownika jednego ze zjednoczeń. Ponieważ znał język niemiecki, musiał tłumaczyć korespondencję tej instytucji, wysyłaną do niemieckich partnerów w byłej NRD (w ramach współpracy RWPG). Ponieważ musiał się posłużyć nazewnictwem tych pojazdów, przetłumaczył to jako „gruszki do betonu”, co w niemieckiej wersji brzmiało „Betonbirne”, a to z kolei mogło być przez Niemców dwojako zrozumiane, więc oni wybrali tą bardziej zabawną możliwość i śmiali się, że u Polaków na drzewach rosną „betonowe gruszki”. Dobrze, że te drzewa nie były wierzbami, bo by tych Niemców od zawłóści języka polskiego rozboleła głowa.

Jeśli były problemy z dojazdem do miejsca wyładunku lub trzeba było podać beton na wysokość, stosowano pompy firmy Stetter; najczęściej również na podwoziu „Jelcza”. Ich parametry techniczne sprawiały wrażenie imponujących, bo opiewały możliwość podania betonu na odległość do 200 m i wysokość do 80 m. Jednak, jak wiele w tamtych czasach, stanowiło to raczej przedmiot pobożnych życzeń. W rzeczywistości, w praktyce, nie zdarzyło mi się spotkać, aby ta pompa przekroczyła oba te parametry poza 20 m. Mimo tego kierownictwa niemal biły się o uwzględnienie ich zapotrzebowania na nią. Po prostu wykonanie podjazdu sprawiałoby niewspółmiernie więcej kłopotów. Szczególnie istotne tutaj były ilości zamawianego betonu, których bez pompy nie można byłoby przetransportować w okresie wymaganym technologicznie. W początkowej fazie budowy, gdy było wiele robót w tzw. stanie surowym, często były to ilości ponad 100 m³, które należało „wlać” bez możliwości stosowania kilkugodzinnej przerwy.

Przy tak dużej ilości firm podwykonawczych różnego rodzaju priorytety w dostawie betonu z węzła na budowy, stawiały dyspozytora w kłopotliwej sytuacji. Często bywało tak, że jeśli jakieś kierownictwo zadysponowało przyjęcie betonu w ilości 100 m³ i ponad, oferowano mu, by przyjął tę ilość w niedzielę lub wolną sobotę. Po prostu w dniach ustawowo wolnych od pracy obsłudze węzła łatwiej było skoncentrować się na jednym odbiorcy betonu. W pozostałych dniach roboczych wielość zapotrzebowań poważnie utrudniała przyjęcie optymalnych rozwiązań.

Trzeba jeszcze tutaj wspomnieć o pewnym istotnym ekonomicznym aspekcie. Koszt pracy owej pompy był relatywnie wysoki i należało rozważyć, by jej czas wynajęcia rozkładał się na stosunkowo dużą ilość przyjętego betonu. Szefowie firm próbowali to mieć pod kontrolą. Z drugiej strony przydzielenie pompy w tygodniu roboczym gwarantowało otrzymanie równocześnie betonu w tym samym czasie, bo dostawa do niej miała niepodważalny priorytet. Byli jednak „niesforni” kierownicy budów, którzy stosując przeróżne sztuczki potrafili zamówić i otrzymać „Stettera”, po czym „skryć go w krzakach”, tylko po to, by zagwarantować sobie dostawę, nawet tę znacznie poniżej magicznych 100 m³. Bywały też często betonowania w godzinach nocnych. Te wymagały szczególnego przygotowania, bo należało plac budowy dobrze oświetlić, co też nastroczało sporo problemów, przy braku wszystkiego, czego dzisiejszy czytelnik nie jest w stanie już sobie wyobrazić.

Czytelnika tego opracowania z pewnością wprowadza w stan zniecierpliwienia jego bieg, gdy w tytule jest mowa o klinie. Więc niezwłocznie przystępuję do zamknięcia tej luki w mojej opowieści. Zapewne ci z czytelników, którzy zetknęli się z serialem „Czterdziestolatek” przypominają sobie jeden z jego odcinków pt. „Gra wojenna, czyli na kwaterze”. W końcowej jego części bohater filmu, występujący w scenerii zbliżonej do tej panującej na budowie „Celulozy”, ale wzbogaconej jeszcze pełnieniem przez niego służby wojskowej w rezerwie, wpada w towarzystwo kolegów, którzy go wywołują w środku nocy z sypialni i pod pozorem zaszyfrowanego rozkazu pod kryptonimem „Bankiet” uprowadzają na dancing suto zakrapiany w restauracji. W następstwie tej akcji następują kolejne wydarzenia pod kryptonimem „Klin”, powodując pewną dezorientację bohatera serialu.

Otóż sceny z tego serialu stanowiły pewne kalki wydarzeń objętych ówczesną radosną twórczością wokół placów budów, gdy „klin bywał klinem zabijany”. Zapamiętałem sobie jedno z nich, gdy, podobnie jak bohater serialu inż. Karwowski, byłem w już po kilkukrotnym wywołaniu kryptonimem „Bankiet”. Czułem, że zbliżyłem się już do granicy, której nie powinienem przekraczać. Niestety, zaprzyjaźniłem się wtedy z pewnym starszym sporo ode mnie kolegą z pracy o nobliwym wyglądzie, który będąc rozwiedzionego, inicjował bankiety, nie stosując nawet szczególnych kryptonimów. Jego stan cywilny i nieograniczona stąd swoboda nie wymuszały tego na nim. W dodatku cieszył się sporym zaufaniem mojej małżonki. Gdy próbował mnie namawiać na kolejny bankiet, ja, wykręcając się od niego, próbowałem bronić się argumentacją obawy przed konsekwencjami, grożącymi mi ze strony mojej partnerki życiowej, tracącej cierpliwość, dla mojej niesforności. Kolega nieco posmutniał i znikł na dwie godziny. Gdy powrócił, rozwinął przywiezione zaopatrzenie w artykuły spożywcze, a ja od razu poznałem, czyimi rękami to było przygotowane. Pytam go: – Marian, co ty? A on na to:

– Zameldowałem twoje małżonce, że ty mnie przysłałeś, by ją powiadomić o nocnym betonowaniu i prosisz ją o wałówkę, którą ja Ci przekażę. Masz całą noc wolną, lepszego glejtu nie możesz sobie zapewne wyobrazić. Trochę szalony był to okres, ale jakoś przetrwałem go tak, że następnym takim okazjom nauczyłem się odmawiać. Były jednak i wydarzenia groźniejsze, powiązane z betonowaniem, a może bardziej z tkwiącym w ich źródle „klinem” i potrzebą jego ciągłego „zabijania”.

Była sobota, załoga na budowie do 13:00. Trwa betonowanie, wkrótce fajrant, ale nie możemy go zakończyć, bo nie dojechała ostatnia gruszka. Dzwonię na węzeł betoniarski i dostaję informację, że kierowca został już dosyć dawno załadowany i wyjechał. Jednak na budowę nie dociera. Jeszcze w dodatku następuje awaria czekającej na niego pompy i już widzę, że będę musiał wylać ten beton na utwardzenie placu, bo bez pompy nic innego nie wymyślę. Zatrzymałem brygadę więźniów, którą dysponowałem na budowie, do wyładunku. Czekamy i ok. 13:30 zjawia się oczekiwany pojazd wraz z kierowcą w widocznym stanie „upojnym”. Budowa jest już opustoszała, jestem tylko ja ze skazanymi i owym kierowcą. Każę kierowcy dojechać do miejsca wyładunku, ale to okazuje się dla niego za trudne i utyka na błotnistym gruncie. Nie może wyjechać o własnych siłach. By odciążyć pojazd decydujemy się na rozładunek do taczek i dowiezienie nimi betonu do celu. Kiedy przystępujemy do tego, awarii ulega silnik napędzający obrót bębna gruszki. Całkowity bezruch. W tych okolicznościach nic już nie można zrobić. Pojazd z tym betonem tkwił tak do poniedziałku.

Do dzisiaj zachowałem w pamięci owego kierowcę, któremu groziło dyscyplinarne zwolnienie z pracy. W końcu zakończyło się to tym, że wziął miesiąc bezpłatnego urlopu i przy pomocy młota pneumatycznego wykuwał pracowicie całą pojemność gruszki. Można sobie wyobrazić ten miesiąc jego „fedrowania na przodku” w obudowie blaszanej. Wiem, że wkrótce zwolnił się z pracy. Spotykałem go przy różnych zajęciach, ale pracy kierowcy już się nie podejmował.

Każde betonowanie na budowie było swego rodzaju przeżyciem uzależnionym od tego, czy poprzedzające je roboty zostały wykonane właściwie. Ówczesne szalunki, w większości ze zwykłej tarcicy i kantówek, zawsze były pewnym eksperymentem dla cieśli, którzy je wykonywali. Szalunki przemysłowe, modularne nie były jeszcze w tak powszechnym użyciu i przedsiębiorstwa decydowały się na ich zakup w ograniczonym zakresie. Zresztą ich produkcja, najczęściej na licencji, nie pokrywała zapotrzebowania.

Z pewnym rozżaleniem i zazdrością spoglądam dzisiaj na place budów, kiedy nawet na małe obiekty, jak domy jednorodzinne, dla wylania betonu przyjeżdżają dwie gruszki z towarzyszącą im pompą. Załatwiają to w cią-

gu po pół godziny i ten zestaw jedzie na następną tej wielkości budowę. Z pewnością nie są to budowy priorytetowe, do jakich należało wznoszenie „Celulozy”.

Takie było ówczesne budowanie. Na przykład, zamówienia na materiały budowlane należało robić z trzymiesięcznym wyprzedzeniem, a i tak jako pierwsze z zamówionych przychodziły żelbetowe płyty dachowe, zalegające potem na placu budowy przez cały okres wznoszenia obiektu i komplikując komunikację na placu. To w jakiś sposób tłumaczyło, że te ówczesne place budów były tak wielkie, wcale nieadekwatne do wielkości wznoszonych na nich obiektów.

Pocieszające w tym jest to, że wreszcie dzisiejsza produkcja papieru toaletowego zbilansowała się z zapotrzebowaniem społecznym.

Jerzy Kosacz

Spotkanie w Rakowcu

Tegoroczny już dziewiąty zjazd Klubu Małej Ojczyzny Kwidzyńskiej odbył się tym razem w Rakowcu 18 czerwca 2011, w tamtejszej gościnnej posiadłości Janki i Zygmunta Krukowskich. Tradycyjne spotkanie zgromadziło grono trwale już zaprzyjaźnionych członków Klubu, których emocjonalny i sentymentalny związek wzmacnia również ich więź z ukochanym miastem, w którym pozostawili swą młodość.

Głównym tematem spotkania według programu były sprawy kwidzyńskiego Starego Miasta. Prelekcję wstępną wygłosiła dr Justyna Liguz kierownik Pracowni Regionalnej, stanowiącej placówkę naukową zgłębiającą przeszłość miasta i tworzącą przyszłe muzeum miasta Kwidzyn. Temu wystąpieniu towarzyszyła prezentacja ikonograficzna (skany fotografii, rycin i pocztówek) nieistniejącej już substancji Starego Miasta, jak i obraz znanej nam na co dzień nieciekawej współczesnej zabudowy tego fragmentu miasta, ostatnio poddawanego procesowi rekompozycji. (Zainteresowanych tematem odsyłam do „Prowincji” nr 1 (3) z 2011 r., w którym jest artykuł dr J. Liguz.)

Jak na każdym z naszych spotkań, najciekawsze okazały się relacje koleżanek i kolegów-swiadków historii miasta, do którego przybywali już od połowy 1945 roku. Wiele przedstawianych wydarzeń z tamtych czasów uwiarygodniła prelegentka, która znalazła ich odbicie w dokumentach znajdujących w archiwaliach kwidzyńskich. Dużo by o tym mówić, ale trzeba się uzbroić w cierpli-



Spotkanie Klubu Małej Ojczyzny Kwidzyńskiej w Rakowcu, fot. J. Kosacz.

wość, aż ukażą się naukowo udokumentowane publikacje na te tematy. (Pasjonatów powinna tu zaintrygować zapowiedź wglądu w kwidzyńskie archiwalia zdeponowane w Moskwie).

Jako amatora i pasjonata historii miasta, najbardziej zafascynował mnie dwugłos: naocznego świadka historii i znacznie młodszego historyka penetrującego archiwa. Helmut Kurowski, który w 1945 roku mieszkał przy Żelaznej, w kwartale ulic - gdzie zgromadzono ludność autochtoniczną. opowiadał, że obserwował obóz jeńców niemieckich pomieszczonych w zabudowaniach Rejencji (ZSZ nr 2). Mówił o oglądanych pochówkach tamtejszych jeńców na trawniku u zbiegu obecnej Katedralnej i Zamkowej Góry. Pewnego dnia wybuchł tam pożar i potem po tamtejszym obozie pozostał tylko wypalony czworobok byłej Rejencji. O prawdziwości tych zdarzeń mówiła dr Liguz, która znalazła dokumentację mówiącą o istnieniu tego obozu, o pożarze w nim, który przyniósł liczne ofiary wśród jeńców, oraz o pochówkach na skwerach pomiędzy Rejencją a obecnym kino-teatrem i w narożniku z ul. Zamkowa Góra. Znane są plany rysunkowe tamtejszych pochówków, natomiast nie ma żadnych informacji o dokonaniu ekshumacji z tych miejsc. Niemieccy jeńcy znajdowali się potem w majątku w Górkach, skąd brano ich do różnych prac w okolicy.

Uczestnicy spotkania w Rakowcu dzielili się swymi wspomnieniami z tamtych lat wnosząc do relacji interesujące detale. Szczególnie interesujące były opowieści maturzystów z roku 1949 i lat kolejnych. Nie mając osobistych doświadczeń z tamtych lat, wtrąciłem się do narracji z przytaczaniem historii zasłyszanych. Miedzy innymi opowiedziałem znalezioną na rosyjskim portalu historycznym relację sowieckiego żołnierza, który po utracie oka i nogi został w 1945 roku wypisany ze Szpitala Chirurgicznego Nr 1 w b. Gimnazjum Klasycznym przy dzisiejszym Placu Plebiscytowym na dalszą kurację w Rosji. Od tegoż starsziny Anoczkin zażądano w szpitalu w Moskwie, by przed przyznaniem mu inwalidztwa wojennego dostarczył on bumagę od lekarza, który mu nogę amputował. Ów Anoczkin opisał (w 2007 r.) rosyjskiemu dziennikarzowi swoją powrotną drogę jesienią 1945 roku z Moskwy do „germańskowo goroda Marienwerder”, gdy bez biletu i przepustek podążał do niego „pod prąd” masowo powracających do Rosji z wojny współtowarzyszy. Dotarł on do Kwidzyna na Flottwellplatz (Plac Plebiscytowy), w zwijającym się do ewakuacji szpitalu znalazł lekarza, który uprzednio zajmował się jego nogą i pobrał od niego stosowne zaświadczenie, umożliwiające otrzymanie renty inwalidzkiej. W r. 2007 roku opowiadał swoją historię dziennikarzowi odwiedzającemu go w Kazachstanie.

Większość opowiadań, którymi dzielono się na spotkaniu, dotyczyła jednak osobistych przeżyć, co wiele wносиło w odtwarzanie klimatu tamtych lat.

Burmistrz Andrzej Krzysztofiak zapowiedział praktyczne podjęcie tematu odbudowy kwidzyńskiego ratusza, po którym ostał się tylko kikut wieży na środku staromiejskiego placu. Rozważa się różne warianty jego odbudowy.

Przyjęto wniosek koleżanki Krystyny Gromek, która z zaangażowaniem lansuje pomysł, by nasze klubowe gremium podjęło się promocji idei „odbudowy kwidzyńskiego ratusza”. Użyty tu przeze mnie cudzysłów wynika z przy-

jętego przeze mnie założenia, że dokładna i wierna odbudowa ratusza jest przedsięwzięciem nieracjonalnym i nierealnym. Takim „reinkarnacją” unicestwionych budowli historycznych przeczy KARTA WENECKA, którą Polska ratyfikowała, i o czym przypomniałem zebrany dyskutantom.

Klub Małej Ojczyzny Kwidzyńskiej podejmie się raczej promocji i patronatu nad projektem, którego zwieńczeniem powinno być symboliczne uwiecznienie miejsca po byłym Ratuszu w Kwidzynie. Forma będzie sprawą fachowców, architektów i rezultatem oficjalnych konkursów.

Klub zajmie się także sposobami gromadzenia środków na przyszlą inwestycję (cegielki „papierowe”, ceramiczne, polbrukowe) oraz wglądem osób zainteresowanych i kompetentnych w realizację całego zamysłu. W swoim osobistym zamysle proponowałbym utrzymanie pozostałości ratuszowej wieży w znanym konserwatorom stanie „trwałej ruiny” z przeszkloną gablota we wnętrzu prezentującą makiety ratusza neogotyckiego, który tu stał w latach 1882-1945, jak i makiety poprzedniego ratusza w formie „quasi renesansowo-barokowej”, jaki tu stał uprzednio przez kilka wieków. Jest jeszcze myśl, by rocznicowo uczcić kwidzyńskie wydarzenie sprzed wieków, jakim było powołanie 14.03.1440 roku w Kwidzynie Związku Pruskiego, w czym część dyskutantów dopatrywała się dowodów polskości Kwidzyna. Miałoby to polegać na sporządzeniu wiernej repliki aktu erekcyjnego związku i wyeksponowaniu go w mieście.

Tego typu spotkania są prawdziwie sympatycznym i miłym dowodem, że ten przedziwny utrwalony związek głównie już byłych mieszkańców z tym konkretnym miejscem na Ziemi emanuje energią o nieokiełznanym potencjale. Oby służyło to głównie ich kreatywności. A kolega Leszek B. (matura 1949), którego darzę szczególnym szacunkiem i estymą, także za jego dzielne i szlachetne niepoddawanie się kalendarzowi – dodał mi do poprzedniej kwestii, że nie jest tak ważne, ile to lat mieszkaliśmy w Kwidzynie, gdyż o naszym związku z tym miastem decydują tylko te lata, gdy byliśmy zdolni kochać, gdy byliśmy kochani, i gdy po wyjeździe stąd odczuliśmy jakąś bezpowrotną i bolesną stratę.

Dyskrecja zmusza mnie do pominięcia tu wzniesłego komentarza Leszka, który usłyszałem przy okazji prezentacji fotografii z 1949 roku, na której Andrzej Zakrzeński utrwalił pewną jego koleżankę szkolną, więc poprzestanę tylko na podkreśleniu straty, jaką poniósł kwidzyński harcerski klub piłkarski „Błyskawica”, gdy Leszek B. „wybył” z Kwidzyna na Politechnikę Gdańską, a zespół stracił szczególnie skutecznego prawego obrońcę. Już nie mogła powtórzyć się sytuacja, gdy kwidzyńscy harcerze tryumfalnie „włomotali” miejscowej drużynie milicjantów i ubeków z okazji ich święta. Tamto ich zwycięstwo było symbolicznym odwetem za aresztowania i skazania w tym czasie na długoletnie więzienie ich kolegów z niepodległościowych organizacji działających konspiracyjnie w ich „ogólniaku”.

Zebrani na zjeździe w Rakowcu wyrazili nadzieję, że kolejne X-te spotkanie odbędzie się też w Kwidzynie, ale bardziej u siebie, czyli już na własnym kwidzyńskim Zamku.

Leszek Sarnowski

Kongres europejski na bogato

Jedni przyjechali by wysłuchać mądrych wywodów, spotkać się, porozmawiać. Inni, by dostrzec najnowsze trendy w sztuce, a jeszcze inni by się otrzeć o tych najwybitniejszych lub tych, których inni za takich uważają. Jednym zdaniem Europejski Kongres Kultury we Wrocławiu. Medialnej inwazji w całym kraju nikt czytający i średnio uważny nie mógł przegapić. Kongresu wszędzie było pełno. W mediach elektronicznych i konwencjonalnych, od prawa do lewa. „Polityka”, „Gazeta Wyborcza” zdecydowanie zachwalały europejskie spotkania, podkreślając także jego promocyjny dla Polski walor. Rafał Ziemkiewicz w „Rzeczpospolitej” pisał z kolei o „Europejskim kongresie chałtury”, a „Gazeta Polska Codzienna” o „Kongresie hipokryzji”, bo w roli intelektualnej gwiazdy obsadzono socjologa Zygmunta Baumana, któremu gazeta przypominała, że w czasach wczesnego PRL-u był funkcjonariuszem niesławnej Informacji Wojskowej, uznanej przez rząd wolnej Polski za organizację zbrodnictwa. Bronisław Wildstein z kolei pisał o inwazji lewactwa, co przejawiać się miało, nie bez racji, choćby w dominacji na kongresie lewicowych myślicieli, zarówno europejskiego, jak i krajowego autoramentu.



Jedno ze spotkań Europejskiego Kongresu Kultury - od prawej - Zygmunt Bauman, Bogdan Zdrojewski, Wiktor Jerofiejew, Jacek Żakowski, Zbigniew Libera, fot. www.mkidn.gov.pl

W podsumowaniu kongresu w gazecie Wildsteina dominowały jednak słowa uznania. Jacek Cieślak pisał, że „kongres był trafioną inwestycją”, bo obok uznanych artystów do Wrocławia dotarli szefowie najważniejszych festiwali sztuki europejskiej, ministrowie kultury, a także tłumy młodych ludzi, którzy świadomie stawali w kilkusetmetrowej kolejce na koncert Krzysztofa Pendereckiego, a nie na wielkie starcie gigantów Kliczko - Adamek na bokserским ringu. Z kolei „Gazeta Wyborcza”, postponowana przez prawicowe media za bałwochwalcze schlebienie lewicowym artystom, nie pozostawiała suchej nitki na najnowszym spektaklu prowokującego Krystiana Lupy, określając go „bohomazem”. Zatem, tak jak sztuka potrafi i powinna prowokować, tak i sam kongres taką funkcję spełnił. Jedni się zachwycali, inni kontestowali, ale kongres stał się faktem, a dziś już historią. Na jego marginesie słów kilka.

Trudno było by tutaj opisywać ogrom całego przedsięwzięcia. W rozmaitych przedsięwzięciach kongresu wzięło udział ponad 200 tysięcy osób. Odbyło się 13 debat panelowych z udziałem najwybitniejszych przedstawicieli świata sztuki europejskiej. Zorganizowano ponad sto interdyscyplinarnych projektów artystycznych. Kongres współtworzyło ponad pięciuset kuratorów, artystów i naukowców, takich jak: Krzysztof Penderecki, Brian Eno, Andrzej Wajda, Zygmunt Baumann, Joony Greenwood, Zbigniew Libera, Mirosław Bałka, Jan Fabre, Oliviero Toscani, Fatos Lubonja, Dubravka Ugresić, Gianni Vattimo. Kongres to także ponad czterystu akredytowanych dziennikarzy, setki wolontariuszy i niemal sto organizacji pozarządowych. Kongresowi towarzyszyły również nieformalne spotkania ministrów kultury krajów Unii Europejskiej, w związku z polską prezydencją. Całość kosztowała kilkadziesiąt milionów złotych i to było widać, bo nie było właściwie miejsca we Wrocławiu gdzie nie było by imprezy związanej z kongresem. Korzyści wielostronne, dla uczestników, słuchaczy, widzów, ale też miejscowych usług, handlu, etc. Kongres w założeniach miał być prezentacją dokonań polskiej kultury, ale także płaszczyzną debaty o wyzwaniach i zagrożeniach europejskiej kultury.

Według stereotypowego podejścia kultura sytuowana jest na marginesie najważniejszych spraw lokalnych - jako luksusowy dodatek do rozwoju, jego kłopotliwy koszt, a nawet kaprys elit. Tymczasem to właśnie kultura, pośrednio i bezpośrednio, generuje wzrost gospodarczy i dlatego powinna stać się ważnym elementem rozwoju lokalnego. Jak wykazują bardzo liczne badania nad rozwojem miast w różnych krajach, ani infrastruktura, ani zasoby siły roboczej, nie są już dziś wystarczającym czynnikiem rozwoju. Według Richarda Floridy, który jest twórcą teorii kapitału kreatywnego, rozwój miast zależy od posiadanego kapitału na który składają się trzy czynniki - technologia, talent i tolerancja. Technologia to między innymi ilość wniosków patentowych zgłaszanych z danego terenu, miasta, kraju. Talent to odsetek

zatrudnionych na stanowiskach „twórczych”: artystów, aktorów, muzyków, ale także – konsultantów, naukowców, designerów i innych zawodów kreatywnych. Tolerancja to otwartość danej społeczności na wielobarwność i różnorodność społeczną. Rafał Dutkiewicz, prezydent Wrocławia otwierając obrady Kongresu dodał do tej triady Floridy jeszcze czwarty, bardzo ważny element, a mianowicie tożsamość: „Wierzimy w otwartość. Ona buduje i pozwala tworzyć. Otwartość jest sprzężona z tolerancją, rozumianą jako wyrozumiałość wobec cudzych wierzeń, poglądów, kultury, choćby różniły się od naszych. Ale tolerancja jest pusta, jeśli nie ma oparcia w tożsamości. Tożsamość jest dopełnieniem dla tolerancji. To dwa słowa - klucze, którymi usiłujemy wypełniać Wrocław, a do sukcesu tego przedsięwzięcia jak powie-trza potrzebujemy KULTURY”.

To nie przypadek, że Europejski Kongres Kultury odbył się właśnie we Wrocławiu, który w 2016 roku będzie jedną z kulturalnych stolic Europy. Nawiązując do Normana Daviesa prezydent miasta stwierdził, że Wrocław jest mikrokosmosem Europy, w którym nacje, religie i kultury mieszały się przez setki lat i dziś może być przykładem jak budować swoją tożsamość na różnorodności i wielokulturowości, bo tutaj jest to codziennym doświadczaniem. Korzeniami Europy jest właśnie kultura, puentnował minister Bogdan Zdrojewski, i bez kultury budowa nowej Europy się nie uda. Zdaniem profesora Zygmunta Baumana, który wygłosił wykład inauguracyjny kongresu, Europa potrzebuje dziś nowej misji. Tą misją może być właśnie kultura, a szczególnie historyczne doświadczenie Europy środkowo-wschodniej z jej różnorodnością i kulturowymi „archipelagami diaspor”. Zdaniem Baumana to właśnie wielokulturowość, oparta na szacunku wobec „innych”, jest przyszłością Europy. By nie było to pustym hasłem trzeba się spotykać, rozmawiać i wzajemnie edukować, bo to prawdziwa wiedza burzy uprzedzenia i stereotypy.

Europejski Kongres Kultury odbywał się pod hasłem przewodnim - *Art for social change* czyli *Sztuka dla zmiany społecznej*. Z pewnością organizatorom nie chodziło o tzw sztukę zaangażowaną, z jaką mieliśmy do czynienia przez dziesięciolecia w systemach totalitarnych. Chodzi bardziej o sztukę, która jest kreatywna, która podejmuje dysputę z rzeczywistością i jest depozytariuszem uniwersalnych wartości. A jeśli sztuka taką właśnie jest to z pewnością do zmiany społecznej się przyczynia. Jeden z najwybitniejszych liberalnych myślicieli, francuski eseista i publicysta polityczny Guy Sorman w panelu dyskusyjnym pod tytułem „Kultura w akcji” mówił o arabskich rewolucjonistach, którzy dziś obalają dyktatury na ulicach Egiptu, Libii czy Tunezji. Określił ich „pokoleniem Facebooka”. Na tym portalu społecznościowym młodzi ludzie wymianiali poglądy, organizowali się i wprost znad klawiatury komputera wychodzili na ulicę. Opowiadał o tym między innymi obecny we Wrocławiu Ganzeer, artysta multidyscyplinarny, który na ulicach

Kairu tworzył swoje, inspirujące rewolucjonistów, graffiti na murach. Zdaniem Sormana młoda kultura w krajach arabskich zbudowana jest na tych samych, co na zachodzie zasadach - wolności słowa, wyboru czy prawa do indywidualnej ekspresji i porównywał te działania z polską rewolucją 1980 roku, której by nie było bez imponującego jak na komunistyczną dyktaturę drugiego obiegu literatury i sztuki.

Rewolucja jego zdaniem zaczyna się wtedy kiedy w państwie autorytarnym zaczyna się poprawiać, bo wówczas rosną oczekiwania i poczucie niesprawiedliwości, że znaczna część społeczeństwa jest poza nawiasem. Tak jest w tej chwili w krajach arabskich i tak niebawem, jego zdaniem, być może za dziesięć lat, będzie w Chinach. Problemem Europy jest to że niestety wiele państw popierało cynicznie do tej pory arabskie i afrykańskie dyktatury, bo „barbarzyńców” lepiej trzymać w ryzach, a poza tym despotyzm był tam tradycją. Wspólne dla rewolucji w krajach postkomunistycznych i obecnie arabskich jest to, że zniszczono ideologię, u nas marksizm, u nich orientalizm, jako ideologię separatyzmu. Młodzi artyści byli groźni dla systemu, bo byli do niego w opozycji i byli kreatywni czyli często niezrozumiani w przeciwieństwie do folkloru, którego przecież dyktatorzy wszelkiej maści bardzo cenili. To przecież doskonale znamy już z własnych doświadczeń w postaci „cepeliady” wszelkiej maści choćby z czasów PRL-u, bo już oryginalny folklor, za którym często stały konserwatywne wartości na swój czas musiał czekać do rewolucji 1989 roku. Folklor jego zdaniem nie jest sztuką. Prawdziwa sztuka to kreatywność i opozycja. Podobne słowa można było usłyszeć z ust Jerzego Buzka, przewodniczącego Parlamentu Europejskiego, który na inauguracji kongresu mówił o pozytywnej roli anarchii w sztuce, apelując do ludzi kultury o otwartość, kreatywność, a także krytycyzm i dystans wobec rzeczywistości.

W kontekście zapewnień o wolności i niezależności sztuki poważnym zgrzytem i paradoksem był protest przed Halą Ludową słynnego Majora Frydrycha i Pomarańczowej Alternatywy, której nie dopuszczono do udziału w debacie, co szczególnie irytowało w sytuacji kiedy marszałek Grzegorz Schemtyna w mowie inaugurującej kongres wychwalał właśnie unikatowe zasługi Pomarańczowej Alternatywy i anarchistycznych krasnali w walce z komuną. Na usprawiedliwienie organizatorów można dodać, że uczestnikiem, choć w zasadzie biernym kongresu, mógł zostać każdy, kto wcześniej się zarejestrował drogą internetową. Być może Frydrychowi, protestującemu pod hasłami – *„Rewolucja nie dla idiotów”* czy *„Pomarańczowa śmierć postmodernizmu”* chodziło przede wszystkim o intelektualną prowokację i to z pewnością mu się udało, bardziej niż gdyby był jednym z wielu dyskutantów.

A co kongres oznacza dla naszej prowincjonalnej kultury, jakie przynosi refleksje czy wskazówki. Z pewnością ważne jest, by władze lokalne uświadomiły sobie znaczenie kultury dla rozwoju lokalnego, że nie tylko „gospo-

darka głupcze”, ale przede wszystkim, jak można by strawestować, „kultura głupcze”. Zdaniem Charlesa Landry’ego, specjalisty od rewitalizacji miast, przyszłość należy właśnie do miast twórczych. To pulsujące życiem teatry, galerie, puby i ulice, w dzień i do późna w nocy pełne artystów, kolorowej bohemy, ekscentryków, ludzi niekonwencjonalnych, pełne muzyki, ożywionych dyskusji i radości życia. To ośrodek tętniących życiem wielkich festiwali i koncertów, a jednocześnie – pełen kameralnych miejsc o niepowtarzalnej atmosferze przyciągających artystyczną bohemę. Taka twórcza atmosfera wymaga jednak twardej infrastruktury i konkretnych działań ściągających do danego ośrodka czynniki kreatywności, a przede wszystkim – kreatywnych ludzi. O takich ludzi pewnie łatwiej niż o pieniądze na galerie, teatry czy festiwale, choć programów na działania kulturalne jest jeszcze sporo i aplikować może każdy. Często jednak prozaicznym problemem staje się w tym kontekście nie brak ludzi, ale środków na tak zwany wkład własny. I tu pojawia się kwestia priorytetów w lokalnej polityce.

Władza lokalna dbająca o perspektywę rozwoju swego miasta, powinna zatem inwestować mądrze i z rozmachem w teatry, galerie, sale koncertowe, muzea, powinna sponzorować festiwale, spektakle i koncerty, w zależności oczywiście od zasobności miejskiego budżetu. Zadaniem władz samorządowych jest wspieranie takiej twórczej atmosfery, środowisk artystycznych, które ją tworzą, nie na zasadzie restrykcyjnego mecenasu ograniczającego wolność, który płaci i wymaga, ale płaci, bo takiego dokonali wyboru. Powinna powstać moda na taki sponsoring i mecenat, zarówno jeśli chodzi o samorząd, jak i o prywatny biznes. Takie twórcze otoczenie powstaje dziś w wielu miastach, między innymi na terenach przemysłowych, powoj-skowych, zdegradowanych, które w twórczy sposób są rewitalizowane. Kultura wzmacnia pozytywny wizerunek miasta, podnosi jego prestiż i rozpoznawalność, powoduje, że chętniej się w takim mieście mieszka, do niego przyjeżdża czy inwestuje. Dlatego potrzebna jest diagnoza stanu kultury, na podstawie rzetelnych i aktualnych badań, takich kwestii jak: dostęp do instytucji kultury, obecność w lokalnym życiu społecznym spektakularnych wydarzeń kulturalnych, amatorska aktywność artystyczna i twórcza, styk kultury i rozrywki, aktywność kulturalna poza oficjalnymi instytucjami i finansowaniem publicznym, nastawienie społeczne wobec kultury i uczestnictwa w niej.

Według Wojciecha Kłosowskiego, polskiego eksperta rozwoju regionalnego, kultura generuje rozwój lokalny, bo pomaga przetrwać we współczesnym świecie. Jest nie tylko deserem dla elit, ale także oparciem dla najsłabszych, bo nie wyklucza i daje różne szanse udziału w niej każdemu, jest egalitarna w dostępie. Kultura kształtuje osobistą kreatywność ludzi, a przez to umacnia ich osobisty potencjał niezbędny do odnoszenia życiowych sukcesów. Dochody z kultury nie będą zasilac budżetu samorządu, bo

ten raczej powinien kulturę dotować, ale zarabiać będą hotele, gastronomia, handel, transport, usługi - zwiększone przychody to większe podatki dla miasta. Docenianie ważnej roli kultury jako elementu prorozwojowego nie jest tylko teorią i pobożnym życzeniem.

Nie wchodząc w niuanse i zawiłości można by spuentować, odwołując się do słów słynnej piosenki Wojciecha Młynarskiego „Róbmy swoje”. Piszmy, śpiewajmy, malujmy, recytujmy, „póki nam się jeszcze chce”. Jeśli będziemy to robić z pasją i na wysokim poziomie artystycznym, to niezależnie od tego czy będzie to zdaniem krytyków kultury, sztuka wysoka czy niska, bliska tradycji czy nowoczesności, czy będzie odtrutką na traumy cywilizacyjne, to będzie dobrze. Oliviero Toscani, światowej sławy fotograf reklamowy, twórca między innymi kontrowersyjnych zdjęć kampanii firmy Benetton, na jednym z paneli dyskusyjnych kongresu, podkreślając znaczenie kultury powiedział, że turyści wędrują po świecie nie po to by oglądać fabryki, ale sztukę w historycznym czy współczesnym wydaniu.

Wacław Bielecki

Inauguracyjny koncert Elbląskiej Orkiestry Kameralnej

Elbląska Orkiestra Kameralna zainaugurowała piąty sezon artystyczny w swojej nowej siedzibie, czyli sali elbląskiego ratusza na Starym Rynku. Jak to jest przyjęte w tym mieście, koncert zaczął się od przywitania i przemówień vipów. Miedzy innymi, wiceprezydent miasta Grażyny Kluge zapewniła melomanów, że nowy sponsor orkiestry – firma Simens spowoduje, że w bieżącym sezonie „będzie wiele koncertów”.

Sam koncert był bardzo przyjemny, bo w jego programie znalazły się trzy hity muzyki klasycznej i świetni wykonawcy. Wieczór zaczął się od Serenady na orkiestrę smyczkową op. 2 Mieczysława Karłowicza. Już dość dawno nie słyszałem tego czteroczęściowego utworu. Rozpoczynający serenadę przepiękny *Marsz* ma przepiękny temat łatwo wpadający w ucho, *Romans* uderza delikatnością i romantyczną nastrojowością, *Walc* zwiewnością, a końcowe *Finale* porywa stonowaną żywiołowością. Cały utwór został świetnie wykonany przez elbląskich muzyków prowadzonych przez doświadczonego dyrygenta o poznańskich korzeniach Marcina Sompolińskiego.

Następnie orkiestra, poszerzona o dwa oboje i rogi zagrała Symfonię f-moll nr 49 „La Passione” Józefa Haydna. Ma ona klasyczną, czteroczęściową budowę, chociaż zaczyna się nietypowo, bo od powolnego *Adagio*. Szczególnie pięknie, i rzeczywiście z niesamowitymi emocjami, została wykonana została ostatnia część, porywające *Presto*.



Agata Szymczewska i Bartosz Bryła, fot. W. Bielecki.

W czasie przerwy wszyscy słuchacze zostali zaproszeni przez organizatorów koncertu do przyległego sali koncertowej pomieszczenia na lampkę wina. Toast za pomyślność orkiestry wzniosła jej nowa dyrektor naczelna Bożena Sielewicz.

Największym wydarzeniem koncertu było wykonanie ostatniego utworu – Sinfonii Concertante Es-dur KV 364 na skrzypce i altówkę W. A. Mozarta. Stało się tak nie tylko z powodu kompozytora, ale i wykonawców. Na skrzypcach zagrała bowiem Agata Szymczewska, zdobywczyni pierwszego miejsca na Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu w 2006 roku, a na altówce jej poznański profesor z Akademii Muzycznej Bartosz Baryła. Solistka zagrała nie na byle jakich skrzypcach, ale na legendarnym Stravidariusie z 1680 roku.

Nie wszyscy wiedzą, że ta już sławna skrzypaczka ma powiązania z Prabutami, gdzie mieszkali jej dziadkowie i rodzice. Tak się złożyło, że dwa lata temu byłem na koncercie, który odbył się w prabuckiej konkatedrze. Grała tam wtedy orkiestra kameralna z Kaliningradu, a jako soliści wystąpili Agata Szymczewska i Bartosz Baryła. Po koncercie odbyła się wielka feta z udziałem burmistrza Prabut i licznie przybyłych na koncert mieszkańców. Każdy chciał podejść do skrzypaczki, uścisnąć jej dłoń i wręczyć kwiaty lub jakiś upominek. Pamiętam, że kolejka była bardzo długa.

Wracając do elbląskiego wykonania Sinfonii koncertującej Mozarta, trzeba powiedzieć, że było one urzekające, bowiem wykonawcom – solistom i młodej, dynamicznej orkiestrze udało się osiągnąć całkowita harmonię, czy to w licznych dialogach koncertujących instrumentów, czy w dialogach solistów z orkiestrą. Dyrygent prowadził zespół w sposób wyrazisty wydobywając wiele subtelnych emocji, jakie zawiera ta muzyka. Trudno opisać to słowem, szczególnie, gdy chodzi o drugą, powolną część utworu, wręcz niebiańskie *Andante*. Nic dziwnego, że publiczność nagrodziła wykonawców owacją na stojąco i zmusiła do bisu, na który usłyszeliśmy jeszcze raz końcowy fragment *Presto*. Urzekająca melodia z *Andante* nie mogła mi wyjść z głowy przez cały następny dzień.

Jednym słowem otwarcie sezonu było bardzo udane. Mam jednak parę uwag dotyczących organizacji koncertu. Prowadził go Krzysztof Dąbrowski, sympatyczny konferansjer z Gdańska. Przed wykonaniem utworów prezentował sylwetki wykonawców i opowiadał muzyczne anegdoty. Wydaje mi się jednak, że można było sobie dać spokój z przytaczaniem wielu informacji o artystach, bo były one zapisane w programie koncertu. Zamiast anegdot wolałbym aby zapowiadający przypomniał informacje o wykonywanych utworach, i podał, na przykład, z ilu składają się części. Myślę, że wtedy nie miałyby miejsca nieco żenujące, powtarzające się przez cały czas okłaski po

poszczególnych częściach utworów. Powszechnie przyjęte jest bowiem na salach koncertowych, że po częściach utworów po prostu klaskać nie wypada, bo to przeszkadza w skupieniu się wykonawcom, a także słuchaczom.

Kolejna sprawa związana jest z rozpoczynaniem koncertów. W Elblągu bardzo fetuje się vipów. Są na początku witani, prosi się ich o zabranie głosu przed koncertem. W moim odczuciu trąci to, nomen omen, prowincją! Przypomina mi się pewien proboszcz z pewnej wsi na Powiślu, który zwykł był imiennie witać każdego znaczniejszego parafianina przybyłego do kościoła na mszę i wskazywać mu miejsce w pierwszych rzędach ławek. Rozumiem, że orkiestra i melomani wiele zawdzięczają vipom, ale koncert jest koncertem, a nie akademią „ku czci”, i tu najważniejsza jest muzyka, i od niej należy zaczynać. O niezaprzeczalnych zasługach vipów i sponsorów, można i trzeba pisać, np. w programach koncertu. Nota bene, ostatnio wydany program koncertów Elbląskiej Orkiestry Kameralnej na wrzesień - listopad 2011 roku prezentuje się bardzo korzystnie. 28 października z koncertem własnej muzyki filmowej zaprezentuje się Krzesimir Dębski, a 29 listopada w elbląskim teatrze za fortepianem zasiądzie Leszek Możdżer, a orkiestrą dyrygować będzie Marek Moś, twórca słynnej orkiestry Aukso. Po udanej inauguracji można mieć pewność, że koncerty te cieszyć się będą dużą popularnością.

ELBLĄSKA ORKIESTRA KAMERALNA

zaprasza na koncerty w sezonie artystycznym 2011/2012

Elbląska Orkiestra Kameralna została powołana w październiku 2007 roku. Powstało ważne ogniwo w życiu artystycznym i kulturalnym miasta, które absolwentom elbląskiej Szkoły Muzycznej dało szansę na rozwój i pracę w rodzinnym mieście.

Sezon po sezonie Orkiestra poszerza repertuar, przyjmuje nowe zaproszenia i cieszy się coraz większym kręgiem wiernej publiczności i entuzjastów proponowanej przezeń sztuki. Kameraliści w wyraźny sposób zaznaczają swoją obecność w życiu kulturalnym Elbląga.

Soliści oraz dyrygenci współpracujący z orkiestrą to artyści uznani w Polsce oraz poza jej granicami, między innymi: Jerzy Maksymiuk, Kai Bumann, Michał Nesterowicz, Marzena Diakun, Andrzej Mysiński, Zbigniew Rychert, Konstanty Andrzej Kulka, Jan Stanienda, Krzysztof Jakowicz, Łukasz Długosz, Agata Szymczewska, Zbigniew Pilch, Piotr Pławner, Tytus Wojnowicz, Adam Klocek, Filip Wojciechowski, Robert Kabara, Piotr Kusiewicz, Bogusław Furtok, Beata Bilińska.

Zespół angażowany był przy realizacji wielu wydarzeń muzycznych, między innymi w widowisku *Adventus lucis* realizowanym przez Europejskie Centrum Solidarności z okazji 39. rocznicy Grudnia 70, Festiwalu Muzyki Sakralnej w Gdyni (w 2009, 2010 i 2011 r.), koncercie z okazji Beatyfikacji Jana Pawła II, podczas którego wykonana została Wielka Msza h-moll Jana Sebastiana Bacha, XXXVII Ogólnopolskich Spotkaniach Zamkowych *Śpiewajmy Poezję* – koncercie *Biała Lokomotywa* realizowanym w Elblągu i Olsztynie (transmitowanym przez Program 2 Telewizji Polskiej oraz TVP Kultura) oraz przedsięwzięciu Telewizji POLSAT – Festiwalu TOP TRENDY w Sopocie (w 2009, 2010 i 2011 r.).

Wszechstronność muzyków pozwala realizować koncerty również spoza obszaru muzyki klasycznej. Elbląska Orkiestra Kameralna znana jest ze współpracy z artystami reprezentującymi różne gatunki muzyczne, takimi jak Motion Trio, Raz Dwa Trzy, Grzegorz Turnau, Edyta Górniak, Justyna Steczkowska, Andrzej Piaseczny i Seweryn Krajewski, Dorota i Henryk Miśkiewicz, Adam Sztaba, Kameleon Septet, Zakopower, Marcin Wyrostek.



Tekst ze strony internetowej orkiestry: www.eok.com.pl

Tam także informacje o programie koncertów.

Wacław Bielecki

Organy zawładnęły mną zupełnie Wywiad z Jerzym Kuklą, wirtuozem organów i organmistrzem z Lublina

Wacław Bielecki: Jak to się stało, że został pan organistą?

Jerzy Kukła: To przez Nowowiejskiego. Będąc w czwartej klasie szkoły podstawowej, po pasterce usłyszałem graną przez późniejszego mojego pierwszego profesora pana Stefana Prochownika, fantazję Feliksa Nowowiejskiego Boże Narodzenie w prastarym Kościele Mariackim w Krakowie. Ten utwór, grany na wielkich organach kościoła św. Mikołaja w Bielsku-Białej, zrobił na mnie takie wrażenie, że od tego momentu organy mną zawładnęły zupełnie. Nic innego się nie liczyło. Rozpocząłem edukację muzyczną i niekończącą się do dnia dzisiejszego fascynująca przygodę z królem instrumentów, jakim są organy.

Który spośród pana nauczycieli nauki gry na organach jest dla pana największym mistrzem?

Każdemu ze swych pedagogów zawdzięczam wiele. Jeśli chodzi o tego, którego bym określił swoim mistrzem, to jest to człowiek, który na początku był moim idolem, potem stał się nauczycielem, dzięki stypendium Ministerstwa Kultury i Sztuki, a obecnie jest moim przyjacielem i starszym kolegą. Jest to profesor doktor Ferdynand Klinda z Bratysławy.



Jerzy Kukła grał na 110-letnich organach elbląskiej firmy „Terletzki-Wittek”, fot. W. Bielecki.

W jakich okolicznościach znalazł się pan w Bratysławie na stypendium?

Drugą moją muzyczną pasją i fascynacją obok Nowowiejskiego jest muzyka organowa Franciszka Liszta. Pierwszy raz muzykę tego kompozytora usłyszałem w II programie Polskiego Radia. Wydała mi się ona czymś zupełnie innym niż dzieła Bacha, które stopniowo poznawałem dzięki polskim nagraniom płytowym. Zauważyłem zupełnie inne traktowanie organów, całkowicie inny świat dźwięków. Z komentarza po transmisji radiowej dowiedziałem się, że Preludium i fugę na temat B-A-C-H Franciszka Liszta grał na organach w sali Bedřicha Smetany w Pradze Ferdynand Klinda. Od tego czasu zacząłem szukać nagrań tego organisty. Docierałem do jego płyt, które w gruncie rzeczy były obecne na naszym socjalistycznym rynku i można je było w Polsce dostać.

Klinda jest niezwykle barwną postacią o wielkiej kulturze humanistycznej, a doktorat – trzeba to pamiętać – ma z medycyny, z hematologii. W swoim czasie był czynnym organistą – wirtuozem i jednocześnie pracownikiem kliniki Akademii Medycznej w Bratysławie. Komentarze do swoich płyt, opisy na kopertach, pisał własnoręcznie. Dzięki temu nauczyłem się języka słowackiego. Chciałem się z nim spotkać i czegoś się od niego nauczyć.

Kiedy pierwszy raz spotkał się pan z Ferdynandem Klindą?

Taka okazja nastąpiła w roku 1986, gdy Klinda grał koncert podczas festiwalu w Kamieniu Pomorskim i prowadził kurs mistrzowski dla młodych organistów. Ja w tym kursie wziąłem udział. Zagrałem wtedy – jakżeby inaczej – muzykę Liszta, co wzbudziło jego żywe zainteresowanie, bo i wtedy, i dzisiaj zresztą, muzyka ta traktowana jest przez organistów z pewnym dystansem. Liszt nie był bowiem organistą i przenosił wiele elementów techniki fortepianowej. Wiele dzieł organowych Liszta funkcjonuje w potrójnych wersjach. Było to powszechną praktyką w epoce romantyzmu, ale na gruncie muzyki organowej, rzeczą niespotykaną i tu było po prostu podejrzenie o wtórność tych utworów. Gdy dzisiaj, z perspektywy lat spoglądamy na cały rozwój muzyki organowej, to widać, że nie byłoby całego francuskiego symfonizmu, nie byłoby muzyki Maxa Regera, gdyby nie przełom, którego w traktowaniu organów dokonał Liszt.

Po owym kursie wysłałem list do prof. Klindy z pytaniem, czy mógłbym zostać jego studentem. Odpisał mi bardzo ciepło, że jestem wręcz witany w jego klasie, tylko trzeba załatwić niezbędne formalności. Załatwianie wizy i paszportu zajęło mi dwa lata, ale w końcu udało się.

Czy Klinda był organistą w jakimś kościele w Bratysławie?

Klinda, który w 2009 roku ukończył 80 lat, z tej okazji zrobił sobie i innym prezent w postaci książki autobiograficznej pt. „Królewski instrument i ja”. Opisuje tam szczegóły swojej biografii artystycznej. Grał on jako organista liturgiczny, ale tylko w młodości, w Skaliczy koło Koszyc, gdzie się urodził. Gdy przeniósł się na studia do Bratysławy i został asystentem, ze względu na panującą w socjalistycznej Czechach sytuację polityczną, nie mógł łączyć obowiązków organisty kościelnego z pracą na uczelni.

Jak wiadomo Klinda był wybitnym interpretatorem dzieł Oliviera Messiaena. Czy zainteresowanie muzyką tego kompozytora wyniósł pan od Klindy?

Nie, nie od Klindy, chociaż wiele cennych wskazówek wykonawczych od niego uzyskałem. Moją fascynację Messiaenem zawdzięczam niezwykle ciekawej postaci - muzykologowi Jerzemu Stankiewiczowi z Krakowa. W Polskim Radio na II programie miał on cykl audycji w których przedstawił dzieła wszystkie Oliviera Messiaena. Właśnie te audycje zaszczerpiły mi zainteresowanie tym światem dźwiękowym. Tak więc moje dochodzenie do Messiaena a Klindy, to było niezależne dochodzenie i spotkanie w którymś momencie przy tej samej fascynacji tym kompozytorem. O ile fascynację Lisztem zawdzięczam niewątpliwie Klindzie, to o tym, że Klinda jest cennym interpretatorem Messiaena dowiedziałem się właśnie od Jerzego Stankiewicza.

Jest pan bardzo aktywnym, koncertującym organistą oraz organizatorem wielu festiwali muzyki organowej, np. w Lublinie, Bielsku-Białej, Sandomierzu, Puławach, Krakowie, Olkuszu, a oprócz tego szefem firmy zajmującej się remontem i renowacją organów. Jak pan to wszystko łączy i znajduje czas na tak szeroką działalność?

Podobne pytanie zadałem kiedyś Ferdynandowi Klindzie: Mówi pan pięcioma językami, ma pan doktorat z medycyny, jest pan czynnym wirtuozem, prowadzi pan klasę organów, napisał pan dwie książki, oprócz tego zasiada pan w jury wielu konkursów i zawsze pan ma czas. Jak pan to robi? – Odpowiedział mi, że zawdzięcza to dwóm sprawom: po pierwsze, dobrej organizacji czasu, po drugie, silnemu organizmowi. – Siłą rzeczy, przy tylu zajęciach swoje książki, na przykład, pisał nocą i potrafił bez żadnych ujemnych skutków dla organizmu spać po cztery godziny na dobę przez okres kilku miesięcy.

Ja aż takich zdolności nie mam, niemniej można wiele rzeczy uzyskać mając dobrych współpracowników i ustalając w pracy podstawowy kościec organizacyjny, można tym zdalnie, z odległości sterować za pomocą telefonu komórkowego i internetu. Odbywa się to oczywiście kosztem wolnego czasu, ale jest możliwe.

Od 1994 roku prowadzi pan firmę organmistrzowską, która zajmuje się remontami, przebudową i konserwacją organów. Katalog wykonanych prac obejmuje już ponad 60 pozycji, m.in. przebudowę organów w katedrze w Łomży oraz bocznych organów w Katedrze w Oliwie, konserwację organów fary w Kazimierzu Dolnym, intonację organów w Bazylice oo. Jezuitów w Krakowie i w Polskiej Filharmonii Bałtyckiej w Gdańsku. Jak pan ocenia organy w sali Polskiej Filharmonii Bałtyckiej w Gdańsku na Ołowiance?

Trudno jest mi mówić o dziele do którego powstanie w jakiś sposób się przyczyniłem. Montażu dokonywał Zdzisław Molin ze swoją ekipą. Trzeba było wprowadzić kilka zmian ze względu na nową funkcję i nowe miejsce w którym ten instrument stanął, bowiem organy te zostały sprowadzone ze Szwajcarii z katedry w Lozannie. Jest to praktycznie jedyny z prawdziwego zdarzenia duży, symfoniczny instrument typu francuskiego w Polsce, posiadający na przykład głosy językowe wyłącznie specyficznej, francuskiej konstrukcji. Wiadomo, że akustyka sal koncertowych nigdy nie jest taka korzystna dla organów jak wewnątrz kościelne, niemniej organy gdańskie wytrzymują zarówno ciężar gatunkowy recitali solowych, które tam się odbywają, jak i partii organowych w dziełach oratoryjno-kantatowych, a nawet symfonicznych.

Proszę powiedzieć, na czym polega praca intonatora?

Podstawową zasadą powstania dźwięku w organach jest wydobywanie dźwięku z piszczałki, a ta wydaje tylko jeden ton. Klawiszy jest 56, więc w jednym głosie musi być przynajmniej 56 piszczałek. Rolą intonatora jest doprowadzić do tego, żeby te 56 różnych instrumentów, jakimi są poszczególne piszczałki, brzmiały idealnie pod względem siły oraz barwy dźwięku. Chodzi o to, żeby nie było tak, że: c jest ciche, a cis głośniejsze, d jaśniejsze, dis ciemniejsze, e w ogóle się nie odzywa, a f ryczy. Wszystko musi być tak, jak jeden instrument. Rolą intonatora jest „błądzenie” po klawiaturze i wysłuchiwanie, która piszczałka się wybija, która nie pasuje do przebiegu i wydanie polecenia pomocnikowi, który jest przy samej piszczałce: ciszej, głośniej, jaśniej, opóźnia, wyprzedza, itd. I dopiero, gdy głos jest już wyrównany, gdy grając słyszymy harmonię, tak jak to by był faktycznie jeden instrument, dopiero wtedy przechodzimy do następnego głosu. Następnie rolą intonatora jest nie tylko wyrównanie jednego głosu, ale jakby stworze-

nie całych organów, żeby każdy głos brzmiał stylowo, żeby każdy głos miał odpowiednią siłę brzmienia na tyle, żeby w kontekście, gdy się go używa pojedynczo jako solo, bądź gdy się łączy głosy w jedno organowe pleno, żeby za każdym razem to brzmienie było właściwe, tzn. miało swoje proporcje, miało pełnię i blasku, i basu. I to jest rola intonatora. Bardzo podobna do roli dyrygenta, czy reżysera: realizacja własnej koncepcji zjawiska artystycznego, jakim przecież są i powinny być organy.

Czego dotyczyły pana prace przy słynnych organach w katedrze oliwskiej?

W ogromnym skrócie - na wydobyciu jak najlepszego brzmienia z istniejącego materiału piszczałkowego. Organy oliwskie to jeden z najoryginalniejszych instrumentów w Europie. Jeden z tych wzmiankowanych w światowej literaturze przedmiotu, jeden z tych, którego brzmienie odróżnialne jest niemal natychmiast. Jeden z najbardziej charakterystycznych pomników „Orgelbewegung”¹. To nakłada odpowiedzialność wobec oryginalnej substancji i nakazuje ją zachować. Jednakże niewielkie korekty dyspozycji które na mój wniosek zostały poczynione, umożliwiają bardziej stylową rejestrację dzieł literatury organowej a nie zmieniają ogólnego brzmienia, ponieważ zmiany dotyczyły głównie zamiany przyporządkowania niektórych głosów poszczególnym sekcjom. Ponieważ jestem i intonatorem i organistą, intonując głos organowy, zawsze słyszę go w kontekście tych fragmentów literatury muzycznej w których będzie użyty. Bez tego powiązania nawet głos brzmiący ładnie, nie będzie brzmiał DOBRZE. Tutaj przydają się doświadczenia z kontaktów koncertowych i z dobrymi i złymi instrumentami. Korekta przeprowadzona w organach oliwskich została zweryfikowana i dobrze przyjęta, czego dowody otrzymuję w rozmowach z wirtuozami, którzy w ramach tegorocznego festiwalu wystąpili w oliwskiej katedrze.

W czasie koncertu w Sztumie² grał pan na 110-letnich organach znanej elbląskiej firmy „Terletzki-Wittek”. Jak jest kondycja sztumskich organy u św. Anny?

One potrzebują przede wszystkim okresowego remontu, czyli skorygowania bezpośrednio tego wszystkiego co jest potrzebne, aby funkcjonowały bez zarzutu. Jeśli chodzi o stan materii, to wydaje mi się, że wszystko jest tutaj należyte, nie ma żadnych zniszczeń. Zaglądałem do wnętrza i stwierdzi-

¹ Orgelbewegung – styl w budownictwie organowym, który narodził się i obowiązywał głównie w Niemczech w połowie XX wieku. (red.)

² Na koncercie w Sztumie w dniu 21 lipca 2011 roku Jerzy Kukla zaprezentował następujący program: Ferenc Liszt - Hosannah, Ave Maris Stella, Chorał; Feliks Nowowiejski - Preludium na temat Kyrie z Mszy XI „Orbis Factor”, III Koncert Organowy op. 56 nr 3; Jan Sebastian Bach - Preludium chorałowe „Erbarm’ dich mein, o Herre Gott” BWV 721 oraz Toccata i fuga d-moll BWV 565.

łem, że jest tam przede wszystkim czysto. Korekty wymaga przede wszystkim mechanizm i intonacja, bo znalezienie jakiegoś zestawu głosów, które w miarę by dobrze zabrzmiały jest trudne. Dlatego nie mogłem zagrać tych utworów Liszta, które chciałem wykonać, ponieważ wymagają one użycia głosów solowych, a żaden z głosów tutaj nie jest bez szwanku na jakimś dźwięku. Wybierając jeden głos i grając słyszę, że np. fis nie działa, szukam więc drugiego głosu, tu fis działa, ale nie odzywa się h. Jeżeli włączę trzeci głos, to te dwa dźwięki działają, ale ten głos nie stroi. Dlatego można grać tylko utwory w których wymagane, czy dopuszczalne jest łączenie kilku głosów, bo wtedy któraś z piszczałek się odezwie. Stąd organy wymagają przynajmniej przygotowanie do koncertu. Organy te zasługują na to, bo sama materia jest bardzo dużej klasy, brzmienie jest niezwykle szlachetne i można z tego zrobić instrument, który będzie sprawiał satysfakcję.

Wśród organistów wyróżnia się pan tym, że wykonuje i popularyzuje polskich kompozytorów, a szczególnie muzykę organową Feliksa Nowowiejskiego. Dlaczego?

Muzykę Nowowiejskiego wykonuję bardzo często. Trudno jest znaleźć program mojego koncertu w którym nie ma utworów mistrza z Barczewa. Uważam tę muzykę za niezwykle wartościową, ale niestety niedocenianą. Stanowi ona dla mnie spore wyzwanie jako wykonawcy, po pierwsze, pod względem wymagań technicznych, jakie ta muzyka na wykonawcę nakłada, a po drugie, na skomplikowaną formę tych utworów. Stopień komplikacji formy w symfoniach organowych Nowowiejskiego można porównać do tych problemów i zadań, jakie przed dyrygentem stawia symfonika Gustava Mahlera, czy innych symfoników XX wieku. Nowowiejski jest trudny dla organisty i nie jest najłatwiejszy percepcyjnie, po prostu jest trudny do opanowania i ogarnięcia.

Leszek Sarnowski

Praca, pasja i marzenia - wywiad z muzykami zespołu jazzowego Omnivore z Dzierzgonia

Leszek Sarnowski: Zespół Omnivore jest młodym zespołem, bo powstał we wrześniu 2010 roku. Ale wcześniej muzycy działali w innych formacjach. Proszę nam powiedzieć o waszym dotychczasowym doświadczeniu muzycznym?

Rafał Dubicki: Jeśli chodzi o muzyczną przeszłość członków grupy Omnivore to można podzielić ją na dwa obozy i łącznik. W pierwszym z nich jest nasz perkusista - Jarosław Świder oraz basista - Marek Sobociński. Działalność swoją rozpoczęli przy Dzierzgońskim Ośrodku Kultury, gdzie szkolili się pod okiem instruktorów tworząc składy Wik Band i Awaria. Z zespołami tymi koncertowali jako młodzi chłopcy nabierając oglądy pośród amatorskich ruchów muzycznych, w drugim obozie jest nasz pianista Adam Lemańczyk, którego przeszłość muzyczna jest już bardziej profesjonalna. Adam działał w ośrodkach kultury jako akompaniator, aranżer itp, jednak chodził również do szkoły muzycznej, gdzie miał styczność i możliwość



Zespół Omnivore, od lewej - Adam Lemańczyk, Rafał Dubicki, Marek Sobociński, Jarosław Świder, fot. z archiwum zespołu.

przyswojenia wiedzy muzycznej od zawodowej strony. Te dwa obozy musiały się jednak razem spotkać i tu pojawia się rola łącznika. To ja, czyli trębacz zespołu. Wywodzę się z tych samych zespołów i stron co basista i perkusista. Dodatkowo gry na trąbce uczyłem się w tej samej szkole muzycznej w Elblągu co pianista. Pewnego dnia spotkalismy się i i tak powstał Zespół Omnivore.

Wasz wcześniejszy Zespół NewTon Quintet powstał w 2009 roku w Elblągu. Dziś pod inną nazwą działacie w Dzierzgoniu. Skąd ta zmiana? Często w zapowiedziach prasowych podawana jest informacja, że jest to zespół dzierzgoński? Kto dziś tworzy zespół i skąd są muzycy?

Rafał Dubicki: Grupa NewTone Quintet była projektem zajmującym się w przeważającej mierze graniem muzyki jazzowej a podstawą repertuaru były standardy jazzowe. Zespół odbył parę koncertów o charakterze zarobkowym i na tym kończą się jego osiągnięcia, gdyż przez niemożliwość składu współpraca nie owocowała niczym kreatywnym. W zespole tym grali aktualny pianista i trębacz Omnivore. Po rozpadzie NewTona padł pomysł zaangażowania poleconych przez trębacza basisty i perkusisty z Dzierzgonia. Okazało się to strzałem w dziesiątkę i już na pierwszej próbie było widać, że wszystko wychodzi nadspodziewanie dobrze. Tak więc skład wykrystalizował, a zaangażowanie wszystkich członków w działalność zespołu przynosi efekty. Skład to: Adam Lemańczyk - pianista, kompozytor, Rafał Dubicki - trębacz, Marek Sobociński - gitara basowa, Jarosław Świder - perkusja. Pianista jest z Malborka, perkusista z Dzierzgonia, basista z Bruku, trębacz z Miniąt (dwie ostatnie miejscowości to wsie koło Dzierzgonia). Próby odbywają się w Dzierzgoniu, stąd mowa o zespole dzierzgońskim.

Omnivore z francuskiego znaczy „wszystkożerny”, czy ma to jakiś związek z muzycznymi upodobaniami zespołu i stylistyką? Jakie są wasze inspiracje?

Adam Lemańczyk: W naszym przypadku inspiracje obejmują dość szeroki wachlarz gatunkowy: jazz, funk, fusion, także ciężki rock, ale nie stonimy też od wplatania w naszą muzykę reggae, popu czy elementów nieco orientalnych. Dlatego ciężko zdefiniować stylistykę zespołu. Stąd też rzeczywiście nazwa Omnivore, która dokładnie znaczy „wszystkożerny”. Odnosi się to w konsekwencji do całego składu. Można powiedzieć, że wszyscy słuchamy różnej od siebie muzyki. Działa to jedynie na korzyść, przy tworzeniu chociażby nowych utworów. Następuje wówczas fuzja pomysłów i propozycji na zaaranżowanie numeru. Mogłoby się wydawać, że prowadzi to do różnych waśni czy sporów, lecz jest zupełnie odwrotnie! Panuje zawsze świetna atmosfera motywująca jedynie do pracy i „poszukiwania” wśród różnych stylów muzycznych.

Muzyka jazzowa nie jest łatwą muzyką, raczej dla koneserów, nie zapełnia stadionów, choć pewnie przykład Możdżera czy ostatnich projektów Marcusa Millera realizowanych w Polsce pokazuje, że i na jazzowych koncertach bywają tłumy. Na tak zwanej prowincji jest to jednak muzyka niszowa. Czy nie obawiacie się tego, że w małych miastach nie znajdziecie swojej publiczności, a może jej tu nie szukacie?

Adam Lemańczyk: Nie wiem dlaczego wśród ludzi panuje takie przekonanie, że jazz to coś strasznego! Coś trudnego, coś nie przystępnego dla ucha przeciętnego słuchacza. Faktycznie, większy procent ludzi reaguje właśnie w ten sposób na tzw. prowincji, gdzie jest tej muzyki po prostu mniej, gdzie nie jest ona w żaden sposób promowana. Bardzo chcielibyśmy, żeby ludzie spróbowali zmierzyć się z jazzem, także w tych mniejszych miastach i spróbowali uruchomić te zmysły, których wytężenie nie jest akurat konieczne w przypadku tego, co dziś serwują nam media i znane rozgłośnie radiowe... A ile osób zaryzykuje aby się o tym przekonać? Tutaj nie ma pewnej odpowiedzi. Nawet jeśli przyjdzie kilka osób na koncert, my gramy zawsze na 100% możliwości i mamy nadzieję, że to będzie stanowić o stopniowym poszerzaniu się naszej publiczności. Bez względu, czy jest to wioska, czy duża metropolia.

Wasz przykład pokazuje, że i w małych ośrodkach, daleko od metropolii, powstawać mogą ciekawe zespoły. Jak wam się udało, bo pewnie nie jest to normą, kiedy się słyszy o marazmie w prowincjonalnych miasteczkach i nudzie w gminnych domach kultury?

Rafał Dubicki: Fakt, że nie pochodzi się z metropolii tylko ze wsi, w której stoi dziesięć domów, według stereotypów rzeczywiście kłóci się z tym, co robi, a w zasadzie osiąga, zespół Omnivore. Tu jednak kłania się motywacja i pasja, którą jest muzyka. Jak wcześniej wspominaliśmy połowa zespołu nie ma nic wspólnego z oficjalną oświatą muzyczną, nie mniej jednak każdy z nas pała niesamowitą chęcią grania i spełniania swoich muzycznych upodobań i marzeń. Regularna praca nad swoimi umiejętnościami dała nam już w tym momencie względną lekkość wykonawczą a wiadomym jest, że jeżeli człowiek sam nie będzie ćwiczył, to może być z największego miasta i mieć najlepszych nauczycieli, a i tak efekt będzie mierny. Reasumując: praca, pasja i marzenia pozwoliły nam na wybiecie się z rutyny panującej w małych ośrodkach i działalność na szerszych płaszczyznach artystycznych w skali całego kraju.

Co to dla was znaczy żyć i mieszkać w prowincjonalnych miasteczkach, czy to dołuje, czy może inspiruje, czy miejsce nie ma znaczenia dla oryginalnej twórczości?

Marek Sobociński: Zdecydowanie inspiruje. Wydawać się może, że w dużych miastach jest łatwiej o jakiś sukces, ale myślę, że nie do końca tak jest. Mamy chyba troszkę trudniej niż zespoły z dużych miast, bo tam jest

łatwiej, żeby ktoś cię dostrzegł. Jest wiele instytucji kulturalnych i szkół muzycznych, by rozwijać swoje umiejętności, ale właśnie to daje nam takiego „kopa” do pracy, dzięki temu nawet drobne sukcesy niesamowicie cieszą. Działanie w małej miejscinie to niesamowita motywacja.

Mimo młodego stażu macie już na swoim koncie sukcesy? W sierpniu wygraliście prestiżowy Festiwal Artystyczny Młodzieży Akademickiej, czyli słynną FAMĘ w Świnoujściu, mimo że nie było o was słychać w eliminacjach na Pomorzu.

Marek Sobociński: Nie braliśmy udziału w eliminacjach regionalnych do Famy. Pojechaliśmy na inny konkurs młodych zespołów jazzowych - Europejskie Integracje Muzyczne, który w maju tego roku odbywał się w Żyrardowie, gdzie jedną z nagród był właśnie udział w Famie bez eliminacji. Udało się nam zdobyć tę nagrodę. Jadąc tam w czasie podróży rozmawialiśmy, że fajnie byłoby zagrać na Famie. Tak naprawdę o tej nagrodzie właśnie marzyliśmy, bo chcemy pokazywać się na jak największej ilości przeglądów, patrzeć jak grają inni, bo to motywuje i uczy niesłuchanie. No i na Famie zdobyliśmy główną nagrodę w kategorii zespołów jazzowych. Dla nas najważniejsze jest to, że nagrodzony został nasz autorski repertuar. W tak krótkim czasie udało się stworzyć osiem całkowicie autorskich utworów, które już są materiałem na płytę, która być może ukaże się w przyszłym roku.

Co dla was oznacza sukces na FAMIE? Czy za główną nagrodą w kategorii zespołów jazzowych idą jakieś konkretne korzyści?

Adam Lemańczyk: Jest to dla nas olbrzymia radość i satysfakcja. Nie spodziewaliśmy się tego, że zajmiemy jakiegokolwiek miejsce, kiedy nagle przychodzi informacja o wygranej Omnivore’a w kategorii jazzowej. Naprawdę, jest nam niezmiernie miło, że nasza muzyka została doceniona i jest to dla nas kolejny bardzo mocny sygnał do tego, aby tworzyć jeszcze więcej i grać jeszcze więcej. Główna nagroda daje nam przede wszystkim możliwość tego, że zostaniemy dostrzeżeni przez większe grono publiczności. Rosną również szanse na to, że ktoś kto zajmuje się promowaniem młodych zespołów czy po prostu tego typu muzyki, zwróci uwagę także na naszą stronę. Cóż, nie można niczego przewidzieć; trzeba również odrobinkę zdać się na łut szczęścia.

Gdzie można posłuchać waszej muzyki?

Rafał Dubicki: Aktualnie naszej muzyki posłuchać można na naszym myspace oraz na stronie youtube wpisując nazwę zespołu. Niestety, oficjalna płyta jeszcze nie istnieje. Jest w perspektywie na przyszłość.

Jakie macie plany na najbliższy i dalszy czas - koncerty, wyjazdy, może płyta?

Rafał Dubicki: Plany zespołu na przyszłość są całkowicie sprecyzowane. Pierwszy etap to kolejny konkurs jazzowy w Jeleniej Górze na Krokus Jazz Festiwal, który odbędzie się pod koniec października tego roku. Omnivore



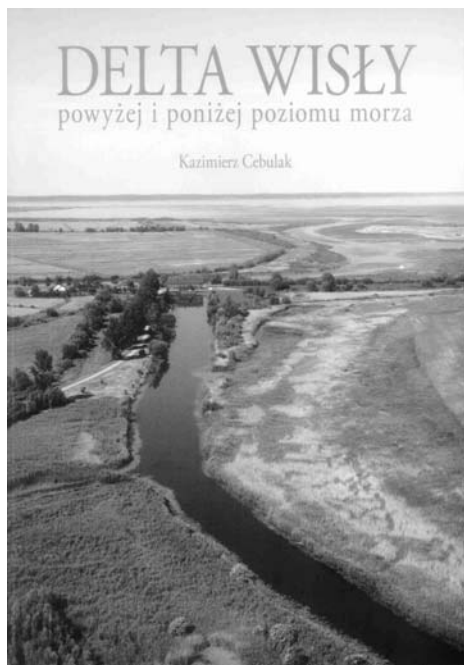
Zespół Omnivore z Dzierzgonia, fot. z archiwum zespołu.

zgłosiło się również na konkurs jazzowy w Koszalinie w tym samym okresie czasu, ale największym naszym celem i marzeniem jest udział w konkursie Jazz Juniors, który odbywa się w Krakowie pod koniec roku. Oczywiście w planach jest oficjalna płyta, która być może ukaże się w przyszłym roku. Plany koncertowe z oczywistych względów są płynne, ale mamy nadzieję, że będzie możliwość gdzieś wystąpić dla promocji swojego repertuaru.

Leszek Sarnowski: Życzę powodzenia i udanych koncertów.

Wacław Bielecki

O ziemi z wody wyłonionej



Kazimierz Cebulak, Delta Wisły powyżej i poniżej poziomu morza. Nowy Dwór Gdański 2010, Stowarzyszenie Żuławy i Lokalna Grupa Działania Żuławy i Mierzeja.

Wydawcami prezentowanej publikacji są Stowarzyszenie Żuławy oraz Lokalna Grupa Działania Żuławy i Mierzeja. Ich celem jest lobowanie decyzji podejmowanych przez władze samorządowe i rząd dotyczących tego regionu. Książka powstała w ramach projektu „Zbiory dziedzictwa kulturowego delty Wisły”. Jej autorem jest dr inż. Kazimierz Cebulak, emerytowany specjalista, który w swoim czasie był generalnym

projektantem prac mających na celu uporządkowanie gospodarki wodnej i melioracji Żuław.

Publikacja zawiera 16 artykułów publikowanych od 2004 roku w pomorskim kwartalniku turystyczno-krajoznawczym „Jantarowe Szlaki”. Są tutaj informacje dotyczące historii tej wyłonionej z wody ziemi. Autor nie daje jednak jasnej odpowiedzi na pytanie: za czyją stało się to przyczyną - nadprzyrodzoną czy ludzką?

Czego zatem może się dowiedzieć czytelnik o Żuławach? Książka jest właściwie przewodnikiem po delcie Wisły i Żuławach skupiającym się na fenomenie jakim była trwająca przez kilka wieków polderyzacja tych ziem, a autor stara się pełnić rolę przewodnika. Oto ludzie żmudną pracą wydzielali wodzie ziemię. Usypywali wały, kopali rowy odwadniające, wypompowywali wodę. Tak wbrew naturze powstawały żyzne pola uprawne i łąki. Autor nazywa to cywilizacją hydrotechniczną, albowiem życie na terenie depresji zależne jest od nieustannego wypompowywania wody i działania pompowni (stacji pomp), a takich w 2003 roku na terenie Żuław było 105.

Autor w kolejnych artykułach opisuje wybrane poldery. Zaczyna od „największej wyspy w delcie Wisły” - polderu Chłodniewo z 2720 km kanałów i rowów. Potem zaprasza do odwiedzenia polderu Marzęcino ze stacją pomp w Osłonce, której kolo-

rowe zdjęcie autorstwa Marka Opitza znajduje się na okładce książki. Kolejne poldery to Grochowo, Przebrno - Siekierki, Nowakowo, Drużno - Jurandowo, Janów, Dłużyzna. Czytelnik znajdzie także informacje na temat związków wałowych mających za zadanie utrzymanie wałów w czasie zagrożenia powodzią.

W szkicu, gdzie zaczyna się delta Wisły znajdują się informacje i ciekawostki dotyczące Mątowskiego Cypla – miejsca gdzie Wisła rozdziela się na dwie odnogi Leniwkę i Nogat oraz położonej tam wsi o niezwyklej nazwie - Piekło. Czytający dowie się także, kiedy zamknięto nurt Nogat i jaki to ma związek z przekopem Wisły w 1895 roku.

Sporo można się dowiedzieć o celowym zatopieniu Żuław w marcu 1945 roku przez niemieckich saperów. Zdarzenie to nazywa autor mianem „żuławskiej apokalipsy”, a potop ten, dokonany przez żołnierzy Wehrmachtu - największą i najbardziej dotkliwą katastrofą, którą człowiek zgotował człowiekowi. Odnawianie polderowych depresji zajęło aż cztery powojenne lata 1945 - 1949. Z lektury tekstu można się dowiedzieć, dlaczego Niemcy posłużyli się wodą jako swoistą bronią, a także w jaki sposób komunistyczny rząd „odwdzięczył się” polskim inżynierom za prace przy odwadnianiu terenów depresyjnych. Szkoda, że zatopione Żuławy ilustrują tylko trzy małe fotografie.

Z publikacji można też dowiedzieć się o związkach Gdańska z Żuławami. Nie wszyscy uświadamiają sobie,

że w granicach tego miasta znajdują się poldery: Orunia, Olszynka, Rudniki, Sobieszewo, Przejazdowo, Wiślinka i częściowo poldery Rokietnica z Niegowem, a tereny położone na wschód, w kierunku Wisły, to Żuławy Gdańskie. Od wieków woda atakowała Gdańsk od strony morza i lądu. W związku z tym wiele ulic gdańskich ma nazwy kojarzące się z wodnym żywiołem: Angielska Grobla, Długa Grobla, Grobla I, II, III, IV, ulica Sztormowa. Są też inne miejsca: Grodza Kamienna, czy Tama Pędzichowska.

Trudno nie zgodzić się ze zdaniem wydawców, że książka ta powinna być pozycją obowiązkową „dla wszystkich, którzy roszczą sobie jakiegokolwiek prawo do kreowania skrawka realnej, czy chociażby wirtualnej żuławskiej przestrzeni. Dla każdego, kto chce dobrze naszą deltę Wisły umieć czytać i rozumieć.” Jednak w porównaniu z kolorowym „Rocznikiem Żuławskim” wydanym także w 2010 roku przez Stowarzyszenie Miłośników Nowego Dworu Gdańskiego - Klub Nowodworski wiadać, że książka Kazimierza Cebulaka została wydana w sposób, nazwijmy to, oszczędnościowy, co odbiło się bardzo na jej poziomie edytorskim. Brak kolorowych zdjęć i map wpłynął niekorzystnie na ich czytelność. Szkoda. Moim zdaniem, książka jest na tyle ciekawa, że powinna jak najszybciej doczekać się następnego wydania w którym trzeba ją udoskonalić pod względem redakcyjnym i edytorskim. Konieczna jest większa czcionka oraz poprawa jakości map i

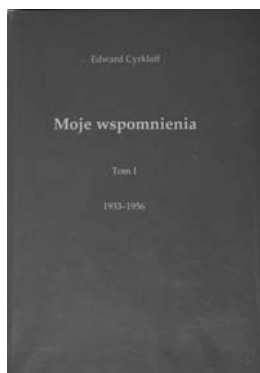
planów oraz więcej kolorowych fotografii. Przydałby się także normalny, książkowy format, bo obecny - A 4 - nie jest zbyt poręczny. Trudno wziąć taki wielki przewodnik na wędrowkę po Żuławach, a przydałby się bez wątpienia.

W nowym wydaniu trzeba też zwrócić uwagę na to, aby niektóre treści nie powtarzały się wielokrotnie jak, np. ciekawe skądinąd powiedzenie, że „Bóg stworzył Ziemię, a Niderlandy Holendrzy” (strony: 5, 7, 10, 17, 50), informacje o zalaniu Żuław przez Niemców (s. 5, 8, 24, 26, 34), polderach (s. 5, 10, 11, 16, 23, 36), przekopie Wisły (s. 9, 13, 23, 29). Tego typu, niemalże dosłowne, powtórzenia były potrzebne w cyklu artykułów drukowanych przez kilka lat, natomiast w jednej publikacji - są zbędne. Brakuje natomiast porządnej bibliografii, bo na stronie 42 jest tylko jej namiastka.

Chciałbym polecić do lektury tę książkę, bo czyta się ją z dużą przyjemnością. Z każdego nieomal zdania przebija nie tylko wielka wiedza, ale umiłowanie do tych ziem o których autor pisze tak: „uroda Żuław delty Wisły nie jest zwykła, lecz ukryta, zakodowana w krajobrazie, którego nieodłącznymi częściami są rzeki, kanały i rowy”, a także „obiekty i urządzenia hydrotechniki rzecznej i polderowej”. Niektórzy twierdzą, że „depresji” nie da się opisać, bo w krajobrazie przy tak nieznacznej różnicy wysokości nie widać jej gołym okiem. Trzeba na nią patrzeć „oczyma wyobraźni”. Myślę jednak, że autorowi całkiem nieźle udało się opis tej ziemi wyłonięnej z wody.

Paweł Paziak

Okruchy żuławskich wspomnień



Edward Cyrklaff, Moje wspomnienia t. 1, Bydgoszcz 2010.

Jeśli historia ma kogoś zainteresować, to nie może być zbiorem suchych faktów, dat i wydarzeń, lecz powinna opowiadać przede wszystkim historię ludzi, bo to oni są solą dziejów.

Wśród pojawiających się na rynku czytelniczym różnorodnych publikacji traktujących o regionie żuławskim, warto odnotować wydane w Bydgoszczy pięciotomowe wspomnienia Edwarda Cyrklaffa. Drugie wydanie ukazało się z datą ubiegłoroczną, pierwsze w 2006 roku.

Dla naszej patriae regionalis najciekawszy zdaje się być tom pierwszy „Moich wspomnień”, obejmujący lata 1933-1956, w którym jeden z rozdziałów autor w całości poświęca dzieciom swojej rodziny w Nowym Stawie, a w innych tomach odnajdujemy pojawiające się tu i ówdzie kolejne puzzle żuławskiej układanki.

Edward Cyrklaff – autor publikacji – przyszedł na świat w 1933 roku. Ojciec Alojzy był urzędnikiem skarbowym, matka Stanisława to córka fabrykanta i restauratora Jana Jankowiaka. Dziadek Jan – jak wielu Wielkopolan – miał głowę do interesów i już przed I wojną światową założył w Śremie fabrykę cygar oraz sklep, w którym sprzedawał swoje wyroby. Koleje losu sprawiły, że rodzina autora kilkakrotnie zmieniała miejsce zamieszkania, by w końcu w 1936 roku zamieszkać w Gdyni, gdzie Alojzy Cyrklaff otrzymał pracę inspektora celnego w tamtejszym porcie.

Podczas okupacji rodziny nie ominęły trudy wojennego życia, które były udziałem polskich rodzin. W 1940 roku Niemcy wysiedlają Cyrklaffów z Gdyni do Orłowa – wówczas podmiejskiego osiedla – i tam rodzina zamieszkuje w baraku aż do zakończenia wojny.

W 1945 roku Cyrklaffowie trafiają na Żuławy. Jak pisze Edward „w drugiej połowie maja 1945 roku starosta gdański mianował ojca kierownikiem Delegatury Starostwa Powiatu Gdańskiego w mieście Nytychu, jako pierwszego organizatora polskiej administracji państwowej na obszarze Wielkich Żuław Wiślanych z jednoczesnym pełnieniem obowiązków wójta gminy Nytych.” Ostatecznie cała rodzina przeprowadziła się do Nytychu w sierpniu 1945 roku. Dwa lata później miasto otrzymuje polską nazwę Nowy Staw.

Według relacji zawartej w książce Alojzy Cyrklaff pełnił obowiązki wójta przez pięć miesięcy, gdyż pod koniec października nowy burmistrz kpt. Franciszek Piątek odwołał go ze stanowiska. Jak z przekąsem komentuje autor publikacji: „Członkowie nowej władzy magistrackiej chętnie się publicznie swoją przynależnością do Polskiej Partii Robotniczej, co stawiało ich na piedestale ówczesnej hierarchii politycznej – nikt od nich nie mógł być ważniejszy.”

Alojzy Cyrklaff działa następnie w PSL Mikołajczyka i pracuje w Malborku, Nowym Dworze Gdańskim oraz w Nowym Stawie, skąd w 1960 roku przechodzi na emeryturę.

W swoich wspomnieniowych zapiskach stara się Edward Cyrklaff rekonstruować chronologiczny przebieg wydarzeń. Często są to zapisy suchych faktów o ile to możliwe z podaniem dokładnych dat, ale wiele z tych zapisków wywołuje kolejne wspomnienie, które warto odnotować. Oto bowiem uruchomienie

piekarni Blicharza związane jest ze wspomnieniem ówczesnego chleba – pytłowego i sitkowego. Jak ważna musiała być dla kilkunastoletniego chłopca możliwość kupna chleba, że zapadła ona tak głęboko w pamięci? Chleba, którego smaku już sobie nie przypomina, ale jak pisze „miał on w sobie coś z «kamienno» posmaku”.

Notuje autor informację o zajętych przez nich mieszkaniu przy ul. Słowackiego 7, by zaraz potem wspomnieć przepyszne jabłka z ogrodu warzywno-owocowego usytuowanego przed kamienicą. Wspólnie z bratem zajął się owocobranieniem. Ogród istnieje zresztą do dzisiaj, zamieniony na działki dla mieszkańców kamienicy.

Nie brakowało też sytuacji dramatycznych, kiedy to Sowieci w grudniu 1945 roku obdarli do bielizny Alojzego Cyrklaffa i pozostawili go samego kilka kilometrów od domu. Gdy okradziony ze wszystkiego dotarł wreszcie na komendę Milicji Obywatelskiej, usłyszał, „iż w okolicy grasują bandy sowieckich żołnierzy, ale MO nie może za nie brać odpowiedzialności i nie jest upoważniona, aby je ścigać.”

Spotkania z Sowietami nie należały do najprzyjemniejszych, bowiem gdy za przywiezienie Cyrklaffom ziemniaków nie otrzymali wystarczającej ilości bimbru, wyładowali swoją złość na starym gdańskim zegarze stojącym w sypialni rodziców autora.

To nie jedyny ślad prosowieckich porządków wprowadzanych przez komunistów. Na swojego autora cze-

ka z pewnością historia działalności SB i UB na Żuławach. A byłoby o czym pisać, skoro – jak wspomina Edward Cyrklaff – za opowiadanie dowcipów pan Jarzębowski – miejscowy rzeźnik – został skazany na pracę przymusową w kamieniołomach na Śląsku, a sklep skonfiskowano. Taki mały przykład esbeckiej „opieki” roztaczanej nad żuławską ludnością, który znajdziemy w publikacji.

Życie parafialne w latach powojennych w Nowym Stawie organizował ks. Stefan Kinka, proboszcz do roku 1958, u którego Edward rozpoczął swoją służbę ministrancką, a dziwnym zbiegiem okoliczności ten sam kapłan udzielał wiele lat wcześniej ślubu rodzicom autora. We wrześniu czterdziestego piątego rusza szkoła powszechna – kierownikiem jest Hipolit Nagórski.

W 1946 roku Edward Cyrklaff wyjeżdża z Nowego Stawu do Torunia, by tam kształcić się dalej w gimnazjum. Podróż różnymi środkami lokomocji trwa ponad 13 godzin! Wielokrotnie powraca do Nowego Stawu, gdzie mieszkają jego rodzice, ale po ukończeniu studiów i podjęciu pracy kontakty z miastem są sporadyczne.

Warto sięgnąć po te okruczości żuławskich wspomnień, by odnaleźć w nich autentyczną pasję zapisywania osobistej, rodzinnej i regionalnej historii, odkrywania źródeł i korzeni po to, ażeby zyskiwać świadomość własnego istnienia.

Justyna Liguz

Knaflę, szneki, topki..., czyli mały słownik ziemi ryjewskiej, Ryjewo 2010.



Niedawno, w czerwcu bieżącego roku, na rynku wydawniczym pojawiła się nowa, bardzo ciekawa pozycja książkowa. „Knaflę, szneki, topki..., czyli mały słownik ziemi ryjewskiej” to propozycja dla tych, którzy interesują się zarówno historią Powiśla jak i tych, którzy zastanawiają się, coż owe „dziwaczne” wyrazy z tytułu oznaczają.

Ze stopki wydawniczej dowiadujemy się, iż „Mały słownik” powstał w ramach projektu pod nazwą „Słownik ziemi ryjewskiej”, współfinansowanego przez Fundację Wspomagania Wsi oraz Gminę Ryjewo. Ideą projektu było stworzenie więzi pokoleniowej między dziećmi a najstarszymi mieszkańcami ziemi ryjewskiej, poszukiwanie językowej i historycznej tożsamości mieszkańców gminy Ryjewo oraz ocalenie od zapomnienia bogatej i burzliwej historii tych ziem. Wydawnictwo jest szerokim podsumowaniem działań

projektowych takich jak: wywiady z mieszkańcami, warsztaty historyczne, językoznawcze, plener malarski.

Często nie zdajemy sobie sprawy z tego, że jest wiele cech w języku, którym na co dzień się posługujemy. Cech, które wyróżniają nasz – w pewnym sensie dialekt – od mowy w innych częściach kraju. Nie są to może całe składnie, ale z pewnością sposób mówienia oraz stosowanie pewnych wyrażen, które zdradzają, że tereny, na których mieszkamy są „dokładnie” wymieszane. Taki „wielonarodowy barszcz”, o którym mówił kiedyś profesor Kabatc, kwi-dzyniak urodzony w Wołkowysku, znany polski prozaik oraz tłumacz literatury obcej. Czy znane są nam takie wyrazy jak sznytka, zydeł, zylc, dekiel? A czy spotkałiśmy się kiedykolwiek z określeniem usiadź się proponując komuś zajęcie miejsca? Przykładów można by mnożyć.

Powodem takiego „urozmaicenia” naszego języka jest zjawisko ściśle związane z wydarzeniami w historii Polski, które nazywane są przez językoznawców jako „nowe dialekty mieszane”. Jest to termin stosowany przy określaniu odmian języka polskiego, używanych na ziemiach zachodnich i północnych Polski, tzw. ziemiach odzyskanych. Ziemie dzisiejszego powiatu kwidzyńskiego, a co za tym idzie gminy Ryjewo, są terenem, który zawsze był położony na pograniczu. Przez całe wieki

podlegał panowaniu niemieckiemu. Ale obok Niemców na tych terenach mieszkali również Polacy, Żydzi, mennonici. W życiu codziennym miejscowej ludności przeplatały się różne tradycje, zwyczaje i języki, jednak tak zwana „wielka polityka” powodowała, że żywioł niemiecki zawsze miał tu swoje „największe wpływy”. Na mocy układu w Jałcie ziemie te zostały przyznane Polsce jako rekompensata za zabrane przez ZSRR ziemie wschodnie. I tak po 1945 roku oprócz ludności miejscowej, na Powiśle zaczęła napływać ludność z różnych stron Polski. Po pierwsze, byli to repatrianci z obszarów II Rzeczypospolitej – z dawnych Kresów Wschodnich. Po drugie, byli to osadnicy z Polski centralnej i południowej, po trzecie wreszcie, na ziemie te zostali przymusowo przesiedleni z pogranicza południowo-wschodniego Ukraińcy i Łemkowie (w ramach akcji „Wisła”). W rezultacie każdy posługiwał się nieco inną odmianą języka polskiego, który z czasem uległ ujednoliceniu. Poszczególne znaczenia zaczęły przenikać się nawzajem, niektóre wyrazy zaniknęły, ale niektóre pozostały, jako wspólne określenia przedmiotów i zajęć.

Wydawcą publikacji jest Gminna Biblioteka Publiczna w Ryjewie. Redakcją zajęła się: Agnieszka Koguciuk przy współpracy Anny Biskupskiej,

Justyny Liguz, Doroty Baranowicz i Justyny Pytlarczyk. Książeczka liczy 70 stron i jest bardzo bogato ilustrowana przez Katarzynę Drelich oraz dzieci biorące udział w projekcie. Bardzo ładny projekt wydawnictwa i skład wykonał Paweł Makowski.

„Knaflę, szneki, topki...”, czyli mały słownik ziemi ryjewskiej” to przede wszystkim alfabetyczny zbiór różnych wyrazów i zwrotów, zebranych i opisanych przez dzieci biorące udział w projekcie. Atrakcyjna szata graficzna i czytelny układ ułatwiają korzystanie ze słownika, właśnie tym młodszym czytelnikom. Utrudnieniem może być brak etymologii poszczególnych wyrazów, ale przecież to podsumowanie pracy dzieci. Słownik został poprzedzony krótkim wstępem Agnieszki Koguciuk a także tekstem historycznym, wyjaśniającym krótko zawłość historyczne Gminy Ryjewo. Słownik został także opatrzone notą od wydawcy, którą sporządziła Anna Biskupska.

W kształcie zaproponowanym przez wydawcę książeczka ta jest naprawdę bogatym zbiorem wiadomości w atrakcyjnej oprawie. Zachęcam Czytelników do nabycia tego wydawnictwa. Aby w wolnej chwili, po fajrancie, usiąść się na wygodnym zydłu przy duchówce i zamiast cajtunga, zaznajomić się z wyrazami, które wciąż są obecne w naszej mowie...

Marek Stokowski

PROWINCJONALIA czyli Kronika życia terenowego

Szanowni Państwo!

Ostatnio jakoś niewiele wiemy o trębaczowej i jej trębaczu z Nowego Stawu. Od trzech miesięcy nie mamy wieści, czy przeklinają, czy błogosławią życie z daleka od metropolii. Może zadzwonią albo zatrąbią, żeby przekazać, co u nich słychać? Bardzo prosimy.

Natomiast wiemy o Lidce Wander z Nowego Dworu. Ona podobno płacze ze szczęścia za każdym razem, kiedy wychodzi rano po bułki. Idzie i beczy pod niebem Żuław. Słońce czy chmury, zimno czy upał, Lidka w zachwycie patrzy na domy, drzewa, rowery, pierzynę w oknie, psa za parkanem, siwego pana prowadzącego wnuka za rękę.

Ludzie gadają, że głupia jakaś ta cała Wander. Niech tam gadają, a my pragniemy jej dedykować dzisiejszą porcję krótkich doniesień znad dolnej Wisły.

Mamy nadzieję, że chociaż Lidka przyjmie je z sercem i chociaż dla niej będą coś znaczyć.

Redakcja

Życie psychologiczne

Na stacji kolejowej w Starym Polu pojawił się pisemny dezyderat:

Ze względu na psychiczne traumy, jakie właściwe każdy z nas wynosi z niezwykle poplątanych związków z rodzicami, postulujemy wprowadzenie zmian w systemie rozmnażania i wychowania Homo sapiens. Po pierwsze – dzieci powinien znów przynosić bocian. Po drugie – należy je dostarczać nie rodzicom, ale dziadkom. Rodzice niech już lepiej skupią się na zarabianiu na jedzenie, rowery, piłki, kolorowe książki, a babcia z dziadkiem niech się śmieją z dziecięcych głupot, figli, rymowanek i niech turlają się z wnukami po dywanie.

Sugestie te zostaną bardzo prędko rozpatrzone przez odpowiednie władze w Starym Polu, więc od połowy bieżącego roku może być dużo, dużo lepiej.

Życie taneczne

Stanisław Mątkiewicz z Gardei prosi każdą z napotkanych pań do tańca. No, i co? Odmówić jakoś nie wypada. Więc obtańcowuje niemal wszystkie, od samego rana do wieczora, na ulicach i na placach, w sklepach, w kwaterek i na poczie.

Mówią, że on obejmuje je ramieniem i dotyka ciepłym brzuchem. Emerytki uważają, że powinien wstydzić się, dziad jeden. Trochę młodsze panie utrzymują, że, cóż, taniec to jest taniec, więc tam wolno. A Mątkiewicz stąpa lekko i prowadzi tak jak anioł.

Powstaje pytanie: Stanisław Mątkiewicz to bydlę, czy może ostatni dżentelmen pod słońcem?

Życie szczęśliwe

Ona i on – w Prabutach. A mają wrażenie, jak gdyby mieszkali co najmniej w Iławie!

Oby pozostali w takim uniesieniu, w takim szczęściu już na zawsze. Oby nie czytali drogowskazów i adresów, ani nie musieli kiedyś pójść na stację, gdzie gada megafon i powtarza nazwę miasta.

Życie lotnicze

Kurska tłucze paczkę samoloty. Bo bzykają, bo jej gdzieś tam, twierdzi, brudzą, bo ją w nocy jakiś użarł. To wszystko w Malborku, na Piaskach.

Inspektorzy ruchu lotniczego uważają, że nie wolno tego robić. Samoloty przecież są, ogólnie biorąc, pożyteczne i niegroźne dla człowieka i dla innych.

Szczęściem samoloty w locie giną rzadko, trudno trafić. Z tym że jak usiądą na lotnisku albo gdzieś tam, to pac – miazga. Tak nie można. To je krzywdzi.

Inspektorzy ruchu lotniczego twierdzą, że jeżeli Kurska się nie uspokoi, to posypią się mandaty i się skończy.

Życie przdświąteczne

Sąsiad wytrzepuje swoje pola. Jedno, drugie, trzecie, czwarte – aż do miedzy pod Janowem. To dobrze – niedługo Wielkanoc, a ta ziemia była taka szara, taka brudna po tej zimie, że aż przykro.

Tymczasem sąsiadka, przed domem, trzepie kury i koguta. Pozostają jeszcze kaczki, dach stodoły, pies i koty. Pojutrze nasz sąsiad weźmie się za drogę przed chałupą. Potem miło będzie mu prowadzić swoją żonę czystym traktem do kościoła i z powrotem, i w ogóle, dokąd zechce.

Są już czajki, czaple i skowronki z małżonkami. Wytrzepują kawał nieba.

Życie zabiegowe

Wirówka moralna w Ryjewie. Zabiegi w wirówce są w pełni dostępne.

Fizjoterapeuta Koselewski nadziewa Zabielskiego na poziomy sztyft, mocuje drutem, ujmuje korbę i rozkręca. Po chwili moment obrotowy jest tak wielki, że już nie można dostrzec ciała, jedynie kokon, dokładnie oplątany nicią wiatru.

Obserwatorzy muszą się odsunąć, bo z Zabielskiego bardzo pryska. Przez wszystkie pory i otwory naturalne uchodzą złe skłonności, brzydkie myśli, łakomstwo, zazdrość, pycha i tak dalej. Ostatnie wylatują rozpasania, powyrywane z zakamarków tkanki łącznej.

Pan już nie krzyczy, mówi Koselewski, już zatrzymuję, już po wszystkim.

Pacjent, z pomocą ludzi dobrej woli, ostrożnie schodzi z podwyższenia. Jest taki lekki, że aż lewituje. Żeby chłopina mógł doczłapać się do domu, fizjoterapeuta Koselewski obciąża mu kieszenie kamieniami.

Ale Zabielski tutaj jeszcze wróci, za miesiąc albo za niecały kwartał – jak każdy z nas, najgorszych drani, łapserdaków, jakich kręciła centryfuga Ziemi.

Życie handlowe

Sklep ze zdaniami na różne okazje kusi wyborem wyrobów z Kalwy. Podświetlone żółtym światłem, leżą trzy produkty, jeszcze ciepłe:

1. Tu wszędzie tych górników pełno; postawię na wprost, to przesuną.
2. Proszę odłożyć kota na miejsce.
3. Ciotka umyła zmęczone piersi i nie zwlekając wzięła się za obiad.

Jak zawsze w Starym Targu – jest zainteresowanie, tylko że ceny nie z tej ziemi.

Życie muzyczne

Swobodna gra wyobraźni – na Szybowcowej, w centrum Elbląga. Z każdej rzeczy, jakiej dotknie, wydobywa koncertową partię.

Lustro wyśpiewuje wszystko, co widziało.

Rezerwuar ciągnie solo barytonowego saksofonu.

Wersalka wytrzeszcza miłosne kancony.

Stół stoi do taktu.

Krzesło przytupuje obok stołu.

Szafa gra kontrabasowe requiem.

Bida piszczy w kontrapunkcie.

A tymczasem Zofia i Kazimierz Imielińscy walą w sufit. Ostrzegają, że zadzwonią na policję.

Wyobraźnia, wystraszona, kończy grę i chowa się do bielizniarki. Nie porusza nawet palcem, a jak westchnie, to tak cicho, jak mysz w wacie.

Stół, wersalka, krzesło i tak dalej – zastygają w martwej ciszy, pozbawione nut i dyrygenta.

Tylko bida piszczy, jak piszczała, na ulicy Szybowcowej i nie tylko.

Życie Borkowskiego

Borkowski ma wrażenie, że oczywiście wolno mu zajmować sobą jakąś przestrzeń, wszakże o określonych parametrach. Może wypełniać swoim ciałem wyraźnie wydzielony fragment świata. Przystanął w miejscu i tak stoi, blisko słodowni w Nowym Stawie, nie rusza się i jest mu w swej przestrzeni bardzo dobrze.

Ale co będzie, jak się ruszy?

Co się wydarzy, gdy wyjdzie z tej przestrzeni o określonych wyznacznikach?

Czy jakieś inne, własne miejsce o określonych parametrach będzie jego?

A czy jest jakaś określona przestrzeń dla człowieka, kiedy ten idzie, skacze, czyli się porusza, i czy osoba w ruchu ma do niej jakieś nowostawskie, święte prawo?

Borkowski myśli o tym bardzo długo, nieruchomy, aż w końcu mu drętwieje prawa noga. Zaczyna nią poruszać. A przy okazji zapomina o tym, o czym myślał. I tak się kończy chwila pełni, chwila głębokiej medytacji nad przestrzenią o określonych parametrach czy tam wyznacznikach.

Życie usługowe

Usługi sportowe w Klecewie. Całościowe murowanie bramki, piękne akcje ofensywne, wspaniałe dryblingi na weselach, chrzcinach i dancingach. Można też zamówić egzekucję rzutów wolnych i kornerów, rogale i haki. Na specjalne zamówienie – strzały pod dowolnym oknem, precyzyjny atak pozycyjny, faulowanie przypadkowe i złośliwe na bankietach, cocktailach i rautach.

Od przyszłej niedzieli wprowadzone będą: serwis zapaśniczy i kobiecy podrzut oraz rwanie. Panie zgrabne i zadbane. Rwą i podrzucają w małej czarnej, w biżuterii i na szpilkach.

Życie Iwonki

O władzy Iwonki nad mężczyznami dowiedzieliśmy się właściwie przez przypadek. Ktoś – chyba z Dzierzgonia – poinformował nas w poufny liście.

Okazuje się, że jeden gest Iwonki, krótkie słowo czy półuśmiech, a panowie chodzą po suficie. To jest władza absolutna. Władza niedemokratyczna. Tak teraz nie wolno. Dlatego prezydent pewnego mocarstwa wysłał na Iwonkę wojsko. Z tym że wojsko się poddało już wieczorem, bo Iwonka nacierała kremem nogi, z góry na dół i odwrotnie.

Od tej pory utrzymuje się globalny kryzys. Widać, jak niepewna bywa władza mocarstwowa a z nią równowaga sił na kuli ziemskiej. Może być naprawdę ciężko, bo Iwonka rozczesuje sobie włosy.

Ktoś zadaje kilka ważkich pytań: Czemu taka Danka nie ma władzy niedemokratycznej ani despotycznej nad panami i państwami? Czemu przeciw niej nie wysłał nikt dywizji z armatami? Czemu nie posłano do niej nawet szeregowca Ostapczuka z dziurą w portach i dziobatą, tępą paszczą?

Życie terapeutyczne

Mniej więcej rok temu, na tablicy przed ratuszem w Sztumie ktoś wywiesił ogłoszenie: „Zjadam wszystko z apetytem”. A pod spodem – imię i nazwisko, adres. Bardzo prędko odezwali się dyskretni reflektanci, była cała masa zgłoszeń i zamówień.

Zjadacz uszczęśliwiał różne panie, które lubią ugotować coś dla panów. A poza tym zatrudniany był do dzieci: do chudzielców i niejadków, grymasników i rzygaczy. Nigdzie u nikogo nie zawodził. Wcinał wszystko z taką pasją, z apetytem tak radośnie zaraźliwym, że patrzący czuli przymus, aby z miejsca coś przekąsić. Malcy wyjadali swoje porcje aż do czysta – każdy wylizywał potem talerz.

Pokątne występy domowe przerodziły się w seanse terapeutyczne w placówkach powszechnej opieki zdrowotnej w regionie.

Teraz zjadacz jest wynajmowany do leczenia stanów depresyjnych, anoreksji oraz rozmaitych form utraty apetytu. Proszę sobie wyobrazić: zjadacz z pasją młóci fasolową, kurę w sosie a na koniec budyń z sokiem, i już cały oddział ludzi-cieni je, co dali, nawet zimne. Cienie nabierają ciała i rumieńców, chęci życia, i błagają w kuchni o dokładki.

Niby dobrze, niby sukces, ale jest też ciemna strona całej sprawy. Przez zjadacza pękła doktor medycyny Składanowska. To samo spotkało salową Bednarczuk i podobno jakąś pielęgniarkę, a na pewno dwóch stażystów, noszowego i hydraulika, którzy przypadkowo weszli do ambulatorium podczas sesji.

Po tym wszystkim zjadacz zaczął konsumować – zasłonięty ołowianym parawanem. Ujawniany jest na ściśle określony czas, wyłącznie chorym. W sumie, najważniejsze to zachować mądry umiar w stosowaniu silnych leków i terapii zaraźliwym apetytem. Tak uważa doktor Rachoń.

Tak uważa, ale sam, niestety, zachowuje się krańcowo nieroztropnie. Tuż przed wyjściem z sali terapeutycznej robi obrót. Przez szczelinę w parawanie zauważa pochłanianie żuru z chlebem. Przez sekundę. To wystarcza.

Życie nowodworskie

Andrzej Zastróżny z Nowego Dworu wychodzi z domu przy Bursztynowej i postanawia udać się nad Morze Jońskie. Pyta przechodniów, którądy bliżej. Oni nie wiedzą albo się spieszą.

On zaś na pewno wie, że po drodze powinien minąć Teby, Ateny, Korynt, Olimpię, tylko że nie ma żadnej pewności, czy iść przez Szkolną czy przez Łąkową a potem Gdańską czy raczej Morską, Ryki czy Kmiecín. Stoi. Bezradny. Na Bursztynowej.

Aż w końcu wraca cicho do domu. W podróż wyrusza dopiero nocą. Morze jest wonne, ciepłe, zielone. I pełne syren. I nie ma końca.

Noty o autorach

Tomasz Agejczyk – ur. w 1985 roku w Malborku, od najmłodszych lat zafascynowany historią Malborka, w szczególności latami międzywojennymi. Pasjonat i zbieracz wszelkich pamiątek dotyczących miasta. Numizmatyk. Obecnie mieszka w Elblągu. Należy do Förderverein Jerusalem-Hospital des Deutschen Ordens in Marienburg (Malbork) e.V. Współpracuje z „Magazynem Elbląskim”.

Jacek Albrecht – ur. w roku 1951 w Łodzi. Od 1952 z przerwą 15 lat mieszkaniec Malborka. Konserwator zabytków architektury i artysta plastyk, autor książki popularno-naukowej „Tajemnice Malborka” i szeregu artykułów o tematyce konserwatorskiej, współwłaściciel firmy „Kopia!”. Absolwent Wydziału Budownictwa Politechniki Koszalińskiej, Podyplomowego Studium Konserwacji Zabytków Politechniki Warszawskiej i Wydziału Edukacji Artystycznej ASP w Gdańsku. W 1989 przewodniczący Komitetu Obywatelskiego w Malborku oraz Klubu Obywatelskiego. Inicjator powołania pierwszej niezależnej gazety malborskiej „Nowiny Malborka”. Autor kilkunastu wystaw plastycznych w różnych miastach Polski. Uprawia malarstwo, grafikę i grafikę komputerową.

Wacław Bielecki – od 1947 r. mieszkaniec Nowego Stawu, a od 1974 roku Sztumu. Absolwent pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Nowym Stawie i asystent w Katedrze Pedagogiki UMK w Toruniu. Dyrektor Wojewódzkiego Zespołu Szkół Policelanych w Sztumie. W 1980/81 roku redaktor naczelny tygodnika „Sztumska Solidarność”, a na przełomie lat 1989/90 członek kolegium redakcyjnego tego czasopisma. W latach 1990 - 1994 roku przewodniczący Rady Miasta i Gminy Sztum. Zainteresowania pozazawodowe: muzyka - nie tylko klasyczna, fotografia, spacerowy rower i wnuki.

Marta Chmieleńska – ur. w 1973 roku w Hajnówce na Podlasiu, pracowała jako dziennikarka Kuriera Porannego i TV Podlasie, jej teksty ukazywały się w „Niedzieli” i „Piśmie Kulturalnym”. W sierpniu 2010 przeprowadziła się na Powiśle, współpracuje z „Dziennikiem Bałtyckim”. Interesuje się historią i samorządem. Mieszka w Malborku

Tomasz Gliniecki – ur. 1967 w Elblągu. Absolwent pedagogiki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Olsztynie. Poeta, dziennikarz, redaktor naczelny „Dziennika Elbląskiego”, „Gazety Olsztyńskiej”. Poszukiwacz lokalnych historii Elbląga i okolic z okresu drugiej wojny światowej i powojennego. Obecnie pracownik Muzeum Archeologiczno – Historycznego w Elblągu.

Małgorzata Anna Jędrzejewska – bibliotekarka, nauczycielka jęz. polskiego, lifecoach. Mieszka w Nowym Stawie. Na co dzień pracuje w gimnazjum nowostawskim, starając się, ze zmiennym skutkiem, wyrobić u młodzieży pociąg do czytania - dlatego rokrocznie organizuje maratony czytelnicze, które cieszą się powodzeniem także u dorosłych mieszkańców miasta. A z uczniami, którzy nie za bardzo chcą czytać, robi filmy. Jej pasją jest teatr i realizuje ją głównie poprzez wszelkiego typu animacje teatralne, przeprowadzane z zespołami teatralnymi. Aktualnie podjęła studia podyplomowe na wrocławskiej PWST związane z reżyserią teatru młodzieży.

Andrzej Kasperek – ur. 1958 r. w Nowym Dworze Gdańskim. Absolwent filologii polskiej UG. Działacz SKS, NZS UG. Pracował w DKF „Żak” w Gdańsku. Nauczyciel języka polskiego w Nowym Dworze Gdańskim. Autor opowiadań „Back in the DDR i inne opowiadania”(2010). Mieszka w Nowym Dworze Gdańskim.

Jerzy Kosacz – ur. 1942 r. w Budslawiu (Białoruś), absolwent Wydziału Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Był pracownikiem stoczni gdańskiej, bibliotekarzem, nauczycielem akademickim. Współzałożyciel Koła Młodych Literatów w Gdańsku. Współzałożyciel „Solidarności” w Kwidzynie w 1980 roku, internowany w 1981 roku w Iławie, więziony w Elblągu, zwolniony z pracy za działalność w „Solidarności”. Rzeźbiarz, malarz, literat. Mieszka w Sadlinkach.

Maciej Kraiński – ur. 1950 r. w Gdańsku. Studiował filologię polską na UMK w Toruniu i Uniwersytecie Gdańskim. Współzałożyciel pisma literackiego Litteraria. Założyciel i pierwszy prezes Koła Młodych przy ZLP w Gdańsku. Uczestnik strajku sierpniowego 1980 r. W latach 1999-2003 dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Gdańsku. Prezes i założyciel Stowarzyszenia Gunthera Grassa. Pomysłodawca i współtwórca obchodów 80-tych urodzin noblisty w Gdańsku w 2007 r. W latach 2005-2006 jako współpracownik „Dziennika Bałtyckiego”. Współpracował z miesięcznikiem „Punkt” i „Dziennikiem Londyńskim”. Wydał tomik poezji „Jelita” i współtworzył almanach poetycki „Nowy transport posągów”. Od 2009 roku tworzy Muzeum Tradycji Szlacheckiej w Waplewie Wielkim oddział Muzeum Narodowego w Gdańsku. W 2010 roku wydał książkę „Panowie na Waplewie”.

Sebastian Kubiak - ur. 1971, poeta, mieszka w Malborku. Publikacja w kwartalniku „Prowincja” jest jego debiutem.

Kordian Kuczma - ur. 1986 zamieszkały w Sztutowie, magister stosunków międzynarodowych, student studiów doktoranckich Collegium Civitas i Instytutu Studiów Politycznych PAN, menedżer projektów w ogólnopolskiej firmie doradczej, sekretarz redakcji kwartalnika „Business Security Magazine”, analityk think-tanku Instytut Jagielloński ds. polityki historycznej i obszaru post-sowieckiego

Jan Kulas - ur. w 1957 r. w Kościerzynie. Absolwent historii UG, współtwórca samorządu Tczewa i województwa pomorskiego. Działacz „Solidarności” od 1980 roku. Pośel kilku kadencji, obecnie z PO. Autor i współautor wielu książek - „Grzegorz Ciechowski”, Moje spotkania z papieżem Janem Pawłem II.

Katarzyna Laskowska - ur. 1987. Absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Gdańskim, obecnie doktoranka na UG. Pracuje w LO w Nowym Dworze Gdańskim.

Justyna Liguz - ur. 1970 r. w Kwidzynie. Absolwentka Instytutu Historii i Archiwistyki UMK w Toruniu. W 2003 doktorat z historii na UMK. Od 2003 roku pracuje jako główny specjalista ds. pracowni regionalnej przy Kwidzyńskim Centrum Kultury w Kwidzynie, zajmując się popularyzowaniem lokalnej historii ziemi kwidzyńskiej. Od 2000 roku założycielka i prezes Kwidzyńskiego Towarzystwa Kulturalnego, a także redaktor naczelny kwartalnika kulturalno-historycznego „Schody Kawowe”.

Andrzej Lubiński - ur. 1952 r. w Gniewie, Absolwent LO w Sztumie i UMK w Toruniu (historia). Zainteresowania - historia regionalna Pomorza i Powiśla. Publikacje w „Komunikatach Mazursko Warmińskich”, „Roczniku Elbląskim”, „Studiach Elbląskich”, „Z dziejów Sztumu i okolic”. Współautor książki „Bank Spółdzielczy w Sztumie 1910-2010”. Uczestnik i wykładowca kilku sympozjów naukowych. Mieszka w Sztumie.

Mirosław Melerski - ur. w 1949 roku w Lipnie. Absolwent historii UMK w Toruniu. W latach 1976-82 dyrektor Sztumskiego Centrum Kultury. Przewodniczący Terenowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność” w Sztumie w 1981 roku, współzałożyciel i redaktor biuletynu „Sztumska Solidarność” w 1980 - 81. W latach 1992 - 2002 pracował w Vitra Design Museum w Weil am Rhein (Niemcy), gdzie zajmował się koordynacją produkcji i dystrybucji miniatur z kolekcji Vitra Design oraz organizacją wystaw kolekcji Vitra w Polsce, Czechach i na Węgrzech. Publikował artykuły na temat nowoczesnego designu w polskich pismach fachowych. Mieszka w Nadbrzeżu k. Elbląga.

Janusz Moździerz - absolwent Liceum im. H. Sienkiewicza w Malborku oraz ART w Olsztynie. Był nauczycielem w Młodzieżowym Ośrodku Wychowawczym w Malborku. Debiutował jako laureat Ogólnopolskiego konkursu na prozę współczesną opowiadaniem „Gdziekolwiek jesteś” w Almanachu Wyd. „Iskry” na początku lat osiemdziesiątych. Publikował prozę i poezję w „Tygodniku kulturalnym”. Elbląskie Towarzystwo Kulturalne wydało mu arkusz poetycki pt. „Szare Tatuaże”. W kolejnych latach jego opowiadania ukazywały się w „Akcencie”, „Autografie”, „Tyglu” i „Toposie” oraz w czasopismach regionalnych, a także w Polskim Radio w Szczecinie i Olsztynie (utwory nagradzane w konkursach literackich). Współpracuje od kilkunastu lat z prasą Wybrzeża; obecnie jako autor felietonów. Wydał 3 zbiory opowiadań: „Krzyk kani: (1999), „Konik polny” (2006) i „Dzikie trawy” (2007) - nie stroni też od utworów o zabarwieniu satyrycznym. Jest członkiem Stowarzyszenia Elbląski Klub Autorów. Mieszka w Malborku.

Paweł Paziak - ur. 1970 roku w Słupsku. Absolwent filologii polskiej WSP w Słupsku, w 2001 r. doktorat na UG. Na Żuławy przybył w 1994 roku „za chlebem”. Jak sam twierdzi, przyjechał na Żuławy tylko „na chwilę” i ona wciąż trwa. Mieszka w Nowym Stawie i tam pracuje jako nauczyciel w ZSP nr 5. Od 2005 r. współpracownik „Gazety Malborskiej”. Publikował w „Poradniku Językowym”, „Gazecie Polskiej”, „Gościu Niedzielnym” i „Naszej Polsce”.

Iza Plath - ur. w 1973 r. w Gdańsku. Muzyk, aktorka, pedagog. Zawodowo związana z Operą Bałtycką. Na swoim koncie ma liczne artykuły o tematyce kolejowej, historycznej i muzycznej, m.in. w „30 Dniach”, „Świecie Kolei” i „Jantarowych Szlakach”. Z redakcją tych ostatnich współpracuje na stałe. Aktywna uczestniczka forum internetowego www.forum.dawnygdansk.pl oraz autorka witryny o żuławskiej wąskotorówce. Laureatka nagród w konkursach internetowych na krótkie formy prozatorskie.

Kamil Przeperski – ur. 1988 w Sztumie. W latach 2005 – 2009 uczył się w Liceum Profilowanym w Barlewickach, niecały rok po zakończeniu edukacji podjął staż w firmie Elstar, następnie pracę w firmie Elita sp. z o.o. Ocenie bez stałego zatrudnienia. Od młodych lat interesował się poezją, która po dzień dzisiejszy jest ważnym elementem w jego życiu. Publikuje w internecie. Więcej wierszy na <http://dugopisikartka.blogspot.com>

Wiesława Rynkiewicz-Domino – absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego, historyk sztuki, kustosz w Muzeum Archeologiczn-Historycznego w Elblągu. Zajmuje się historią miasta ze szczególnym uwzględnieniem działalności naukowo-artystycznej dawnych mieszkańców. Jest autorką lub współautorką licznych wystaw, w tym tych najbardziej znanych, jak: „Rzeźba elbląska ok. 1500 roku”, „Między Królewcem, a Gdańskiem – kwatery z kościoła w Łęgowie”, „Berthold Hellingrath (1877-1954) – gdański grafik urodzony w Elblągu”.

Janusz Ryszkowski – ur. 1955 w Opaleniu. Absolwent Filologii Polskiej UWM w Olsztynie. W latach 1984-2009 dziennikarz „Wieczorne Wybrzeża”, „Wiadomości Elbląskich” i „Dziennika Bałtyckiego”. Jako poeta debiutował w 1975 roku w „Nowym Wyrazie”, jako krytyk literacki trzy lata później na łamach „Nowych Książek”. Opublikował tomiki: „Wiersze” (1983), „Stan podgorączkowy” (nagroda im. Kazimierza Iłakowiczówny na najlepszy książkowy debiut 1985 roku), „Płatny romans”, „Prywatne śledztwo” (1992), „Do snu nie przemycisz domowych zapachów” (2001). Autor reportaży „Requiem dla hrabiego” (1997), „W podróży po ziemi sztumskiej” (2010), współautor albumów starych pocztówek oraz fotografii „Sztum-Stuhm” (2000) i „Odcienie szarości” (2003). Z Krystyną Błaszczuk – Ryszkowską przygotował antologię „Okno Judasza” (2007), złożoną z prac literackich nadsyłanych od 1992 na Ogólnopolski Przegląd Sztuki Więziennej w Sztumie. Mieszka w Sztumie.

Leszek Sarnowski – ur. 1959 r. w Barcinie na Kujawach. Absolwent historii UG. Jako dziennikarz współpracował z „Gazetą Wyborczą”, „Dziennikiem Bałtyckim”, Radiem Gdańsk, Radiem Plus, TVP Olsztyn, TVP Gdańsk. Przewodniczący Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” w Sztumie w 1989 roku. Redaktor naczelny „Sztumskiej Solidarności” i „Gazety Sztumskiej” w latach 1989-93. Wydawca i redaktor książki „Od „Solidarności” do społeczeństwa obywatelskiego” (2005). Prezes Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie, pomysłodawca, wydawca i redaktor naczelny kwartalnika Prowincja. B. kierownik Działu Edukacji i Promocji Muzeum Archeologiczno-Historycznego w Elblągu. Obecnie dyrektor Departamentu Kultury Urzędu Miejskiego w Elblągu. Mieszka w Sztumie.

Mariusz Stawarski – ur. 1961 r. Absolwent Wydziału Architektury Wnętrz PWSSP w Gdańsku. Od 1990 roku mieszka i pracuje w zamku w Malborku, gdzie zajmuje się wystawianiem i grafiką użytkową. Od 1986 roku zajmuje się malarstwem lirycznym - groteskowym, wystawianym i nagradzanym w wielu krajach i zagranicznych konkursach - Grand Prix Satyrykonu 1998, Second Prize Istanbul - Turcja. Mieszka w Malborku.

Marek Stokowski – ur. 1957 r. w Warszawie. Absolwent Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Kustosz w Muzeum Zamkowym w Malborku. Prowadzi unikalne w skali kraju gry edukacyjne i przygodowe dla młodzieży i dorosłych. Autor książek beletrystycznych i edukacyjnych. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wydał m.in. - „Dzień nad ciemną rzeką” (1996), „Sny dla dorosłych i dla dzieci” (1998), „Legends i opowieści zamku Malbork” (2002, 2005), „Krzyżacy, ich państwo i zamki” (2003), „Błazen” (2004), „Noc tajemnic” (2005), „Samo-loty” (2005), „Stroiciel lasu” (2010). Mieszka w Malborku.

Feliks Tomaszewski – ur. 1954 r. Absolwent filologii polskiej Uniwersytetu Gdańskiego, doktor nauk humanistycznych Uniwersytetu Wrocławskiego, doktor habilitowany (2008 rok) Uniwersytetu Gdańskiego. Zainteresowania naukowe: sztuka interpretacji, współczesne piśmiennictwo autobiograficzne i biograficzne, literatura współczesna (poezja), metodyka nauczania literatury. Wydał: „Magia lektury”, Warszawa 1990, „Światy” Gustawa Herlinga Grudzińskiego, Gdańsk 1994, „Skrzydła (nie)połamane”, Kielce 1998, „Drogi i stacje wygnania”, „Podróże i powroty Gustawa Herlinga-Grudzińskiego”, Gdańsk 2006, 4 X NOBEL, Warszawa 2002 (współredaktor). Autor wielu artykułów. Wypromował 18 magistrów i prawie 50 licencjatów.

Andrzej Wiłun – ur. w 1949. Absolwent wydziału budownictwa lądowego na Politechnice Warszawskiej. Pracował przy budowie kwidzyńskiej „Celulozy”. Od 1988 roku mieszka w Berlinie. Interesuje się tematyką stosunków polsko-niemieckich, polsko-żydowskich oraz Kresami Wschodnimi, skąd pochodzi jego rodzina. Aktualnie publikuje w polonijnym periodyku „Akcenty” w Berlinie i w kwidzyńskim kwartalniku „Schody Kawowe”.